

Conan

walczy



John
Maddock Roberts

CONAN WALECZNY

PRZEŁOŻYŁ CEZARY FRĄC

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN THE VALOROUS

MIASTO NA RÓWNINIE

Przez wąskie, spiczaste okno, ozdobione gipsowymi reliefami, wdarł się dźwięk bębna, wiszącego na palu z brązu nad Wielką Bramą Khorhemish. Głuche echo podchwyciły inne, mniejsze, umocowane ponad jedenastoma pozostałymi bramami miejskimi. Ich dźwięk obwieszczał, że nadeszła pora zamknięcia wszystkich dębowych wierzei. Każdy, kto nie znajdzie się w obrębie murów przed zamknięciem bram, będzie musiał spędzić noc na trawiastej równinie. Próba wejścia do miasta po zmroku mogła dla opieszałego wędrowca zakończyć się śmiercią.

Kobieta siedząca za masywnym stołem oderwała oczy od pergaminu pokrytego stygijskimi hieroglifami. Ostatnie, czerwone promienie zachodzącego słońca, wpadające przez wąskie okno, połyskiwały na wężowych bransoletach otaczających jej obnażone ramiona i na diademie ze złotą głową kobry, spoczywającym ponad czarnymi, prostymi brwiami. Na lekki gest dłoni tej kobiety z kąta komnaty wyszedł wysoki mężczyzna. Miał na sobie pustynny strój mieszkańca wschodniego Shem.

— Moulayu, już czas. Idź, znajdź człowieka, o którym rozmawialiśmy, i sprowadź go tutaj.

Po drodze powiedz gospodarzowi, by przyniósł więcej lamp. Chcę dobrze przyjrzeć się temu mężczyźnie.

Moulay skłonił się nisko, kładąc dłoń na piersi.

— Jak każesz, pani.

Zszedł szerokimi schodami na mały dziedziniec wyłożony dwubarwną mozaiką, na środku którego znajdowała się obrzeżona murem sadzawka. Przekazał polecenie dotyczące lamp i sklepieniem przejściem wy dostał się na ulicę.

O tej porze była ona prawie pusta. Pasterze i poganiacze wielbłądów zapędzili zwierzęta na noc do zagród i stajni, a drobni kupcy na targowisku zwiłali kramy.

Zatrzymując się od czasu do czasu, by zapytać o drogę, Moulay doszedł do najstarszej części miasta. Tutaj, między bardziej zniszczonymi budynkami, na wąskich uliczkach, panował większy zgiełk. Gdy reszta miasta zasypiała, ta dzielnica budziła się do życia.

Wyzywająco umalowana kobieta w skąnym stroju kiwnęła w jego stronę, ale on zignorował

jej zachęcający uśmiech. Poza tym nikt go nie zaczepiał. Jego postawa i spojrzenie mówiły, że jest dumnym człowiekiem pustyni. Śniada, pobrużdżona bliznami twarz i dzikie spojrzenie skutecznie wypędzały wszelkie podstępne pomysły z głów ulicznych rabusiów.

Gospoda, której szukał, znajdowała się w opłakanym stanie. Wielkie kawały pobielonej gliny odpadły od ścian, odsłaniając gołe cegły i trzciniową plecionkę. Moulay schylił się wchodząc do

zadymionego wnętrza. Podszedł do niego niski, gruby mężczyzna i wytarł

dłonie o brudny fartuch.

— Witam, panie! — zawołał oberżysta, usilnie starając się przekrzyczeć hałas powodowany przez kilku grajków. — Czego sobie życzysz; jadła? wina? noclegu? Wszystko to dostaniesz tutaj.

Moulay pokazał srebrną monetę i powiedział kilka słów. Na twarzy mężczyzny odmalowało się zdziwienie.

— Cymmerianin? Tak, jest tutaj. Czego chcesz od tego łajdaka?

— To moja rzecz, ciebie nie dotyczy. Po prostu zaprowadź mnie do niego. — Moulay rozejrzał się po izbie w poszukiwaniu człowieka, którego opisała jego pani.

— Ci Cymmerianie to charakterystyczne plemię — powiedziała mu. — Będzie wysoki i czarnowłosy. Jego oczy zapewne będą niebieskie. Skóra jasna lub ciemna, w zależności od tego, jak długo przebywał na słońcu. Prawie na pewno będzie silniejszy i szybszy od innych ludzi. Jak wszyscy barbarzyńcy z północy, Cymmerianie mają gwałtowny temperament, zatem postępuj z nim ostrożnie.

W izbie nie było mężczyzny odpowiadającego temu rysopisowi. Przy stolikach siedzieli mieszczanie i cudzoziemcy, w większości poganiacze karawan. Kości do gry grzechotały leniwie. Później, kiedy wino poleje się strumieniami, goście staną się bardziej zadziorni, dojdzie do kłótni i burd, przerywanych przez straż miejską lub rozstrzyganych w mroku okolicznych zaułków.

Karczmarz, widząc spojrzenie Moulaya, powiedział:

— Nie, tutaj go nie ma. Od miesiąca zamienia moją gospodę w istne piekło. Chodź ze mną.

Ruszyli przez salę i weszli na górę po rozklekotanych drewnianych schodach. Poddasze przedzielone było cienkimi ściankami na wiele małych, ciemnych klitek. Karczmarz zdjął

latarnię z haka i trzymając ją w górze podszedł do ostatniego, najmniejszego pokoju. Nie było tam drzwi, w wejściu wisiała jedynie zasłona. Moulay zerknął do środka i skrzywił usta w pogardliwym uśmiechu.

— „To” ma być ten wielki, cymmeriański wojownik? — rzucił ironicznie.

Mieszkaniec pokoju siedział pod ścianą i pochrapywał cicho. Masywne ramiona

spoczywały na szerokiej piersi, a zwieszona nisko kudłata głowa podskakiwała lekko w takt chrapania. Jedynym ubiorem wielkoluda była postrzępiona, biała niegdyś opaska biodrowa.

Na stopach miał sandały o zdartych podeszwach. Moulay rozejrzał się po izdebce, której jedynym wyposażeniem był wyleniasty dywan.

— Powiedział, że nazywa się Conan. Przyjechał miesiąc temu i wyglądał wtedy jak turański generał — rzekł oberżysta. — Miał zanego konia i siodło, miecz, zbroje, łuk, wszystko! I złoto, którym szastał bez opamiętania. Każdej nocy pił, grał z jakimiś typami spod ciemnej gwiazdy i stawiał im wino. Kiedy skończyły się pieniądze, zastawił broń, konia i resztę dobytku. Sam widzisz, co mu zostało! Strzęp brudnej szmaty. Rano próbowałem go wyrzucić, ale zagroził, że skręci mi kark. Czekam więc, aż straż miejska wyjdzie na nocny obchód i zabierze go stąd do wszystkich diabłów.

— Zatem jest zwykłym złodziejem — powiedział Moulay — i to głupim. Najwyraźniej ukradł rzeczy, z którymi tu przyjechał. Może wcale nie jest wojownikiem. Trudno, mimo to muszę go zabrać ze sobą. Możesz odejść, ale zostaw mi latarnię.

Oberżysta wzruszył ramionami i zrobił, co mu kazano.

Moulay powiesił latarnię na kołku, kucnął przy śpiącym i chciał potrząsnąć go za ramię.

Ledwo jego palce dotknęły Cymmerianina, w górę wystrzeliła masywna ręka, natychmiast owijając się na karku Shemity. Moulay sięgnął po sztylet, lecz natknął się na drugą wielką dłoń zaciśniętą na rękojeści. Pomyślał, że przeciętny człowiek budzi się zwykle powoli, a jego oczy są zaspane. Te, które wpatrywały się w niego, były jasne i niezmacone. A jednak Moulay wiedział, że ten mężczyzna naprawdę spał.

— Czy myślisz, że tak łatwo mnie okraść, psie? — warknął Cymmerianin. Ton jego głosu był głęboki i zgrzytał w uchu.

— Jakież miałbym pożytek z twojej brudnej opaski lub śmierdzących sandałów? —

wycharczał Moulay. Uścisk zelżał trochę.

— No to po co mnie budzisz, psie?

— Przyszedłem, by zaprowadzić cię do mojej pani. Zapłaci ci dobrze za wykonanie pewnego zadania.

Conan puścił Moulaya i wstał. Moulay musiał zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w oczy.

Cymmerianin był wyższy, niż się zdawało.

— Jakiego zadania? Mogę walczyć za pieniądze, ale nie jestem zabójcą ani szaleńcem.

Moulay, speszony tak jasnym postawieniem sprawy, wygładził fałdy swej szaty.

— Wszystkiego dowiesz się od niej. Chodź ze mną, Cymmerianin przeciągnął się.

— Nie jadłem od dwóch dni. Twoja pani będzie miała ze mnie niewielki pożytek, jeśli padnę z głodu.

— Postawię ci kolację, barbarzyńco — warknął Moulay. — Chodź na dół i zjedz tyle, ile zdołasz.

Conan wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— To więcej, niż sobie wyobrażasz.

Moulay zapukał do komnaty swej pani. Towarzyszył mu Conan, który zgodnie z obietnicą zjadł za trzech i stracił wiele ze swej opryskliwości.

Gdy obaj weszli do najdroższej gospody w Khorshemish, jej właściciel spojrzał na prawdę nagiego barbarzyńcę z konsternacją graniczącą z przerażeniem. Conan niewiele dbał o zdanie mieszczan, ale wiedział, że jego wygląd może nie sprawić korzystnego wrażenia na przyszłej pracodawczyni.

W odpowiedzi na pukanie Moulaya, kobiecego głos zawołał:

— Wejść!

Obaj mężczyźni weszli do środka.

— Pani, to Cymmerianin, którego chciałaś widzieć. Nazywa się Conan.

Moulay odsunął się w bok. Conan stanął przed kobietą i przyjrzał się jej uważnie. Była piękna, miała prosto przycięte czarne włosy, ciemną karnację i wspaniałe arystokratyczne rysy. Jej oczy były wielkie i czarne, podkreślone tuszem. Czernidło, biżuteria w kształcie węzów oraz surowa, czarna szata mówiły, że jest Stygijką. Conan nie lubił Stygii, jej starożytnego zła i czarów.

— Jestem Hathor-Ka. Zbliź się.

Conan niechętnie posłuchał. Zaczynając od palców u stóp, kobieta skrupulatnie obejrzała każdy cal jego ciała, zatrzymując spojrzenie na potężnych udach, szczupłej talii, szerokiej klatce piersiowej, ramionach i mocnych nadgarstkach człowieka nawykłego do posługiwania się mieczem.

— Obróć się.

Nie wiedząc dlaczego, Conan usłuchał i został poddany takim samym drobiazgowym oględzinom od tyłu.

— Zdajesz się nadawać — stwierdziła na koniec. Conan odwrócił się twarzą do kobiety.

Nieruchome, jakby wykute z kamienia stygijskie rysy sprawiały, że trudno było ocenić jej wiek. Mimo jej niewątpliwego piękna Conan pozostał obojętny.

— Więc jesteś Cymmerianinem — stwierdziła. — A ja potrzebuję właśnie Cymmerianina.

— Dlaczego akurat Cymmerianina? — zdumiał się Conan. — Wynajmowano mnie

wcześniej ze względu na umiejętność posługiwania się mieczem i doświadczenia w złodziejskim rzemiośle, ale nigdy z powodu miejsca moich urodzin.

Kobieta odchyliła się lekko do tyłu i popatrzyła nań tajemniczo.

— Chcę, byś podjął się misji w twoim rodzinnym kraju. Chcę, byś dostarczył coś do pewnej jaskini w górach Cymmerii. W zamian... — wyjęła zza pasa skórzaną sakiewkę, którą z głośnym brzękiem rzuciła na stół — ...to będzie twoje. Otwórz.

Conan podniósł sakiewkę i rozwiązał rzemienie. W migotliwym świetle świec kusząco błysnęły złote, aquilońskie monety. Serce zadrżało mu z radości, ale zachował niewzruszony wyraz twarzy.

— Jakie są warunki? Pół teraz, a połowa po wykonaniu zadania?

— Nie, jeśli zgodzisz się zrobić to, o co proszę, złoto stanie się twoje od razu.

— Pani, czyżbyś była aż tak łatwowierna? Skąd możesz wiedzieć, że nie zniknę z twą własnością chwilę po wyjściu za próg gospody?

— Mam wiele wad, Cymmerianinie, ale łatwowierność do nich nie należy. Wiem, iż wy, Cymmerianie, nie łamiecie raz danego słowa. Przysięgnij, że wykonasz moje polecenie.

— Niech tak będzie. — Conan podrzucił mieszek i złapał go w locie. — Przysięgam, że dostarczę do Cymmerii i zaniosę do górskiej jaskini to, co chcesz, cokolwiek by to było.

— To za mało.

— Jak to?! — warknął rozdrażniony. — Zawsze dotrzymuję danego słowa.

— Musisz przysięgnąć na Croma — rozkazała.

Conan, myśląc jedynie o złocie, nie zastanawiając się wiele powiedział:

— Niech będzie. Klnę się na Croma, iż wykonam twoje polecenie.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy pomyślał, że dałby worek złota, by móc cofnąć te słowa.

Skąd ta kobieta mogła wiedzieć o Cromie i jaki był jej cel?

Hathor-Ka, ponownie odchylając się do tyłu, rzekła z okrutnym uśmiechem:

— Tego słowa nie możesz złamać, Cymmerianinie. W Stygii posiadamy wiedzę o

wszystkich bogach, a twój bezlitosny Crom nie zniesie, by jego imię skalano

krzywoprzysięstwem.

— To prawda — przyznał Conan.

Kobieta skinęła na Moulaya, który podszedł do misternie zdobionej skrzyni. Wyjął zza pazuchy ciężki klucz, otworzył zamek i wydobyl ze skrzyni mały, srebrny, zapieczętowany ołowiem flakonik. Na

pieczęci widniały dziwne, niepokojące hieroglify. Hathor–Ka przyjęła naczynie z rąk sługi i podała je Cymmerianinowi. Conan wziął niechętnie flakon i zdziwił się jego lekkością.

— Jest pusty — powiedział.

— Nie, nie jest — zapewniła go Hathor–Ka. — Twoje zadanie jest proste. Kiedy znajdziesz jaskinię, musisz rozpalić ogień. Potem odpieczętujesz flakonik i wysypiesz jego zawartość w płomienie. Gdy to zrobisz, trzykrotnie głośno wykrzykniesz moje imię. Pojmujesz?

Conanowi zjeżyły się włosy na karku. To były czary, a on nie chciał mieć z tym nic wspólnego, jednakże musiał dotrzymać danego słowa. Niech Crom przeklnie moją głupotę, pomyślał.

— A potem? — zapytał.

— Na tym twoje zadanie się kończy. Będziesz mógł zrobić, co ci się podoba.

— Dobrze — mruknął — to wydaje się dość proste. W jakiej górze jest ta jaskinia? W

Cymmerii jest wiele szczytów i w każdym może być jaskinia.

— Nie powinieneś mieć kłopotu z jej znalezieniem — odparła spokojnie. — Chyba znasz górę zwaną Ben Morgh?

Conan poczuł, że dusza ucieka mu w pięty.

— Ben Morgh... — wyszeptał ze strachem.

— Tak. Flakonik musi zostać odpieczętowany w jaskini, którą oświetlają pierwsze, poranne promienie słońca w czasie jesienno-zimowego zrównania dnia z nocą — czarownica uśmiechnęła się, widząc przerażenie malujące się na twarzy Cymmerianina. — Co cię gryzie, Conanie?

Wydawałeś się być zadowolonym z siebie bohaterem. Przestraszyłeś się górskiej wspinaczki?

— Ty stygijska suko! — wykrzyknął Conan, ignorując sięgającego po sztylet Moulaya. —

Ben Morgh to dom Cromy! Ta jaskinia jest domem boga mojego ludu!

Człowiek przyczajony na dachu, tuż nad oknem, słuchał tych słów z dużym

zainteresowaniem. Trzymał się liny, której drugi koniec przymocowany był do komina. Kiedy rozmowa dobiegła końca, mężczyzna cofnął się, odwiązał linę i owinał ją sobie wokół talii.

Poruszał się szybko i zwinnie. Teraz, gdy wykonał zadanie, usiadł na krawędzi dachu i zerknął na ulicę. Było już bardzo ciemno, ale on widział w mroku jak kot. Zobaczył

Cymmerianina, który wyszedł przygnębiony z gospody i ruszył w kierunku biedniejszej dzielnicy.

Mężczyzna, skacząc z dachu na dach dotarł aż do dzielnicy złotników, do domu, na którego dachu znajdował się ogród. Szpieg wszedł do wnętrza budynku. W wielkiej komnacie czekał

grubas, siedzący z podwiniętymi nogami i rękoma splecionymi na potężnym brzuchu. Oczy miał zamknięte.

— Jaganath? — zapytał niepewnie przybysz. Mówił w sposób właściwy ludziom należącym do najwyższej kasty w Vendhii. — Już wróciłem.

Siedzący mężczyzna otworzył oczy i uśmiechnął się łagodnie.

— I czego się dowiedziałeś, Gopalu?

Młodszy mężczyzna zwięźle zrelacjonował przebieg podsłuchanej rozmowy. Uśmiech, igrający na twarzy grubasa, rozszerzył się znacznie.

— Czar przeniesienia z Tuya! Ta Stygijka rzeczywiście jest sprytna! Dzięki temu czarowi zaoszczędzi sobie trudów długiej podróży.

— A ty nie mógłbyś użyć tego czaru, wuju? Jaganath popatrzył na swojego młodego krewnego z pobłażliwą życzliwością.

— Nie, Gopalu, bowiem wymagałoby to zatrudnienia osoby godnej zaufania, a ja nie ufam nikomu poza sobą — znów łagodny uśmiech pojawił się na jego twarzy. — Nie ufam nawet tobie. — Popatrzył na leżący na stole pergamin. — Teraz przynajmniej nie ma wątpliwości.

Hathor-Ka musiała znaleźć ten sam zaginiony tekst z „Księgi Skelos”, na który ja natknąłem się wiele lat temu. Zastanawiam się, ile jeszcze osób znajduje się w tej chwili w drodze do tego samego miejsca?

— Wuju, czy nie sądzisz, że nadszedł czas, bym dowiedział się, jaki jest cel tej podróży?

Przebyliśmy wiele lig z Vendii do tego barbarzyńskiego kraju, a ja nadal nic nie wiem. Z pewnością nie w imię wiedzy znosimy tak wyczerpujące trudy.

— Nie wiedzy, ale władzy — oznajmił z naciskiem Jaganath.

— Władzy? — powtórzył Gopal z błyszczącymi oczami.

— Dokładnie. Gdy byłem bardzo młody, niewiele starszy od ciebie, pobierałem nauki w wielu różnych krajach. Pewnego dnia w bibliotece pewnego mędrca z Aghrapuru znalazłem książkę, tomik frywolnej poezji. Już miałem ją odłożyć, kiedy zauważyłem, że pergamin wyściełający wewnętrzną stronę okładki odkleił się, a na jego drugiej stronie znajdują się dziwne litery. Wyciąłem go ostrożnie i odłożyłem książkę na miejsce. Oto on — Wskazał

pergamin leżący na stole. — Potrafisz go przeczytać?

Gopal wyciągnął szyję, ale pismo było mu zupełnie obce. Co dziwne, te tajemnicze znaki, choć wydawały się nic nie znaczyć, emanowały jakąś osobliwą grozą, która zmusiła młodzieńca do odwrócenia wzroku.

— Nie, wuju — odpowiedział.

— Ja również wtedy nie potrafiłem. Jednakże, tak samo jak ty teraz odczułem, że ten rękopis kryje wielką moc. Później, po wielu latach studiów u wielkich mistrzów, poznałem owo pismo i przypomniałem sobie o tym pergaminie. To, co znalazłem, okazało się fragmentem zagubionego rozdziału księgi ze Skelos, napisanym w pierwotnym języku. Tekst ujęty jest w formie niejasnych czterowierszy, ale sens przesłania zawarty między dziesiątą a dwudziestą linią jest łatwy do zrozumienia i ma następujące znaczenie:

Nowa gwiazda pojawi się między rogami Byka. Rankiem tegoż roku w dzień przesilenia, po blasku lata a przed chłodem zimy, nowy mistrz zostanie wyniesiony ponad wszystkich czarnoksiężników ziemi. Panować będzie nie mając rywali i równych sobie. Rankiem tegoż roku, kiedy dzień i noc będą równej długości, gdy słońce wzniesie się i oświetli swoimi promieniami jaskinię na górze Ben Morgh w Cymmerii, czarnoksiężnik, który tam zaintonuje Wielkie Wezwanie Mocy, zostanie panem wszystkich innych magów. Uzyska on

nieograniczoną władzę nad czarami i nie umrze, póki nie trafi go Strzała Indry.

Siedzący w milczeniu Gopal zadrżał ze strachu.

— Co oznacza „Strzała Indry”, wuju? — zapytał nieśmiało.

— Strzały Indry to gwiazdy spadające z konstelacji zwanej Rydwanem Indry raz na tysiąc lat. Mówi się, że osiem tysięcy lat temu jedna z nich zrównała z ziemią pałac Króla Valusii.

Ostatni raz Strzała Indry spadła zaledwie przed stu laty, zatem ten, kto we właściwy dzień dotrze do jaskini i zaintonuje Wielkie Wezwanie, przez co najmniej dziewięćset lat będzie największym czarnoksiężnikiem świata — z twarzy Vendhianina opadła maska pozornej łagodności, ukazując nagażądę władzy.

— Ten tekst mówi „mistrz” i „pan”, wuju. Czy kobieta może zatem żywić nadzieję na uzyskanie Mocy?

— W tym starożytnym języku nie ma odmian, jest jedno słowo na określenie kobiety i mężczyzny — wyjaśnił Jaganath. — Hathor-Ka zalicza się do elity adeptów mogących zaintonować Wielkie Wezwanie. Zna je nie więcej niż dziesiątka z nas. A ilu znalazło to proroctwo? Ja wiem o dwóch. Byłbym wielce zaskoczony, gdybym dowiedział się o dwóch innych.

— A co zrobimy z Cymmerianinem?

— Droga do jego ojczyzny jest długa, najeżona niebezpieczeństwami. Coś może mu się przydarzyć...
— Jaganath uśmiechnął się chytrze. — Prawdę mówiąc, jestem pewien, że przytrafi mu się coś złego.

Młodzieniec ruchem głowy potwierdził, że rozumie.

— Ale założmy, że przeżyje. Co wtedy? — zapytał.

— Będzie podróżował łądem — wyjaśnił cierpliwie Jaganath. — Musi przebyć Ophir, potem Nemedię lub Aquilonię i przeciąć Gunderland bądź Kresowe Królestwo. A gdy wreszcie zdoła dotrzeć do Cymmerii, będzie jeszcze czekała go długa droga od granicy do góry Ben Morgh.

— Ależ, wuju — odparł Gopal. — Co powstrzyma barbarzyńcę przed udaniem się na wybrzeże i wejściem na pokład statku?

Jaganath uśmiechnął się życzliwie i spojrzał na Gopala.

— To przenikliwe spostrzeżenie, siostrzeńcze. Prawdę mówiąc, ja właśnie tak zamierzam postąpić. Pojedziemy na wschód, dotrzemy do rzeki Tybor w Argos, wsiądziemy na barkę płynącą do portu Messancja, a stamtąd pożeglujemy na północ. W taki sposób wygodnie dotrzemy do Vanaheimu, gdzie wyszukamy ludzi, którzy zaprowadzą nas do Ben Morgh.

Cymmerianin nie wybierze morskiej drogi, bowiem wtedy, aby dotrzeć do Cymmerii, musiałby przeciąć Pustkowie Piktyskie albo Vanaheim, a Piktowie i Vanirowie są śmiertelnymi wrogami Cymmerian.

— Zatem, jeżeli wygramy ten wyścig, co wydaje się pewne, zostaniesz największym czarnoksiężnikiem wszechczasów — Gopal był jednocześnie przerażony i zachwycony tą wizją.

— Będę tak potężny, jak bóg — rzekł Jaganath. — A ty będziesz drugim po bogu.

Conan siedział nad szklanicą wina, ale nie czuł jego smaku, Był przygnębiony i nie zwracał

uwagi na dziką muzykę i popisy tancerzy. Siedział w tawernie dużo świetniejszej od tej, w której ostatnio zamieszkiwał. Od wysokiego aquilońskiego najemnika kupił połataną, ale za to czystą tunikę. Zakup lepszej odzieży odłożył do następnego dnia, do otwarcia targowisk. Z

braku kieszeni sakiewkę ze złotem trzymał na rzemieniu na szyi. Jedną złotą monetą zapłacił

karczmarzowi za trzy dni. Teraz leżało przed nim mnóstwo miedzianych i srebrnych monet, które gospodarz wydał mu jako resztę.

— Przepowiedzieć ci fortunę, panie? — Conan podniósłszy głowę, ujrzał sędziwego i obdartego Khitajczyka.

Nawet w takiej metropolii, jaką było Khorshernish leżące na skrzyżowaniu handlowych szlaków, człowiek z Dalekiego Wschodu był rzadkim widokiem. Jego tunika nie osłaniała chudych nóg, głowę zdobiło mu śmieszne nakrycie z piór i dzwonek, a szyję dziwaczny naszyjnik z kości, muszelek, koralu i innych, nie dających się określić przedmiotów.

Khitajczyk uśmiechnął się przymilnie do barbarzyńcy i skinął głową tak szybko, że zatrzepotała mu rzadka, kozia bródka.

— Przepowiem ci przyszłość, bardzo tanio.

— Czy to cię przyciągnęło? — spytał Conan, wskazując na leżący przed nim stos monet.

Wybrał najmniejszy pieniążek, toporny, źle wybity miedziany szekiel z Shem — i rzucił go staruszkowi.

— Masz i zostaw mnie w spokoju. — Ponownie zainteresował się chwilowo zaniedbanym winem.

Szarlatan schwycił monetę i popatrzył na nią uważnie.

— Za to nic ci nie przepowiem. To wystarczy jedynie na mądrą sentencję. Księżę Li powiedział: „Każdy pionek na szachownicy myśli, że sam przechodzi z jednego pola na drugie”.

— Hm — mruknął zaintrygowany Conan. — Jakim jesteś wróżbitą?

— Dobrym. Daj mi srebrną monetę, a przepowiem ci przyszłość.

Conan uśmiechnął się. Ten pomyłony staruszek był zabawny, a on potrzebował jakiejś rozrywki. Nienawidził czarów, ale nie bał się drobnych magicznych sztuczek.

— Siadaj — powiedział, wskazując miejsce przy stole. — Napij się wina.

Starzec, chichocząc rozradowany opadł na stołek naprzeciw Conana. Chwycił kubek z sąsiedniego stolika, wylał resztki na pokrytą matami podłogę i napełnił go z dzbana stojącego przed potężnym Cymmerianinem.

— Jesteś z Północy, czyż nie? — zapytał.

— Tak z Cymmerii. Teraz pijesz moje wino, więc czekam na łaskawą przepowiednię.

Starzec zamoczył palce w winie i strzasnął krople w cztery strony świata, wywołując tym przekleństwa kilku ochlapanych drabów, po czym wypił duszkiem prawie wszystko, zostawiając tylko w kubku kilka kropeł. Przyglądał się resztkom na dnie i mruczał

niezrozumiale. Wreszcie uśmiechnął się i popatrzył na Conana.

— Bardzo bogata przyszłość! Tym co robisz rządzą bogowie, myślisz, że sam kierujesz swoim postępowaniem, ale tak naprawdę robisz tylko to, co każą ci najwyższe moce.

Zupełnie jak pionki księcia Li.

— I ty nazywasz to przepowiednią — prychnął Conan. — Już wiele razy słyszałem

podobne bzdury od przybyszów ze wschodu. Bogowie mną nie kierują, sam sobie jestem panem!

— Tak, tak — powiedział Khitańczyk kiwając się i śmiejąc szaleńczo. — Ale czasami robisz coś, co tobie samemu wydaje się dziwne, czyż nie? Robisz coś, czego nie rozumiesz?

Conan przypomniał sobie nierozważną przysięgę złożoną Hathor–Ka.

— Tak — odpowiedział w końcu. — Czasami tak jest.

— Widzisz — powiedział Khitańczyk. — To wyjaśnia wszystko. — Wkrótce wyruszysz w długą podróż, tak?

— To nie wymaga wielkiego talentu — mruknął Conan. — Oczywiście wybieram się w podróż. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zostaje w Korshemish.

— Taaak. Robisz coś ważnego, choć wydaje ci się, że jest to małe i nieważne, jednak wszystko to jest częścią planu bogów. Nic na to nie poradzisz. — Stary mężczyzna napełnił

sobie kubek.

— Niech cię Crom porwie! — warknął Conan zniechęcony obłąkanym starym głupcem i jego wschodnim fatalizmem.

— To już niedługo — powiedział starzec uśmiechając się i kiwając.

PÓLNOCNA BRAMA

Na wielkim targowisku w Khorshemish, podobnie jak na wielu innych, od samego rana zbierały się tłumy ludzi pragnących kupować, sprzedawać, rozmawiać o polityce i o mnóstwie innych rzeczy. Kobiety stały w długiej kolejce do centralnej fontanny, by napełnić dzbany i przy okazji plotkowały z sąsiadkami. W rogu targowiska zebrali się astrologowie dyskutujący o nowym zjawisku, na temat którego zażarcie klócili się już od miesiąca. Otóż między rogami Byka pojawiła się nowa gwiazda. Mimo gorącej dyskusji nie doszli jak na razie do żadnego porozumienia poza tym, iż pojawienie się tej gwiazdy może być znaczące bądź też nie, a jeżeli tak, to wróży to coś dobrego albo wręcz przeciwnie.

Conan przybył na targ późnym rankiem po krótkiej wizycie w dzielnicy bławatników. Teraz miał na sobie nową tunikę i spodnie oraz skórzane buty. Żadna część jego garderoby, wyjąwszy buty, nie była najwyższej jakości, gdyż Cymmerianin pamiętał, że będzie musiał

zamienić ubranie na cieplejsze, gdy tylko wyruszy na północ.

Kiedy przechodził przez targowisko, kobiety stojące przy fontannie ścigały go pełnymi zachwytem spojrzeniami. Nie zwracał jednak na nie uwagi, pochłonięty poszukiwaniem dobrej broni. Khorshemish słynęło z wyrobów w metalu oraz przybywało tutaj wiele karawan, tak więc u miejscowych kupców można było znaleźć produkty najróżniejszych ludów. Conan z uwagą przyglądał się towarom wyłożonym przed sklepem handlarza broni. Brał każdy miecz po kolei i oglądał krytycznym okiem, podczas gdy kupiec bez przerwy zachwalał swój towar.

— Turański pałasz, mistrzu! Zakrzywiony jak sierp księżycy. Jego rękojeść jest wykładana perłami i złotem, to broń książęca...

— Nie zabija się rękojeścią — odparł Conan. — To się robi brzeszczotem.

— Macie rację, mistrzu. Wypróbujcie więc ten miecz z Vendhii. Ostrze jest obłożone potężnym czarem.

— Nie wierzę w czary, wierzę w dobry miecz i umiejętność władania nim. Nie masz broni z Zachodu lub Północy? Wolę proste, szerokie ostrze od tych zakrzywionych sztylecików.

— Wobec tego ten miecz będzie ci doskonale odpowiadał, mistrzu. — Kupiec ściągnął

materiał skrywający wspaniały, prosty miecz z krótką gardą i ciężką, rzeźbioną głowicą. — Z

Vanaheimu, mistrzu!

Oczy Conana zapłonęły na widok tej broni. Vanirowie od dawna znani byli z wyrobu doskonałych mieczy. Uniósł broń i sprawdził wyważenie. Wypolerowana stal zabłysła w porannym słońcu. To się nie zgadzało. Vanirowie po pierwszym szlifowaniu ostrza pozostawiali zawsze perłowoszarą

powierzchnię stali. Nigdy nie polerowali mieczy do połysku lustra. Conan podejrzliwie przeciągnął paznokciem kciuka wzdłuż jednej krawędzi, od rękojeści po czubek, potem odwrócił ostrze i przeciągnął po drugiej. W połowie miecza wyczuł drobną nierówność stali.

Podniósł go do oczu i odsunął się w cień tak, by blask odbijającego się światła nie mógł ukryć wad. Od brzegu do środka klingi biegło zamaskowane cyną pęknięcie szerokości włosa.

Rozgniewany cisnął miecz na stół.

— Nadaje się tylko do przekucia — stwierdził. — Nie masz czegoś lepszego?

Kramarz, zirytowany uporem barbarzyńcy, szerokim gestem wskazał sklep za sobą.

— Jest tam jeszcze kilka starych mieczy, jeśli chcesz, to je sobie obejrzyj.

Po wejściu do środka Conan odczekał, aż wzrok przyzwyczai się do panującego tu mroku.

Potem przebierał w leżącej stercie mieczy i sztyletów, aż znalazł ciężki, lekko zakrzywiony jednosieczny tasak. Jeszcze raz przejrzał miecze, ale żaden mu się nie spodobał. Miał już zapłacić za tasak i poszukać innego kramu, gdy dostrzegł wielki, gliniany dzban stojący w rogu. Z naczynia sterczał pęk mieczy. Wyciągnął kilka. Były stare, poszczerbione i zardzewiałe. Rzemienie oplatające rękojeści całkowicie przegniły.

Chciał już wyjść, kiedy zauważył miecz inny niż reszta. W mroku dało się jedynie stwierdzić, że ostrze jest szerokie i proste oraz że rękojeść rozpadła się dawno temu —

pozostał jedynie nagi trzpień między jelcem i głowicą. Conan wyniósł miecz na zewnątrz, by lepiej się przyjrzeć. W słonecznym świetle okazało się, że ostrze jest purpurowoczarne ze starości, ale nie przerdzewiało. Osobliwie wykuty w brązie jelec i głowica zzieleniały ze starości.

Chcąc wypróbować jego wyważenie, Conan pożyczył skórzany pas z sąsiedniego kramu, owinął trzpień i zamachnął się kilka razy. Nawet z nieodpowiednią rękojeścią miecz był

doskonale wyważony, jak żaden z tych, które dotychczas oglądał. Odwinął skórę, oddał ją i spytał, ile jest winny za miecz i tasak.

— To bardzo niezwykły i stary miecz, panie — odpowiedział kupiec. — Niewątpliwie posiada wiele ukrytych zalet.

— Głęboko ukrytych. Kupiłeś go od cmentarnych hien za grosze.

Czas spędzony na Wschodzie nauczył Conana sztuki targowania się. Sprzeczka z kupcem ocierała się chwilami o bijatykę, a przechodzący obok próżniacy przystawali, by wtrącić swoje rady. Ostatecznie Conan wyszedł z mieczem zawiniętym w długi materiał i tasakiem zatkniętym za pas. Był przeświadczony, że zdobył świetną broń za psie pieniądze, z kolei kupiec był równie mocno przekonany, iż wcisnął bezwartościowy złom nie znajdującemu się na rzeczy cudzoziemcowi za

horrendalną sumę.

W dzielnicy jubilerów Conan odnalazł warsztat snycerza. W niewielkiej izbie znajdowały się kamienie szlifierskie, naczynia z piaskiem i jakimiś proszkami. Conan podał rzemieślnikowi swój nowy nabytek.

— Czy możesz go oczyścić i naostrzyć? Potrzebuję też nową rękojeść. Ze zwykłego drewna, jeleniego rogu lub kości.

Snycerz zbadał drobiazgowo miecz, a sposób, w jaki to czynił, powiedział Conanowi, że trafił do właściwej osoby. Ten człowiek doskonale znał się na broni, choć nie jako wojownik.

— Wspaniały miecz — oznajmił na koniec snycerz. — Wielce wyjątkowy, myślę, że mogę coś z nim zrobić. Po wyczyszczeniu będzie wyglądał lepiej niż jakikolwiek miecz, który dotychczas widziałeś. Zasluguje na wyjątkową rękojeść. Mam coś, co ci się, panie, spodoba.

— Nie chcę nic wyszukanego, chcę drewno lub kość... — zaczął Conan, lecz rzemieślnik już zniknął w sąsiedniej izbie.

Cymmerianin obawiał się, że snycerz będzie próbował sprzedać mu rękojeść z nefrytu, kryształu lub innego wspaniałego, lecz bezużytecznego materiału.

Mężczyzna powrócił ze szkatułką z wonnego sandałowego drzewa.

— Dostałem to od kupca z Hyrykanii dwa lata temu — wyjaśnił. — Długo czekałem na tak zacny miecz.

Otworzył skrzynkę i pokazał cienki arkusz czegoś, co wyglądało jak pergamin. Było to białe niczym świeża kość słoniowa i pokryte małymi guzami. Zaintrygowany Conan przeciągnął palcami po nierównej powierzchni. Doświadczenie powiedziało mu, że ten egzotyczny i piękny materiał będzie się doskonale nadawał na pokrycie rękojeści.

— Co to jest? — zapytał z zaciekawiony. — Jakaś skóra?

— To skóra grzbietowa rai olbrzymiej z wysp wschodniego Khitai. Najlepsza w świecie okładzina na rękojeści mieczy. Wymodeluję ją z twardego drewna i okleję tą skórą. Trzpień jest tak długi, że łatwo zmieszczą się tam twoje obie dłonie, ale myślę, że materiału wystarczy także na oklejenie rękojeści twojego tasaka,

— A zatem zrób tak — powiedział Conan, nie pytając o cenę. Wiedział, że będzie wysoka.

Gotów był zapłacić każdą sumę za doskonałą broń czy też podjąć duże ryzyko i ją ukraść. —

Czy wykonałbyś równie dobrą pochwę?

— Tym zajmą się moi czeladnicy. Jaką byś chciał, panie?

— Prostą, skórzaną do tasaka. Do miecza cienką, z najtwardszego drewna, jakie masz. Ma być oklejona natłuszczoną skórą i obita brązem przy wylocie. Wewnątrz wyłożona dobrze wygarbowaną, jagnięcą skórą.

— Z kimś tak znakomicie znającym się na broni z przyjemnością robi się interesy, panie.

Przyjdź za dwa dni, a wszystko będzie gotowe.

Conan ruszył dalej. Teraz szukał konia i siodła. Wiedząc, że czeka go bardzo długa podróż, nie zważał na handlarzy usiłujących sprzedać mu piękne, rące konie, które kiedy indziej wypróbowałyby z przyjemnością. Teraz nie było na to czasu. Wreszcie dosiadł wielkiego, gniadego wałacha z silnymi płucami i pęcunami. Ponieważ miał podróżować bez

dotychczasowych bagaży, a ostatnią część drogi przebyć pieszo, nie zwracał sobie głowy zwierzętami jucznymi.

Na koniec kupił obszerny płaszcz, który mógł służyć jako okrycie lub derka. Zawinął weń swój dobytek i przytroczył do siodła. Postanowił nie kupować zbroi i hełmu, gdyż bez obciążenia mógł podróżować szybciej oraz ze względu na swoich rodaków, którzy uważali noszenie zbroi za objaw zniewieścienia.

Wieczorem wrócił do gospody. Był w daleko lepszym nastroju niż wczoraj. Powziął już decyzję i nie był człowiekiem, który rozpamiętywałby własne błędy czy stracone okazje.

Myślał teraz tylko o podróży w rodzinne strony. Już dawno nie widział krewnych i nie oddychał świeżym, górskim powietrzem. Zamierzał odwiedzić starych przyjaciół i przez jakiś czas pomieszkać wśród nich.

— Amulet, panie? — Conan obejrzał się i zobaczył starego Khitajczyka, trzymającego na wyciągniętej dłoni kilka nie dających się opisać wisiorków. — Ochroni cię przed nieszczęściem, przed Złym Okiem, przed utonięciem i ukąszeniem węża. — Stary mężczyzna uśmiechnął się zachęcająco.

— Może masz dla mnie jeszcze jakąś ponurą przepowiednię, stary kruku? — mruknął

Conan ze skąpym uśmiechem. Nie chciał, by podstarzały wróżbita zmącił mu nastrój radosnego podniecenia. — Trzymaj! — Rzucił starcowi ciężką, srebrną monetę z Koth.

Khitajczyk chwycił pieniądz wolną ręką, ugryzł go i z chichotem ukrył w łachmanach.

Wyciągnął rzemień, na którym kołysał się osobliwie wyrzeźbiony mały kamień.

— Bierz — ponaglił starzec. —To dobra ochrona.

— Przeciw czemu? Utonięciu, ukąszeniu węża? Ja wierzę tylko w swoją siłę.

— Czasami siła nie wystarcza. A wtedy potrzeba dobrego amuletu lub zaklęcia. Uratuje ci życie, gdy

zawiedzie siła.

Conan wziął przedmiot i zawiesił na szyi. Uczynił to niechętnie, raczej by nie urazić starego człowieka niż z innej przyczyny. Postanowił, że w drodze podaruje go jakiejś namiętnej dziewczynie.

Stary mężczyzna uśmiechnął się kpiąco.

— Schowaj to pod tunikę. Niedobrze, jeśli magię widzi zbyt wiele osób. — Ruszył do wyjścia, w pół drogi odwrócił się i pokiwał upominająco palcem. — Pamiętaj, tylko pionki na szachownicy bogów.

— Jeśli mówisz, że kierują nami inne moce, to jaki jest pożytek z amuletów?

Starzec zachichotał wesoło.

— Czasami nawet bogowie potrzebują amuletów.

Dwa dni później Conan stał przed kramem snycerza. W rękach trzymał odnowiony miecz.

Teraz ostrze lśniło i dziwnym, jasnoniebieskim połyskiem, jakiego nigdy nie widział na stali innych mieczy. Jelec i głowica były wypolerowane do barwy złota i przedzielone wspaniałą rękojeścią z perłowobiałej skóry rai. Jednak szczytem doskonałości było wyważenie miecza, dzięki czemu broń dawała się prowadzić lekko i niemal bez wysiłku.

Zachwycony Conan wykonał migoczącym ostrzem serię i finezyjnych cięć, których nauczył

się od turańskiego mistrza miecza. Ten zaimprovizowany pokaz wywołał wrzask przerażenia, a potem przekleństwa przechodnia, który znalazł się zbyt blisko. Na koniec,

usatysfakcjonowany Conan schował żelazo do nowej pochwy. Powiesił ją na lewym boku, przeciwnie do tasaka, który teraz miał identyczną rękojeść.

— Naostrzenie tego miecza zajęło mi dwukrotnie więcej czasu niż zwykle — powiedział

snycerz. — To bardzo twarda stal, ale za to teraz możesz się nią golić. Zaś ten błękitny kolor widziałem tylko kilka razy na ostrzach bardzo starych mieczy. Tajemnica wytwarzania takiej stali zaginęła bardzo dawno temu. Gdy przyjrzesz się dokładnie, zobaczysz nieco jaśniejszy kolor wzdłuż krawędzi. Są one wykonane z innej stali, oddzielnie hartowane i spojone stalą o mniejszej twardości, ale za to bardziej sprężystą... — rzemieślnik westchnął. —

Najświetniejsze turańskie ostrza w porównaniu z tym to śmiecie. Mam nadzieję, że będzie ci dobrze służył, panie.

Conan chętnie zapłacił wysoką cenę. Gotów był zapłacić o wiele więcej. Złoto było niczym i przepływało mu między palcami jak woda, a dobra stal była czymś, czemu mężczyzna mógł

zawierzyć. Z budzącym zaufanie ciężarem u boku pomaszerował do gospody, w której zatrzymała się

Hathor–Ka.

Tym razem karczmarz był niezwykle usłużny. Conan co prawda nie był wspaniale ubrany, miał prostą tunikę i zwykłe buty, jednak teraz wyglądał jak wojownik, a taki mężczyzna zawsze budzi respekt.

Wspiął się po schodach i zapukał do drzwi. Otworzył mu Moulay i wpuścił do środka.

Conan zobaczył Hathor–Ka siedzącą przy stole nad wielką mapą.

— Wyruszę jutro o świcie — oznajmił bez wstępu. — Daj mi flakonik.

— Bardzo się śpieszysz.

— Wolałabyś bardziej opieszalego posłańca?

— Chodź tutaj — rozkazała. — Pokaż trasę, którą myślisz jechać.

Conan obszedł stół, by przyjrzeć się mapie. Widywał już wcześniej mapy, ale tym razem miał trudności z powiązaniem rysunku z rzeczywistym krajobrazem. Nie mogę odczytać tych gryzmołów. Hathor–Ka nazwała główne państwa i większość rzek. Teraz mapa zaczęła nabierać sensu. Conan zauważył, że granice środkowych, cywilizowanych krajów są wyraźne, natomiast położenie barbarzyńskich oznaczono jedynie szkicowo. Czubkiem palca wskazał

zaplanowaną trasę.

— Pojadę prosto na północ przez Ophir i dalej przez Nemedię. Może zatrzymam się w Belverus, jeżeli chwilowo nikt nie będzie oblegał tego miasta, a potem ruszę do Kresowego Królestwa. Powieszają mnie, jeśli dam się tam złapać, ale będę miał do pokonania jedynie wąski pas tego kraju. Później znajdę się w Cymmerii.

— Dlaczego nie pojedziesz przez Aquilonię? — zapytała Hathor–Ka. — Jest tam więcej miast i osad. Mógłbyś skierować się na północ, do Gunderlandu i Pogranicza Bossońskiego.

W ten sposób większa część drogi wiodłaby przez cywilizowane krainy.

Conan przecząco potrząsnął głową.

— Wschodni szlak wiedzie głównie przez otwartą równinę, której nie przecinają żadne wielkie rzeki. Jest doskonała do podróżowania konno, podczas gdy Aquilonia jest pocięta rzekami, a wszystkie one płyną na południe. To hamowałoby jazdę wierzchem, a łodzią byłoby jeszcze wolniej. Poza tym, tędy wjechałbym do Cymmerii na terytorium Murroghów, a ten klan od pięciu pokoleń, to jest od czasu, gdy jeden z moich przodków ukradł im wszystkie konie, toczy z moim krajem wojnę. Rozejm zawarliśmy tylko przed atakiem na Venarium.

— Doskonale. Nie obchodzi mnie, jak będziesz jechał, ale chciałam się upewnić, że jesteś człowiekiem, który potrafi wybiegać myślą do przodu i planować. — Hathor–Ka odwróciła się do Moulaya i skinęła głową.

Moulay raz jeszcze otworzył skrzynię i wyciągnął flakonik. Hathor–Ka trzymała go przez chwilę, a potem podała Cymmerianinowi.

— Nie wolno ci dopuścić do tego, by coś stało się z tym naczyniem czy jego zawartością, zanim nie dopełnisz ostatniego kroku swej misji.

— Nie musisz mi tego przypominać — warknął Conan. — Dotrzymam słowa! — Wyszedł, nie zwracając sobie głowy dalszymi uprzejmościami.

— Pani, nie tęsknię do widoku zimnej Północy, jednak myślę, że sami powinniśmy podjąć się tej wyprawy — rzekł Moulay, gdy za Conanem zamknęły się drzwi.

Hathor–Ka podeszła do wąskiego okna i wyjrzała na ulicę. Zobaczyła szerokie plecy Cymmerianina oddalającego się długim, równym krokiem.

— Nie, Moulayu, nie masz racji. Nawet gdybyśmy podoleli trudom podróży, nigdy nie zdążylibyśmy przed jesiennym zrównaniem dnia z nocą. Musiałabym użyć najpotężniejszych czarów, by przyspieszyć podróż i w rezultacie przybyłabym zbyt zmęczona, by sprostać walce, która być może będzie mnie tam czekała. Ten człowiek jest doskonały. Jest silny, głupi i dotrzyma danego słowa.

Moulay podniósł haczykowany nos i parsknął pogardliwie.

— Cóż dzikus może wiedzieć o honorze?

— Więcej, niż ci się wydaje. Honor jest barbarzyńską cnotą, którą cywilizacja zachowała jedynie w pustej formie. Poza tym, największa przewaga w skorzystaniu z usług tego człowieka polega na tym, że jest on Cymmerianinem i będzie we własnym kraju. — Rzuciła ostatnie, długie spojrzenie na Cymmerianina niknącego za rogiem. — Nie, nie mogłam dokonać lepszego wyboru.

Następnego ranka Conan minął Północną Bramę Khorshemish. Wschodzące słońce

zabarwiło na czerwono mury miasta, którego północna strona była jeszcze pogrążona w cieniu. Koń Conana przecisnął się między skrzydłami wrót, gdy tylko rozsunęły się one na tyle, by było to możliwe. Strażnicy na szczycie murów ziewając czekali na przybycie zmienników. Marzyli tylko o tym, by jak najszybciej zwalić się na prycze w koszarach.

Mimo wczesnej pory nie tylko oni byli na murach przy Północnej Bramie. Obok słupów, które podtrzymywały potężny bęben, stała koścista, odziana w łachmany postać grzechocąca sznurami kości i muszelek. Gdy Conan oddalał się od murów Miasta Na Równinie, sędziwy, khitajski wróżbita pomachał mu na pożegnanie.

PIĘCIU JEŹDZCÓW

Conan był w drodze od siedmiu dni, a od sześciu wiedział, że jest śledzony. Trudno jest śledzić kogoś na otwartej równinie, a w przypadku gdy tropi się człowieka doświadczonego, podejrzliwego i na dodatek Cymmerianina, jest to niemożliwe. Conan, zgodnie ze starym nawykiem, co kilka godzin wjeżdżał na najbliższe wzniesienie i rozglądał się po okolicy.

Szczególną uwagę zwracał na przebytą drogę.

Na drugi dzień dostrzegł pięciu jeźdźców, którzy najwyraźniej go śledzili. Znajdowali się daleko z tyłu i nie mogli szybko pokonać dzielącego ich dystansu. Cymmerianin wiedział

jednak, że w końcu będzie musiał stawić im czoło, bowiem samotny człowiek nie mógł bez końca uciekać przez tropiącą go piątką, chyba że znajdowałby się na bardziej odpowiednim terenie. Tak jednak nie było.

Conan miał dobrego konia. Nie brakowało mu również pewności siebie i bez wątpienia był

bardziej wytrzymały niż podążający za nim jeźdźcy. Poza tym sam mógł wybrać miejsce walki. Najlepsze do tego celu zawsze były wzniesienia, jednak w tej okolicy było ich niewiele.

Rankiem siódmego dnia Conan wypatrzył wysoki na kilkanaście kroków pagórek i uznał, że stanowi on dobre miejsce, by zwyciężyć lub umrzeć. Uwiązał konia przy małym potoku, ćwierć mili dalej. Najpierw napoił zwierzę, a potem oczyścił je starannie. Upewnił się, że sznur jest na tyle cienki, iż wałach przegryzie go w kilka godzin. Nie chciał, by w przypadku jego śmierci zwierzę zostało skazane na powolną śmierć.

Kiedy wszystko było gotowe, Conan zjadł garść suszonych owoców i wędzonego mięsa, po czym wrócił na pagórek. Zobaczył, że pięciu konnych jest jeszcze daleko, usiadł więc, by na nich poczekać.

Nie chciał, by dostrzegli go zbyt wcześnie. Przy szansach jeden do pięciu nie można było lekceważyć zaskoczenia. Gdy mężczyźni zbliżyli się, Cymmerianin wyciągnął miecz i zamachnął się podziwiając jego piękno. Skoro potyczka stała się nieunikniona, radował się możliwością wypróbowania nowego ostrza.

Gdy pięciu jeźdźców znalazło się w odległości nie większej niż sto kroków, wstał, uniósł

miecz nad głową i krzyknął:

— Jestem Conan z Cymmerii! Jeśli chcecie mnie zabić, czekam na was. Chodźcie i spróbujcie, nizinne szczury!

Zdumieni jeźdźcy ściągnęli cugle. Taki postępek tropionego był ostatnią rzeczą, jakiej się

spodziewali. Podobne wyzwanie należało do epoki herosów, a wszyscy wiedzieli, iż przeminęła ona wieki temu. Po pośpiesznej naradzie zabójcy bardzo rozsądnie zdecydowali szarżować wszyscy razem.

Conan uśmiechnął się na widok pięciu koni pędzących beładnie naprzód. To było to, na co czekał. Tylko doskonale wyćwiczeni jeźdźcy mogli walczyć w piątkę nie przeszkadzając sobie, a wszelkie oznaki świadczyły, że ci tutaj nie posiadają gwardyjskiego wyszkolenia.

Jasne było, że pochodzą z różnych krajów. Każdy z mężczyzn był odziany i uzbrojony zgodnie z miejscową modą.

Gdy nierówna linia jeźdźców zbliżała się do pagórka, Conan rzucił się w lewo obiegając nadjeżdżających. Przeciwnikom zdawało się, że piesza walka przeciwko konnym jest czystym samobójstwem, w rzeczywistości jednak to Conan zyskał przewagę. Nie musiał zawracać sobie głowy kierowaniem wierzchowcem i mógł skupić się wyłącznie na zabijaniu, co doskonale odpowiadało jego porywczemu stylowi walki.

Jeździec z Shem po lewej ręce Conana miał kręconą brodę i bufiaste spodnie. Nie nosił zbroi i dosiadał konia bez strzemion, w prawej ręce trzymał długą lancę, a na lewym ramieniu miał tarczę. Z gardłowym okrzykiem zniżył włócznię, chcąc przebić Cymmerianina.

Conan rzucił się w dół wzniesienia i dotarł do jego podnóża w chwili, gdy koń zmienił krok, wspinając się na wzgórze. Nagła zmiana rytmu na chwilę wytrąciła jeźdźca z równowagi.

Conan nie potrzebował więcej czasu. Gdy grot włóczni zachwiał się niepewnie, barbarzyńca odbił go mieczem i skoczył w górę, wyrzucając ostrze na całą długość ramienia. Shemita próbował jeszcze osłonić się tarczą, ale nie był dość szybki. Ostrze uderzyło poniżej szczęki.

Shemita zwałił się w tył, a z rozciętego gardła trysnęła szerokim łukiem krew.

Conan natychmiast wrócił na szczyt wzniesienia. Napastnicy krążyli oszołomieni, próbując zrozumieć, co się właściwie wydarzyło. Pierwszym, który zorientował się w sytuacji, był

Turańczyk w spiczastym hełmie. Spiał wierzchowca i wymachując ciężkim toporem runął tak, jakby chciał stratować Cymmerianina. Conan w ostatniej chwili uskoczył w bok, zamachał się i gdy jeździec go mijał, odrąbał mu lewą nogę powyżej kolana.

Zanim barbarzyńca odzyskał równowagę po potężnym ciosie, znalazły się przy nim dwa następne konie, które naparły nań piersiami i powaliły na ziemię. Wtedy skoczył nań Zamorańczyk uzbrojony w długi, zakrzywiony sztylet. Conan odrzucił miecz i w chwili, gdy udało mu się złapać napastnika obiema rękoma, poczuł żelazo tnące mu ramię. Poderwał się nadal trzymając przeciwnika i kątem oka dostrzegł miecz wznoszący się nad swoimi plecami.

Z szybkością i siłą nieznaną wśród cywilizowanych narodów wciągnął Zamorańczyka na siebie, zasłaniając się nim jak tarczą przed świszczącym ostrzem. Zamorańczyk wrzasnął

przeraźliwie, gdy stał rozłupała mu kręgosłup. Conan wziął zamach i cisnął trupa w osłupiałą twarz wojownika z Argos. Gdy obaj z głuchym łoskotem runęli na ziemię, Conan rzucił się na powalonego Argosańczyka i wykręcił jego szeroki hełm, aż cichy trzask karku oznajmił, że dalszy wysiłek jest zbędny. Szybko zerknął na piątego.

Mężczyzna był może o dwadzieścia kroków przed nim i przyglądał się rozgrywającej scenie z ponurą cierpliwością. Ubrany był w pancerz z grubych pasów skóry, nabijanych żelaznymi ćwiekami, a na obu przedramionach miał skórzane ochraniacze. U siodła wisiał prosty, dwuręczny miecz. Spod hełmu wysypały się loki brązowych włosów, a jego oczy były błękitne jak oczy Conana. Gdyby nie gładko ogolona twarz, można by go wziąć za Aesira, Conan jednak był pewien, że człowiek ten pochodzi z kraju leżącego bardziej na południe.

— Miałeś dobrą rozgrzewkę, cymmeriański psie — rzucił bandyta, zsiadając z konia. —

Ale wojownika z Gunderlandu trudniej zabić niż tych wschodnich chuderlaków.

Conan podniósł swój miecz i sprawdził, czy rękojeść nie jest śliska od rosy lub krwi.

— Zabijam ich równie łatwo jak innych — odrzekł hardo. — Wielu padło z mojej ręki pod Venarium, a miałem wtedy tylko piętnaście lat.

— Venarium! — Gunderlandczyk splunął. — Poprzysiągłem zabić tuzin cymmeriańskich psów za każdego krewnego, który poległ w tej rzezi. Ich krew woła o pomstę!

Dwaj ludzie Północy spotkali się na szczycie wzniesienia. Walczyli bez sztuki i subtelności, dzierżąc oburącz potężne miecze. Błękitna i szara klinga raz po raz krzeszały iskry pod wpływem siły uderzeń. Przechwałki i wyzwiska skończyły się, teraz jedynymi dźwiękami, jakie wydawali, były gniewne warknięcia i stękanie, jakie wrywało z ich piersi przy każdym cięciu. Walka ograniczała się do zamachów i parowania ciosów, ale mimo wagi walczących i ciężaru ich broni nie była ani wolna, ani monotonna. Miecze uderzały i blokowały cięcia tak szybko, że dostrzeżenie ich wymagało doświadczonego oka.

Conan pocił się obficie i sapał jak kowalski miech. Minęły lata, od kiedy po raz ostatni potykał się z człowiekiem z Północy, a wyrastający w trudach wojownicy aquilońskiego pogranicza pod względem szybkości i siły przewyższali niejednego Cymmerianina. Lecz Conan szczycił się potężną budową, nie spotykaną nawet we własnym plemienu.

Gunderlandczyk, biorąc zamach do strasznego ciosu, odchylił się o szerokość palca za daleko w tył, co dało Conanowi czas na uskoczenie w bok. Gdy rozpędzona głownia nie napotkała żadnego oporu, napastnik pochylił się do przodu, desperacko walcząc o odzyskanie równowagi. Jednak było już na to zbyt późno. Miecz Cymmerianina zatoczył szeroki, poziomy łuk i poprzez twardą skórę wgryzł się w bok przeciwnika. Conan wyszarpnął ostrze, wzniosł je, zakreślił ostrzem wielkie półkole i uderzył znowu. Brzeszczot rozrąbał pancerz i ciało od ramienia do piersi, bezlitośnie łamiąc kości i rozcinając płuca.

Jeszcze przez chwilę Gunderlandczyk utrzymywał się na nogach, po czym runął niczym podcięte

drzewo. Conan, dysząc jak zgoniony koń, oderwał strzęp ubrania jednego z rozrzuconych wokół ciała i zaczął troskliwie czyścić miecz. Pozostali byli martwi. Człowiek, któremu odrąbał nogę, wykrwawił się na śmierć w czasie walki Conana z

Gunderlandczykiem. Cymmerianin podszedł do przeciwnika z Północy, który jeszcze dyszał.

— Kto cię wynajął, Gunderlandczyku? — zapytał.

— Czyżbyśmy byli przyjaciółmi, bym miał ci wyświadczyć taką uprzejmość? —

wycharczał pokonany. — Nie zdradzę tego.

— Zgoda, zatem powiedz, jak brzmi twoje imię.

— Nie wystarczy ci, że mnie zabiłeś? Chcesz jeszcze zniszczyć moją duszę?

— Tedy musisz znać mieszkańców Cymmerii lepiej niż ja sam! — rzucił gniewnie Conan.

— My zabijamy naszych wrogów w uczciwej walce, a zemstę zostawiamy Demonom Piekieł.

Twe imię potrzebne jest mi do pieśni, którą ułożę, gdy moja wędrówka dobiegnie kresu. To była dobra walka, po mojej śmierci wojownicy będą o niej śpiewać nad moim stosem pogrzebowym.

— Jestem Hagen — wydyszał wojownik. — Teraz o nic nie pytaj. Ostatni dech... jaki mi pozostał... pragnę poświęcić na... przeklinanie ciebie...

Nie chcąc mu przeszkadzać, Conan obejrzał swój miecz. Z zadowoleniem stwierdził, że nie ma na nim śladu szczyrb i jest ciągle ostry. Schował go do pochwy, spędził pięć wierzchowców, a potem przewiązał sobie ranę od noża. Przeszukawszy zabitych znalazł przy każdym ciężkie, złote monety z osobliwymi napisami. Conan widział takie pieniądze wcześniej i wiedział, że pochodzą z Vendhii. Uśmiechnął się na myśl, że złoto przeznaczone na nagrodę za jego głowę wzbogaci jego sakiewkę.

Zabrał ze sobą konie, by sprzedać je w Belverus. Wszystko inne zostawił. Każdy mógł

handlować końmi, ale osobisty dobytek pięciu zabitych wzbudziłby niepożądane

zainteresowanie. Conan zszedł ze zlanego krwią wzgórza. Wiedział, że w ciągu roku ścierwojady rozwloką ogryzione kości, a drewno i skóra zgniją. Po kilku latach o stoczonych bitwie świadczyć będzie jedynie porznięte żelastwo i nieco bardziej zielona łąka trawy.

Później nawet te ślady znikną i pozostanie jedynie bezkresna równina, od wieków pojona krwią niezliczonych tysięcy wojowników.

Conan miał gorączkę i chwiały się w siodle, gdy wreszcie dostrzegł na horyzoncie mury Belverus. Na szczęście miasto nie było oblegane. W tej chwili Conan nie był w stanie jechać dalej. Bramy stały otworem. Jeden ze strażników podniósł rękę, by zatrzymać

nadjeżdżającego barbarzyńcę. Żołnierz w drugiej dłoni trzymał drewnianą tabliczkę pokrytą woskiem oraz rylec z brązu.

— Jak się nazywasz i po co przybywasz, cudzoziemcze? — zapytał ostro.

— Jestem Conan z Cymmerii. Potrzebuję noclegu i targu końskiego, by sprzedać zwierzęta

— mówił rwącym się głosem. Twarz pokrywały mu gorączkowe rumieńce.

— Jesteś chory. Nie możesz wjechać do miasta, jeśli dopadła cię zaraza.

Conan bez słowa zrzucił opończę, odsłaniając paskudne, jątrzące się cięcie na ramieniu. Od napuchniętej rany rozchodziły się czarne i czerwone smugi, a z wnętrza sączyła się ropa.

— Na Mitrę! — zaklął strażnik. — Musisz znaleźć medyka, inaczej stracisz rękę, jeśli nie życie. Zostaw na razie swoje konie tutaj, dam ci stosowny kwit. Jedź do domu doktora Romallo, to tylko dwie ulice stąd.

W normalnych warunkach Conan pozwoliłby, aby ciało wyleczyło się samo. Nie ufał

żadnym konowalom. Dotąd korzystał z ich usług jedynie wtedy, gdy trzeba było założyć szwy na jakąś szczególnie głęboką ranę. Podejrzewał, że wszyscy medycy wyrządzają daleko więcej złego niż dobrego, tym razem jednak wiedział, że nie ma wyboru.

Ogromny, skrwawiony nóż nad wejściem oznajmiał, że właśnie w tym domu zamieszkuje doktor Romallo. Conan zapukał i drzwi otworzył starszy, brodaty mężczyzna.

— Potrzebujesz leczenia?

— Przecież nie filozoficznej dysputy, na Croma! — odwarknął Conan, odsłaniając ranę.

— Hmm. Wielce interesująca rana. Chodź, młody człowieku, zobaczymy, co się da zrobić.

Dom medyka pełen był dziwnych przedmiotów. Wypchane zwierzęta zwisały na sznurach z krokwi sufitu. W słojach ze spirytusem pływały zakonserwowane, ohydne morskie stwory.

Na półkach leżały rozmaite instrumenty ze szkła i brązu, a powietrze wypełniał zapach ziół.

Było to dziwne miejsce, ale Conan nie wyczuł śladu czarów. Medyk wskazał ławę pod oknem i Conan usiadł. W milczeniu znosił ból, gdy mężczyzna grzebał mu w ranie.

— Mogę ją otworzyć i oczyścić, potem zaszyć i umieścić na niej gojący okład, ale obawiam się, że to może nie wystarczyć.

— Dlaczego nie? Czyż nie na tym polega twoja sztuka?

— Owszem, jednakże to zakażenie nie jest naturalnego pochodzenia. Jesteś w bardzo kiepskim stanie,

a taka rana wszak nie powinna spowodować tak dużego cierpienia.

— Zgadza się, wielokroć bywałem gorzej raniony i nie miałem podobnych kłopotów. Może to ostrze było zatrute?

— Nie, w takim wypadku objawy byłyby zupełnie inne. Myślę, że jesteś pod działaniem jakiegoś szczególnie groźnego czaru, i mogę się jedynie zastanawiać, dlaczego jeszcze żyjesz.

Potężnym ciałem Conana wstrząsnął dreszcz, a chłód, który go ogarnął, nie wynikał z gorączki. Kto go przeklął? I co go ochrania? Nagle zrozumiał i mimo gorączki wybuchnął śmiechem.

— To chyba nie pora na śmiech — powiedział medyk, ze zdumieniem unosząc brwi.

— Właśnie rozumiałem, że płacę za swoją żądzę. Rób, co do ciebie należy, a resztę zostaw mnie. Gdy skończysz, będę potrzebował bankiera, który wymieni mi pieniądze.

Zdumiony medyk uczynił to, o co go proszono. Conan, pomimo bólu, zdobył się na szeroki uśmiech. Ależ jego wróg był przebiegły! Nie wystarczyło mu nasłanie pięciu morderców. Na dodatek zapłacił im monetami obłożonymi klątwą, gdyż wiedział, że jeśli Conan zwycięży, to weźmie złoto i w ten sposób sam wyda na siebie wyrok.

Co go chroniło? Spod tuniki wyłowił talizman, który dostał od starego Khitajczyka. Nie był pewien, ale miał wrażenie, że jego kolor odrobinę się zmienił. Pograżony w ponurym milczeniu Cymmerianin cierpliwie znosił bolesne zabiegi doktora. Coraz bardziej czuł się jak wspomniany przez Khitajczyka pionek na szachownicy bogów.

Wymiana nieczystego złota na inne monety i sprzedaż pięciu koni zajęła Conanowi czas do wieczora. Zaprowadził swojego wierzchowca do stajni i wyczerpany zwałił się na pryczę w oberży. Rana mniej mu dokuczała, jednak w dalszym ciągu źle się czuł. Wiedział, że przyjdzie mu spędzić w Belverus kilka dni, do czasu powrotu pełni sił. Nie przejmował się zbytnio tym opóźnieniem, gdyż wciąż jeszcze był w stanie dotrzeć do Ben Morgh przed równonocą.

Tawerna na nabrzeżu była zapchana do granic możliwości i rozbrzmiewał w niej

wielojęzyczny gwar. Z wielkich okien, przez które wpadał słony powiew powodujący migotanie płomieni świec, widać było maszty stłoczonych w porcie statków.

Messancja znajdowała się u ujścia rzeki Khorotas, wpadającej do Morza Zachodniego.

Leżała po zingaranskiej stronie, ale jak większość morskich portów była wolnym miastem.

Mieszkańcy niewiele przejmowali się faktem, że Agros rościło sobie prawa do tego kawałka lądu. Miasto na równinie, otoczone potężnymi Górami Rabirańskimi od północy i rzeką od południa, tworzyło samodzielne państewko w państwie. Połowa mieszkańców była

tymczasowa, składała się głównie z marynarzy wielu narodów i ludzi, którzy żyli z morza.

Siedzący w tawernie reprezentowali ludność całego miasta. Obok miejscowych

Zigarańczyków i Agrosańczyków tłoczyli się Shemici z haczykowatymi nosami i kręconymi brodami, cisi Stygijczycy w czarnych jedwabiach oraz ponurzy Barachańczycy z zatkniętymi za pas nożami i krótkimi mieczami — zwykłym orężem do walk na morzu. Przy innym stole siedziało kilku Kushytów chlubiących się wymyślnie splecionymi fryzurami. Skóra czarnych wojowników natarta była wielce przez nich cenionym, wonnym olejem palowym. W

kolczykach, pierścieniach i innych ozdobach, w których lubowali się ludzie morza, odbijał się blask pochodni i kaganków.

Na małej platformie na środku sali, przy dźwiękach fletu i tamburynu, prężyła się w zmysłowym tańcu młoda Zamoranka. Jej strój składał się z wielu dużych bransolet i jednej małej woalki. Marynarze okrzykami i klaskaniem w takt muzyki wyrażali swój zachwyt.

— Myślałem — rzekł Gopal — że dno cywilizacji oglądaliśmy w Korshemish. Teraz widzę, iż się myliłem.

Młody mężczyzna i jego wuj siedzieli przy małym stole pod oknem.

— Naciesz się tym miejscem, drogi bratanku — rzekł Jaganath z nieodłącznym łagodnym uśmiechem. — Tam, gdzie się wybieramy, nawet nie dotarty wieści o cywilizacji. Ostatecznie w tym mieście znajduje się kram z książkami, jest szkoła z jakąś tam reputacją, a nawet kilku drugorzędnych magów. U celu naszej wędrówki czeka nas straszliwe odludzie, z rzadka zamieszkane przez barbarzyńców i krwiożerczych dzikusów, prymitywnych jak ci Kushyci.

— Napełnia mnie to przerażeniem — wyznał Gopal. Pociągnął wina, suto rozcieńczonego wodą. Na półmisku przed nim leżało pieczone mięso owinięte w liście winorośli, jednak długa, monotonna podróż pozbawiła go apetytu.

— Jeśli chcesz zostać magiem — powiedział Jaganath — musisz przebyć niejedną trudną ścieżkę. Człowiek, który lęka się wysiłku i niebezpieczeństw, nigdy nie zdobędzie wiedzy i mocy. — Podniósł kęs z talerza i wepchnął go do ust. — Przynajmniej mają tu znośną kuchnię. W takim porcie łatwo można dostać różnorodne przyprawy wysokiej jakości.

Jak wielu Vendhiańczyków wysokiego rodu, Jaganath i Gopal rzadko jadali mięso, a jeśli już, to mocno przyprawione.

Do tawerny wszedł nowy gość. Przez moment rozglądał się po sali, a kiedy dostrzegł

Vendhiańczyków, zbliżył się do ich stołu. Wysokie buty i krótkie, natarte smołą warkocze oznajmiały, że jest żeglarzem. Oczy przybysza spoglądały arogancko. Twarz miał poznaczoną bliznami i dziobami po ospie, ale jej rysy były arystokratyczne. Jaganath uznał go za potomka zingaranskiej szlachty.

— To wy chcecie się zabrać na północ? — zapytał przybysz.

— Tak — odrzekł Jaganath. — Siadaj, proszę. Mężczyzna usiadł i nalał sobie wina ze stojącego na stole dzbana. Zignorował stojący obok dzban z wodą. Wysuszył kubek i napełnił go ponownie.

— Jestem Kasavo, z wysp Baracha, dowodzę „Śpiewającym Ptakiem”. Usłyszałem wczoraj, że dwóch Vendhiańczyków szuka przewoźnika, który zabrałby ich na Północ, i że można się z nimi spotkać tu, w „Żeglarskiej Rozkoszy”.

— Musimy szybko dostać się do Vanaheimu. Pływasz tak daleko?

Kasavo wybuchnął śmiechem.

— Do Vanaheimu? Nikt nie żegluje tak daleko stąd. W każdym bądź razie, teraz i tak jest zbyt późna pora na taką wyprawę. Mogę cię wziąć do Kordawy, ostatniego cywilizowanego portu przed Piktyjską Dżiczą. Tam, jeśli szczęście ci dopisze, może znajdziesz jakiegoś kupca z Vanaheimu, który nie zważając na sztormy został do końca sezonu, by zakupić towary po niższych cenach. Ale ostrzegam, podróż o tej porze roku jest bardzo niebezpieczna. Lepiej zimować w Kordawie. To wielce figlarny port... — powiedział, bawiąc się wielkim, ognistym rubinem w kształcie łzy, który zwisał na krótkim łańcuszku z jego ucha.

— Nie boję się sztormów. Kiedy odpływasz?

— Z porannym przyływem. Godzinę po wschodzie słońca. Dobytek możecie załadować o wschodzie. Mam dla was kajutę. Pozostaje jeszcze sprawa zapłaty.

Jaganath lekceważąco machnął tłustą ręką.

— Zapłacę, gdy wypłyniemy. Mam dość złota.

W oczach mężczyzny na moment rozbliły się chciwość, którą usiłował pokryć udawanym zainteresowaniem.

— A czegoż to szukacie w takim zapomnianym przez bogów miejscu jak Vanaheim? Widać po was, że nie przepadacie za zimnym klimatem.

— Jesteśmy nauczycielami. Ja piszę księgę o dalekich krajach dla króla Vendhii.

— Zatem Vanaheim powinien cię zadowolić. Leży prawie na końcu świata. Tedy jesteś wysłannikiem dworu?

— Tak, jestem ambasadorem i wiozę dary mojego króla dla wielmożów z tamtych krain.

Mój pan chciałby nawiązać przyjacielskie stosunki ze wszystkimi narodami, nawet tymi najbardziej odległymi.

Na wzmiankę o darach oczy Kasavo ponownie rozbłysły. Gopal, który jak zawsze, gdy miał do czynienia z obcymi, słuchał pilnie, gotów był w każdej chwili wesprzeć słowa wuja.

— Więc spodziewam się was jutro o wschodzie słońca. Muszę teraz wrócić na swój statek i powiedzieć ludziom, by przygotowali dla was kwatery. „Śpiewający Ptak” cumuje przy Mniejszym Nadbrzeżu. Nietrudno go poznać, jego burty są pomalowane na czerwono i mają zielone oczy tuż nad linią wody.

Wychylił wino i odszedł pewnym krokiem, choć w tak krótkim czasie wyżyłopał znaczną ilość nie rozcieńczonego trunku.

— O ile się nie mylę, wuju — mruknął Gopal, gdy mężczyzna wyszedł z tawerny — ten człowiek jest niczym innym jak piratem. Czy widziałeś, jak jego twarz zmieniała się na każdą wzmiankę o pieniądzach?

— Doskonale. I słyszałem, że Wyspy Baraha, o których mówił, to słynne gniazdo morskich rozbójników. Właśnie dlatego dopilnowałem, abyśmy podróżowali z cennymi bagażami.

Kilku kapitanów już odmówiło wyruszenia na północ o tej porze roku, ale pirat z ochotą weźmie na pokład zamożnych pasażerów, po to by ich obrabować albo by wymusić okup.

— A jeśli spróbują nas zamordować i cisnąć ciała bogom morza?

Jaganath uśmiechnął się szeroko i podniósł kolejny smakowity kąsek.

— Nie jesteś zadowolony, Gopalu, że nasza dalsza podróż nie będzie tak nudna jak dotychczasowa żegluga barką?

Wbrew lirycznej nazwie „Śpiewający Ptak” posiadał drapieżną sylwetkę rekina. Był niski i smukły, stworzony dla pędu, z niewielkim zanurzeniem i burtami wznoszącymi się nie więcej niż dwa łokcie nad linię wody. Nie nadawał się do przewozu dużych ładunków, a na jego pokładzie znajdowało się daleko więcej ludzi, niż potrzeba do obsługi takiego żaglowca.

Pojedynczy wysoki maszt z ukośną reją podtrzymywał ogromny, skośny żagiel, dzięki któremu statek z łatwością mógł dopędzić każdy pękaty, powolny handlowiec. Wzdłuż burt znajdowały się dulki dla tuzina długich wiosł.

Jaganath był wielce zadowolony z widoku żaglowca. Taki statek mógł przebyć drogę do Vanaheimu w bardzo krótkim czasie. Mag wciągnął powietrze w płuca, ciesząc się świeżym słonym powiewem. Świeżość tę psuły wonie nabrzeża. Z jednego żaglowca rozchodziła się woń słodkich przypraw, z innego odór niewolników. Wszechobecny był smolisty zapach ożaglowania. Belki pod stopami skrzypiały, gdy nabrzeże poruszało się zgodnie z falami przyływu. Jaganath odwrócił się do stojących za nim tragarzy. — Wnieście bagaże na ten statek — powiedział wskazując „Śpiewającego Ptaka”. Mężczyźni popatrzyli na żaglowiec, potem na maga. W ich oczach odmalowało się zdziwienie, ale wzruszyli ramionami i wzięli okute skrzynie. Ostrożnie stąpając zeszli po stromej kładce na pokład.

Kasavo wyszedł z ustawionego na rufie namiotu i uśmiechnął się na ich widok.

— Witam na pokładzie, przyjaciele. Wasza kabina jest gotowa i nadszedł przyływ — ton jego głosu był lekko kpiący. Ludzie zajęci pracą czy też wałkoniący się na pokładzie podnieśli głowy, szczerząc zęby w szerokich uśmiechach. Gopal pokonał trap szybko i zwinnie, zaś Jaganath podążył za nim z dostojnością i poczuciem równowagi

zadziwiającym u tak grubego człowieka.

— Wciągnąć i zamocować trap — rozkazał Kasavo. — W drogę!

Tragarze odepchnęli trap i odwiązali cumy z pachołków. Statek zaczął dryfować oddalając się od pirsu, a marynarze wspięli na maszt, by opuścić wielki żagiel.

Po odcumowaniu Kasavo odwrócił się do pasażerów.

— Chodźcie ze mną, pokażę waszą kajutę. Rozkazałem dwóm oficerom, by się z niej wynieśli. Będą spać na dole razem z resztą. W czasie podróży powinna być piękna pogoda.

— Jesteś wielce uprzejmy — stwierdził Jaganath.

Ich „kajuta” okazała się maleńką nadbudówką w pobliżu rufy. Miała słomiany dach i płócienne ściany. Dwaj mężczyźni i ich dobytek z trudnością zmieścili się w jej wnętrzu.

— Będzie tu trochę ciasno — stwierdził drwiąco Kasavo. — Jeśli chcesz, panie, możesz przechować swoje bagaże w ładowni.

— Zostawię je tutaj. Zauważyłem, że masz niewiele miejsca na ładunek.

— Zgadza się, to nie jest pojemny transportowiec. „Śpiewający Ptak” przeznaczony jest do transportu drobnego, luksusowego towaru, na przykład przypraw. Szybkość odgrywa w ich transporcie wielką rolę, ponieważ zaczynają się psuć wkrótce po zebraniu. Szybki statek może dostarczyć je na początku sezonu, a tym samym przynieść duży zysk.

— Naprawdę? — zapytał Jaganath, udając jednocześnie łatwowernego i zainteresowanego.

Zupełnie jakby Kasavo mógł nauczyć Vendhianina czegoś nowego o handlu korzeniami. —

Ich stan jest ważniejszy niż ilość?

— Oczywiście — odpowiedział Kasavo, skrycie śmiejąc się z naiwności cudzoziemca. —

Kupcy z Północy płacą krocie za skrzynię świeżych, nie zepsutych kilkutygodniowym pobytom na morzu korzeni.

— Nie poczułem zapachu przypraw na tym statku — powiedział Jaganath z pozornym zdumieniem.

— Sezon na korzenie się skończył — odparł szybko Kasavo. — Teraz płyniemy do

Kordawy z balastem, tam weźmiemy ładunek wyrobów szklanych, by zawieźć je na Południe.

Szkło to inny bardzo opłacalny ładunek. Czarnoskórzy z południowego wybrzeża płacą za nie naręczami kości słoniowej, cennych skór i piór.

— To fascynujące. Mój król będzie wielce zainteresowany tymi sprawami. Musimy

porozmawiać o nich w czasie podróży. Jego wysokość życzy sobie, bym w swej księdze zawarł wszystkie szczegóły dotyczące handlu.

— Będę na twoje usługi — powiedział Kasavo z przyjaznym uśmiechem. — Ale teraz muszę zająć się statkiem. Powinieneś zabezpieczyć swoje dobra liną. Gdy miniemy falochron, woda stanie się bardziej niespokojna. Jeśli poczujesz się źle, pamiętaj, by wychylać się po zawietrznej. To ta strona, po której wiatr nie wieje ci w twarz. — Kapitan z bezczelnym uśmiechem odszedł w stronę dziobu.

— Korzenie! — parsknął Gopal w ojczystym języku. — Każdy, komu nie dokuczają katar, od razu powie, że ten statek nigdy nie wiózł ich więcej, niż mieści się w zwykłej pieprzniczce.

Marzę o tym, by zdeptać tę głupią, bezczelną mordę.

— Zachowaj spokój, bratanku. Od tej pory jesteśmy niezbyt rozgarniętymi bakałarzami, którzy wierzą we wszystko, co słyszą. Śmieją się wraz z nimi, gdy będą z ciebie żartować.

Niech mają swoją przyjemność. — Jaganath uśmiechnął się łagodnie. — Niedługo my się z nich pośmiejemy...

Następnego ranka Gopal zapadł na chorobę morską, wywołując tym niepokonowaną

wesołość załogi. Jaganath pożyczył od kucharza trójnog z żarem i zaparzył porcję herbaty, która szybko przywróciła zdrowie jego młodemu towarzyszowi. Załoga była zawiedziona, że jej uciecha trwała tak krótko, ale nie zaprzestano podrzucania z pasażerów. Na początku płatano im niewinne figle, jakie marynarze tradycyjnie robią szczerom lądowym. Później jednak przyszła pora na całkiem nieokrzesane, złośliwe kawały. Nawet Kasavo zrzucił maskę uprzejmości i zaczął traktować pasażerów z ledwie skrywanym lekceważeniem. Było jasne, że piraci niedługo znudzą się tą zabawą i cisną ciała dwóch Vendhiańczyków rekinom, po czym podzielą się ich bagażami. Żegluga okazała się dłuższa, niż oczekiwano. Statek musiał

halsować i zmagać się z przeciwnymi wiatrami, co jeszcze bardziej wpłynęło na pogorszenie nastrojów. Vendhiańczycy jednakże nie przestawali się uśmiechać i bez protestów pozwalali, by robiono z nich durniów.

W końcu, gdy „Śpiewający Ptak” pokonał niebezpieczną cieśninę Baracha pomiędzy wyspami i stałym lądem, pogoda się poprawiła. Do Kordawy pozostało nie więcej niż dwa dni drogi. Słońce dostojnie opadało ku horyzontowi, kiedy Jaganath zwrócił się do swojego bratanka:

— Gopalu, nie musisz już dłużej znosić bezczelności tych podludzi. Rób, co uważasz za słuszne.

— Jak każesz, wuju. — Gopal uśmiechnął się okrutnie i wyszedł z małej kabiny. Mimo późnej pory roku powietrze było bardzo ciepłe i balsamiczne, więc Gopal ubrany był tylko w turban i płócienną przepaskę, zza której wystawała wysadzana klejnotami rękonoś krótkiego, zakrzywionego sztyletu.

Młody pasażer podszedł do relingu, gdzie stał kubeł z wysmołowanej skóry. Zanurzył go, wyciągnął napełniony po brzegi i postawił na pokładzie. Schylił się i ochlapał morską wodą twarz, ramiona i klatkę piersiową.

Stojący w pobliżu marynarze wybuchnęli śmiechem na jego widok. Byli zwykłą bandą, wielojęzyczną zgrają, którą łączyło jedynie zamiłowanie do występku. Obok wygolonego na łyso Kushyty stał haczykonosy Shemita. U jego stóp siedział śniady Stygijczyk, a przy nim żółtowołosy Gunderlandczyk, który zbłądził na morze ze swego położonego w głębi ładu kraju. Kilku innych tworzyło drugą grupę, w której najbardziej wyróżniał się wysoki, chudy Poitańczyk ubrany w długie do kolan spodnie z czerwonego jedwabiu, przepasane szeroką szarfą z kothyjskiego złotogłowiu. Wszyscy obserwowali Gopala z szerokimi uśmiechami, dopóki nie pojawił się Kasavo. Gdy Poitańczyk uchwycił spojrzenie jego drapieźnie błyszczących oczu, kapitan nieznacznie skinął na pochylonego Vendhianina. Chudy marynarz uśmiechnął się złośliwie i ruszył w stronę Gopala.

Gopal wciąż jeszcze kuczał, wycierając ręce kawałkiem szmaty, gdy na poziomie jego oczu pojawiła się para odzianych w jedwab kolan. Zanim zdążył się podnieść, naga stopa przewróciła kubeł. Gopal uśmiechał się służalczo i wyprostował powoli.

— To wiadro stało na twojej drodze, nieprawdaż? Przepraszam, przyjacielu. Muszę być bardziej uważny.

Poitańczyk roześmiał się chrapliwie i szturchnął Gopala palcem w owłosioną klatkę piersiową.

— Przepraszasz mnie? Cóż, przeprosiny nie wystarczą. Może chciałbyś się zabawić? —

Odwrócił się w stronę kamratów i zadowolony z ich aprobaty, błysnął zębami w złośliwym uśmiechu.

— Zabawimy się, panie — przytaknął Gopal, również uśmiechając się szeroko. — Znasz grę Król–Jest–Martwy? Możemy przygotować szachownicę tu, na pokładzie, a z ciężarków do łowienia ryb zrobimy pionki.

— Nie, nie. — Poitańczyk z kpiącą powagą potrząsnął głową. — Ja mam na myśli bardziej emocjonującą zabawę.

— Bardziej emocjonującą, panie? — powtórzył Gopal z widocznym zainteresowaniem.

— Tak. Potrafisz tańczyć, cudzoziemcze?

— Tańczyć, panie?

— Tak, tańczyć, głupcze! — wrzasnął zniecierpliwiony marynarz. Wyszarpnął zza szarfy szeroki, zinganański sztylet. Na ostrzu wytrawione było święte imię Mitry, ale także odznaczało się ono iście bezbożną ostrością. Poitańczyk niedbałym ruchem skierował czubek w stronę nagiego brzucha Gopala.

— Panie, co to znaczy?

— To znaczy, że chcę z tobą zatańczyć! — Poitańczyk pchnął, lecz Gopal zwinnie odskoczył do tyłu. Jaganath wyłonił się z kajuty i rozejrzał spokojnie. Teraz wszyscy poza sternikiem zebrali się na głównym pokładzie i przyglądali „zabawie”.

— Aha, teraz rozumiem. Masz na myśli taki taniec! — Gopal wyciągnął swój sztylet i ujął

go tak, jakby chciał podać Poitańczykowi. Ostrze Vendhianina było cienkie, lekko zakrzywione i naostrzone z obu stron.

— Jaki? — zapytał zbity z tropu Poitańczyk. Widząc zaś, że sztylet Vendhianina jest krótki, dodał: — Bardzo dobrze, lądowy sznurze. Jeśli chcesz, porównamy w tańcu nasze noże! —

Przykucnął, wciągnął brzuch i wyciągnął sztylet przed siebie, kładąc kciuk na ostrzu. Tej obronnej pozycji nauczył się w dzieciństwie, lewa ręka lekko uniesiona powyżej prawej, gotowa do uchwycenia nadgarstka przeciwnika. Wszystko to było zgodne z poitiańskimi regułami walki na noże.

Gopal, ciągle uśmiechnięty, trzymał sztylet tak niedbale, że wydawało się, iż lada chwila go upuści.

— Nie znam twojego tańca. Bardzo cię proszę, udziel mi lekcji.

Poitańczyk nagle uświadomił sobie, że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie i stracił

dotychczasowy rezon, jednakże czuł na sobie oczy kamratów i nie chciał wyjść przed nimi na tchórza, który zląkł się bakałarza ze Wschodu.

— Po pierwsze... musisz zajrzeć we własne gardło! — ryknął i skoczył, mierząc sztyletem w szyję Gopala, jednak Vendhianina od dobrej chwili nie było w poprzednim miejscu.

Gopal z gracją przemknął pod tnącym powietrze ostrzem. Dla reszty załogi wypad Poitańczyka był oszołamiająco szybki i w każdej innej bójce oznaczałby jej koniec. Jednak dla Gopala, który został wyszkolony przez najlepszych vendhiańskich mistrzów, atak przeciwnika był niemożliwie powolny i niezgrabny. Uniknął go z taką łatwością, że poczuł

rozczarowanie. Mgnienie oka później doskoczył i przeciągnął ostrzem w poprzek brzucha przeciwnika.

Ogłupiały Poitańczyk spojrział w dół i zobaczył, jak cienka, czerwona linia poszerza się, a z brzucha zaczynają wypływać wnętrzności. Gopal wyciągnął rękę i chwycił garść jelit.

— Teraz możemy zatańczyć, przyjacielu! — szarpnął i połyskujące białawo kiszki wysunęły się na

dwie piędzi. Poitańczyk, jak w transie, zrobił krok w kierunku Gopala i upuścił sztylet, próbując obiema rękami odebrać Vendhianinowi swoje wnętrzności i wepchnąć je z powrotem do brzucha. Gopal, chichocząc jak szalowiec, wodził go za jelita po całym pokładzie. Na koniec stanął przy relingu i cisnął trzewia do morza. Oglupiały Poitańczyk rzucił się za nimi, jakby wierzył, że zdoła naprawić swoje zniszczone ciało.

Gopal zaniósł się głośnym śmiechem.

— Lubię taką zabawę! — rozejrzał się po pokładzie, napotykać wytrzeszczone oczy załogi. — Kto jeszcze chce się zabawić? Na pewno znajdzie się jeszcze ktoś, kto zechce udzielić głupiemu cudzoziemcowi lekcji tańca!

Skoczył Kushyta z gładko wygoloną głową, wymachując krótkim dziirytem o szerokim grocie.

— Zabiłeś mojego druha! Już jesteś martwy, lądowy szczurze! — pchnął potężnie, ale Gopal umknął jak cień, lekko obszedł ostrze dziirytu i uderzył z szybkością pioruna.

Zakrzywiona stal, która trafiła Kushytę tuż poniżej ucha, wbiła się nie więcej niż na cal, ale to wystarczyło, by dosięgła tętnicy. Z małej rany wytrysnęła fontanna krwi. Czarnoskóry na próżno próbował zatamować krwotok dłonią. Po chwili upadł na pokład, a na deskach rozlała się rosnąca kałuża krwi.

Teraz ruszyła reszta. Groźny Argosańczyk zamachnąwszy się pałką, popełnił karygodny błąd, za który zapłacił życiem. Gopal zwinnie zmienił kierunek ruchu i jednym płynnym ruchem poderżnął mu gardło. Zingarańczyk próbował ciąć go długim mieczem. Gopal uchylił

się zręcznie, wciągając brzuch w półobrocie i błyskawicznie pchnął ukośnie w górę. Ostrze weszło pod brodę, przebiło się do mózgu i zabiło Zingarańczyka na miejscu.

To było zbyt wiele. Piraci cofnęli się w popłochu tak, by odległość między nimi a Gopalem była możliwie jak największa. Jedynym, który pozostał na miejscu, był sam Kasavo.

Wyciągnął swój krótki miecz i zbliżył się ostrożnie, balansując na piętach.

— Wypróbuj teraz na mnie te swoje wschodnie sztuczki, pętaku. Zobaczymy, czy dasz radę.

Zamarkował cios w stronę twarzy Gopala, a potem zniżył ostrze, by zanurzyć stal w jego sercu. Gopal zignorował zwód i ruszył do przodu, wyginając się lekko. Miecz kapitana przeciął nieszkodliwie powietrze, a w chwilę później stuknął o pokład, gdy Gopal ciął pirata w nadgarstek. Kasavo odskoczył do tyłu, kurczowo łapiąc się za rękę. Nie mógł poruszać palcami, gdyż Vendhianin przeciął mu ścięgna.

— Żaden człowiek nie zdoła pokonać całej załogi — warknął. — Zabijcie ich obu!

Piraci z wyciem dobyli mieczy i ruszyli gromadą. Gopal stanął bez ruchu, zupełnie spokojny.

— Stać!

Zatrzymali się i ze strachem popatrzyli na stojącego na rufie Jaganatha. Wydawało się, że zyskał co najmniej łokieć wzrostu, a wokół niego błyszczała czarna aura. Z ust maga popłynął strumień dziwnych, gardłowych słów. Twarze mężczyzn straciły wyraz, a ich miecze z łoskotem upadły na pokład.

— Zwiąż ich, bratanku. Zostaw czterech czy pięciu do pracy przy żaglu.

Cała załoga stała obojętnie, gdy Gopal wiązał ich po kolei skórzanymi rzemieniami. Pięciu marynarzom przeznaczonym do kierowania statkiem Jaganath poświęcił specjalną uwagę.

Mrucząc czarnoksięskie inkantacje, krwią zebraną z pokładu narysował na ich czołach dziwne symbole. Po zakończeniu tych praktyk uwolnił pozostałych spod działania czaru. Oszałeli ze strachu piraci poczęli wyć i szarpać nieustępliwe więzy, co było zupełnie bezcelowe, bowiem Gopal w zakładaniu pęt był równie biegły, jak we władaniu sztyletem.

— Spokój, ścierwa, spokój — powiedział Jaganath z łagodnym uśmiechem. — Dzięki nam spotka was wielki zaszczyt. Dzisiejszej nocy zaznajomicie się z pewnymi bardzo potężnymi istotami. Wiem, że czekacie na to niecierpliwie, ponieważ ludzie waszej profesji rzadko mają okazję przestawać z wielkimi tego świata... i każdego innego! — ryknął upiornym śmiechem, a jego wielki brzuch zaczął się trząść jak galareta.

Przez resztę dnia Jaganath czynił przygotowania, a Gopal wiernie mu asystował.

Sparaliżowani ze strachu piraci patrzyli, jak Vendhianie wybrali jednego spośród nich, i poćwiartowali nieszczęśnika żywcem. Wybrane narządy wewnętrzne zostały użyte do ceremonii, która powtórzyła się w różnych miejscach statku, gdzie Jaganath na deskach pokładu nakreślił świeżą krwią skomplikowane znaki. Przed zachodem wszystko było gotowe.

— Wstydzę się, że muszę to robić, bratanku — rzekł Jaganath. — Te skomplikowane obrzędy i wzywianie mocy głębin są niegodnymi mnie zabiegami, bardziej przystojącymi nowicjuszom. Myślałem, że skończyłem z tym lata temu, kiedy zacząłem zgłębiać prawdziwe wielkie królestwo czarów. Jednakże do końca podróży musimy mieć pomyślne wiatry i spokojne morze. By tak się stało, muszę wezwać Tego, Który Zamieszkuje Miasto Na Dnie Morza — tytuł ten wypowiedział w sekretnym języku magów najwyższej rangi, a wręgi okrętu zadygotały w odpowiedzi.

Gdy nad falami wzniósł się opasły księżyc, Jaganath stanął na dziobie okrętu, wzniósł ręce i zaczął zawodzić straszonym głosem w języku nieznanym żadnemu ludowi. Kapitan i załoga

„Śpiewającego Ptaka” leżeli na śródokręciu. Niebawem morze wokół kadłuba zaczęło jarzyć się nieziemską zielenią.

Potem pojawiły się ogromne, garbate stwory przełamujące powierzchnię w odległości kilku kroków od burt. Co chwila ginęły pod wodą, pozostawiając za sobą jedynie ohydny smród —

esencję gnicia i rozkładu zachodzącego na morskim dnie. Wielkie macki, śluzowate i opalizujące, zwijały się i rozwijały na falach, bijąc w wodę przed ponownym zanurzeniem. W

pewnym momencie okręt opłynął długi na pół mili, podobny do węża potwór, którego żłobkowy grzbiet raz wznosił się, raz opadał nad wodą. Jego głowa i ogon ani razu nie pokazały się na powierzchni.

Chociaż morze jak okiem sięgnąć było wzburzone i spienione, statek rozciął łagodnie łagodne i nienaturalnie spokojnej wody. Stopniowo zielona barwa wody zmieniła się w krwistą czerwień. Pomniejsze stworzenia z głębin przestały się pojawiać i fale nieco się wzburzyły.

Nagle bezkształtny cień przyciemnił jarzącą się wodę. Powoli stawał się coraz większy, jakby jakieś niewyobrażalnie wielkie stworzenie wznosiło się z najdalszych głębi morza. Cień stał

się tak ogromny, iż zdawało się niemożliwe, że może być rzucony przez jakąkolwiek żywą istotę.

A potem stwór przebił powierzchnię. Ukazał się garbaty kolos, z którego boków

porośniętych glonami i koralami spływały spienione kaskady wody. Wśród narośli i guzów pełzały mniejsze stworzenia. Wielki jak wyspa wznosił się, dopóki jego grzbiet znalazł się wyżej niż czubek masztu. Potwór miał tuzin płonących wściekłością oczu, a poniżej nich szeroki, bezzębny pysk, z którego wypływał zielony szlam. Wreszcie ukazały się setki macek otaczających przerażający kadłub bestii. Bijący odeń smród był tak ohydny, że wszystko to, co było wcześniej, zdawało się w porównaniu z nim igraszką. Ci z więźniów, którzy jeszcze nie pomdleli ze strachu, poczęli wymiotować.

Jaganath dalej śpiewał monotonie i po kilku minutach potwór z dna morza odpowiedział.

Zwiotczałe wargi wygięły się w parodii ludzkiej mowy, a dobywający się z nich głos miał tak niskie brzmienie, iż nie ludzkie ucho, a raczej ciało i kości odbierały ten dźwięk. Potwór wymówił kilka słów. Ta upiorna rozmowa urwała się w chwili, gdy księżyc osiągnął

najwyższy punkt na niebie.

Stwór zbliżył się do statku, a jego ślepiea spoczęły na obłąkanych ze strachu piratach, wijących się w daremnej próbie uwolnienia z więzów i ucieczki od tego koszmaru.

— Daję wam przywilej — oznajmił Jaganath — uczestniczenia w kolacji mojego gościa...

Macki prześlizgnęły się nad relingiem i owinęły talię pierwszego z brzegu mężczyzny.

Podniosły go do góry i zbliżyły do oczu. Stwór przyglądał się wrzeszczącemu piratowi tak, jak człowiek badający egzotyczny owoc przed spróbowaniem. Za moment inne macki owinęły kończyny nieszczęśnika, wrywając je po kolei i pakując do ohydnej paszczy. Na koniec potwór, kończąc mękę, urwał piratowi głowę i wzniosł pozbawiony kończyn korpus niczym makabryczny bukłak, zmiażdżył, by wycisnąć resztę krwi, i upchnął miążgę w pysku.

W ten sam sposób pożarł resztę, na koniec chwytając Kasavo. Na twarzy kapitana, jeszcze zanim przyszła jego kolej, pojawiły się oznaki całkowitego obłądu.

Potwór z głębin wypowiedział w końcu do Jaganatha jedno słowo i zanurzył się powoli.

Szeroki wir oznaczył miejsce, w którym zniknął. Czerwony żar spłowieł, a cień widoczny w wodzie kurczył się stopniowo, w miarę jak potwór zanurzał się coraz głębiej. Wkrótce wszystko się uspokoiło. Księżyc jak gdyby nigdy nie oświetlał żaglowiec, który płynął po zupełnie spokojnej wodzie. Pozbawiona woli część załogi pracowała przy żaglu nie zdając sobie sprawy z mijających godzin.

— Nigdy nie myślałem, że zobaczę wielkiego boga głębin — rzekł Gopal, gdy poczuł, że głos nie będzie mu drżeć. Jaganath nigdy przedtem nie robił takich rzeczy w jego obecności.

— To nie był wielki bóg — sprostował mag. — Lecz ledwie jeden z jego pomniejszych sług. Wielki bóg śpi w swoim mieście na dnie morza. Nawet ja nie zniósłbym jego widoku, ale może już niedługo będą rozmawiał z nim jak równy z równym. Z pewnością wypadki, które nas czekają, wyrwą go z wiekowej drzemki.

— Jeśli wezwanie tego sługi było dla ciebie czymś niegodnym, to aż kręciło mi się w głowie na myśl o mocy, jaką już teraz posiadasz.

— Tak, nawet teraz jestem jednym z największych magów. Wkrótce zaś będę największym ze wszystkich i posiadę niewyobrażalnie większą władzę niż mam teraz. Lecz jestem nieco zmęczony, bratanku, pójdę się przespać. Jutro powinniśmy znaleźć się blisko Kordawy.

Następnego ranka, gdy miasto znalazło się w zasięgu wzroku, czarnoksiężnik i jego bratanek spuścili szalupę i załadowali do niej swoje bagaże. Gdy oddalili się od statku, zaczarowana załoga przekreśliła reję i odpłynęła na zachód.

— Co oni teraz zrobią? — zapytał Gopal.

— Będą płynąć tak daleko, dopóki nie stracą lądu z oczu. Wtedy posłuszni moim rozkazom podpalaą żaglowiec i spłoną lub utopią się wraz z nim.

Gopal naparł na wiosła,

— Co powiemy po dopłynięciu do portu?

— Nic nie będziemy mówić. Gdy się zbliżymy, uczynię nas niewidzialnymi. Kordawa to ogromny port i cumuje w nim wiele statków. Mogliśmy przy płynąć na każdym z nich. Nie należy więc wymyślać żadnej historii, która usprawiedliwiłaby nasze przybycie.

Musielibyśmy wtedy podać się za rozbitków, a chyba nie chcemy, aby towarzyszyła nam opinia pechowców, czyż nie? Obaj mężczyźni zanieśli się gromkim śmiechem.

Starkad, wódz Vanirów, wydawał ucztę. Siedzący na ławach wojownicy śpiewali, pili piwo i miód z oprawionych w srebro bawolich rogów oraz silnymi zębami odrywali od kości wielkie kawały na wpół surowego mięsa jeleni i dzików. Odznaczali się potężną budową. Ich włosy i zarost miały barwę od jasnego pomarańcza do czerwonego brązu. Przeważały jednakże rude czupryny i brody,

równie pospolite u Vanirów, jak złociste włosy u ich krewniaków i jednocześnie odwiecznych wrogów Aesirów. Za każdym wojownikiem wisała okrągła tarcza, ozdobiony rogami hełm, miecz, włócznia i łuk.

U szczytu długiego, stojącego na kozłach stołu znajdowało się wyniesienie, na którym siedzieli Starkad i jego goście. Vanir przyglądał się uważnie dwóm przybyszom ze statku, który wczesnym rankiem zawinął do fiordu Starkadsgarth. Tworzyli oni najdziwniejszą parę, jaką widział od wielu lat. Mieli ciemną skórę i pozbawione zarostu twarze. Jeden był wysoki i gruby, a drugi młody, mały, wręcz delikatny. Pochodzili z jakiegoś dalekiego, wschodniego kraju, o którym nigdy nie słyszał. W grubym Starhod wyczuwał coś dziwnego, coś co nasuwało myśl, iż jest on czarnoksiężnikiem. Było więcej niż pewne, że człowiek był bogaty.

Na dodatek robił wrażenie, że oczekuje jakiejś usługi. — Pijesz z wielce interesującego pucharu, królu Starkadzie — zagadnął Jaganath.

— Nie jestem królem. Jestem wodzem. Uważaj, bo jeśli moi ludzie usłyszą, że nazywasz mnie królem, to wpadną we wściekłość i zabiją cię. — Starkad podniósł puchar i spojrzał na niego. Rzeczywiście było to osobliwe naczynie — ludzka czaszka ze ściętym czubkiem i wyłożona wewnątrz złotem. Oczodoły również wypełniało błyszczące złoto, podobnie nóżkę oraz podstawkę wykonano z tego drogiego kruszcu.

— Tak, jest piękny, nieprawdaż? To czaszka Hagmunda Aesira, który zabił mojego ojca i za to zginął w katuszach. Ilekroć piję z tego pucharu, czuję, że duch mego ojca raduje się w zaświatach. Poza tym wino pite z czaszki wroga ma słodszy smak.

— Domyślam się — odpowiedział Jaganath.

Starkad był zawiedziony, że jego słowa nie wywarły na Vendhianinie większego wrażenia.

Przyczyna tego była prosta: czarnoksiężskie studia Jaganatha zmuszały go do praktyk, w porównaniu z którymi prymitywna brutalność Vanira była zaledwie dziecinną igraszką.

Starkad zastanowił się, czy nie zabić cudzoziemców i zabrać ich złoto, ale nie chciał

ściągnąć przekleństwa na siebie i swój ród.

Vendhianie leniwie dłubali w jedzeniu, od czasu do czasu urywając kromki chleba czy przegryzając kawałek owocu. Ignorowali parujące mięsiwo leżące na płaskich, obustronnie opiekanym podpłomykach. Ich oczy były zaczerwienione od obficie dymiącego ogniska, płonącego w głębokim dole w centrum sali. Kominy nie były znane w krajach Północy i dym tułał się po kątach, by w końcu znaleźć ujście w dziurach w szczytowych ścianach. Mimo płonącego ognia obaj goście ubrani byli w ciężkie wełniane stroje i futra. Widać było, że ogromnie dokucza im przenikliwy chłód północnej jesieni.

W odległym końcu dworzyszczu dwaj Vanirowie przystąpili do wielce uciesznej zabawy, polegającej na przeciąganiu mokrej baraniej skóry nad dołem z żarzącymi się węglami. W

pewnej chwili jeden z wojowników z wrzaskiem przerażenia stoczył się do jamy. Zwycięzca tradycyjnie narzucił mu skórę na głowę i kopniakami nie pozwolił zbyt szybko wygramolić się z dołu. Gdy w końcu poparzony i osmolony pechowiec wygrzebał się z jamy, przywitał go radosny ryk siedzących naokoło stołu wojów.

— Założę się, że nie znacie takich zabaw w zniewieściałych krajach Południa — powiedział Starkad, krztusząc się ze śmiechu.

— Obawiam się, że nie. — Jaganath skrzywił nos. Smród przypalonych włosów i wełny był wszechobecny. — Ale ty prawdopodobnie nigdy nie widziałeś kilkutysięcznej armii stratowanej przez słonie.

— Hmm. Jeśli o to chodzi, to jeszcze nigdy nie widziałem słonia. — Starkad zastanowił się, czy nie wysłać zaraz kogoś na południe po słonia, który przydałby się do tratowania jeńców.

— Mówiłeś o swoich aesirskich wrogach, a czy nie najeżdżacie również Cymmerianów?

— Tak, na Ymira, robimy to! Z nimi także walczymy.

— Czy zdobywacie na nich bogate łupy?

— Bogactwa? Nie, Cymmerianie to nędzarze, prawie wcale nie mają srebra ani złota.

Najbiedniejszy Aesir czy Vanir jest wielkim panem w porównaniu z najbogatszym Cymmerianinem.

— W takim razie dlaczego wplątujecie się w wojny z tak bitnym narodem, skoro nie ma u nich nic wartościowego do zagrabienia?

— Czy ja powiedziałem, że nie ma niczego? Napadamy na ich wioski, by brać dzieci.

Dorośli jego niewolnicy są bezużyteczni. Kobiety i mężczyźni giną w walce albo wolą własną ręką zadać sobie śmierć, zamiast iść do niewoli, ale cymmeriańskie szczenię na Południu osiąga wysoką cenę. Właściwie wychowane staje się najlepszym niewolnikiem. Haruje tak ciężko jak sobie zyczysz, mało je i możesz je tłuc do woli. Byle co nie może go zabić. Z

dorośli jest inaczej. Widziałem otoczonego cymmeriańskiego wieśniaka, który najpierw zabił swoją żonę i dzieci, a potem sam rzucił się na nas ze skrwawionym mieczem. Tak, to są bardzo twardzi ludzie. — Starkad odchylił się do tyłu i pociągnął długi łyk z czaszki-pucharu.

— Ale my, Vanirowie, jesteśmy twardsi!

— Tedy nie bałbyś się małej wyprawy do Cymmerii?

— Ja miałbym się bać?! — ryknął obrażony Starkad. — Vanirowie nie boją się niczego! —

Po chwili jednak, bardziej spokojnie, dodał: — Ale nigdy nie podejmujemy ryzyka bez pewnego zysku, szczególnie o tak późnej porze roku. Teraz jest czas świętowania i hulank.

Wkrótce będę gościł innych wodzów, a później oni mnie, aż do wielkiego festynu w środku zimy. Ho ho, tak na piękne oczy nie opuścimy dworów pełnych ciepła i zabawy, by na mrozie nadstawiać karku w Cymmerii.

Na tę subtelną aluzję Jaganath otworzył kiesę tak, by Starkad zobaczył masywne, złote monety. Tłustymi palcami mag leniwie pogmerał wśród dźwięczących monet.

— Czyż to nie jest wspaniała kiesa?

Starkadowi zaschło w ustach, a dłonie mu się spociły. Miał wiele złota, ale jego zachłanność dorównywała jego żądzy krwi i nigdy nie miał dość tego błyszczącego metalu.

— Jaki jest cel podróży, którą zamierzasz przedsięwziąć?

— Ot, po prostu pewna góra. Nie zależy mi na tym, by poląła się krew Vanirów,

potrzebujemy jedynie eskorty, która bezpiecznie doprowadzi nas na miejsce przed zbliżającym się przesileniem.

Starkad zachichotał wesoło.

— Po wejściu na cymmeriańską ziemię walka będzie nieunikniona. A jakaż to góra cię interesuje?

— W Cymmerii nazywają ją Ben Morgh.

Starkad pobił raptownie.

— Ben Morgh... — powtórzył szeptem. — Czego, w imię Ymira, chcesz od tego miejsca?

— To moja sprawa, ciebie nie dotyczy. Dlaczego wzdrygnąłeś się na dźwięk tej nazwy?

— To święta góra Cymmerian, mieszka w niej Crom, ich bóg. Ja nie dbam o Croma, moim bogiem jest Ymir, lecz żeby dotrzeć do podnóża Ben Morgh, musimy przejść przez dolinę Conall i przez Pole Śmierci. Są tam pogrzebani wszyscy wielcy, Cymmeriańscy wodzowie.

Jeśli Cymmerianie dowiedzą się, że chcemy tam wejść, gotowi zwołać wszystkie klany. W

obronie kości swoich przodków mogą odłożyć na bok rodowe waśnie, tak jak zrobili to pod Venarium.

— Lecz jednak nie chcemy niszczyć ich grobów, chcemy tylko tamtędy przejść.

— Tam cała ziemia jest święta, poza tym nie mógłbym powstrzymać mych ludzi przed zniszczeniem kurhanów, a wtedy z kolei żaden Cymmerianin nie oszczędziłby naszych świętych grobów. Zemsta rodzi zemstę.

— Rzekłeś — powiedział Jaganath powoli zamykając kiesę. — Jeśli nie potrafisz tego zrobić, nie będę nadużywał twojej szcudrej gościnności. Znam innego wodza, nazywa się Wulfstan. Być może on odniesie się z większym zapałem do tej wyprawy.

— Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany — powiedział Starkad, widząc znikające złoto.

— Może kilku moich zuchów miałoby ochotę na małą zabawę z czarnowłosymi. —

Spojrzał na swój potężny brzuch ukryty pod szerokim pasem, poklepał go i dodał: — Mnie samemu też przydałoby się trochę poćwiczyć. Nie pracowałem toporem w tym roku.

Zaczekaj, zobaczymy.

Starkad zawołał o ciszę i hałas w komnacie zamarł.

— Nasi goście przybyli z daleka. Słyszeli że my, Vanirowie, jesteśmy najsilniejszymi i najwaleczniejszymi wojownikami na świecie. — Oświadczenie zostało przyjęte z wrzaskiem aprobaty. — Chcą wyruszyć w dalszą podróż, a za eskortę niezwycięzonych Vanirów gotowi są obficie zapłacić złotem. Wrzaski stały się jeszcze głośniejsze. — Kto chce wyruszyć ze mną na małą przechadzkę w głąb lądu i trochę pomachać toporami?

Entuzjazm sięgnął szczytu. Zerwało się mnóstwo ochotników.

— Dokąd zmierzają ci cudzoziemcy? — zapytał mocno zarośnięty wojownik.

— Do Cymmerii — odpowiedział Starkad i entuzjazm opadł.

— Kto chciałby iść w te góry o tej porze roku? Niedługo pokryje je śnieg, czarnowłosi zejną w dół ze swoich górskich pastwisk i zgromadzą się w wioskach. Nie czeka nas tam nic prócz ciężkiej walki, nie można nawet liczyć na jeńców! — Inni kiwali i mruźli, przytakując jego słowom.

Starkad pochylił się ku niemu.

— Słuchaj, Gurth — zaczął niebezpiecznie spokojnym i głębokim głosem. — Mówiłem o eskortowaniu, a nie o najeździe. Wszyscy tutaj są wolnymi ludźmi i mogą sami powiedzieć, co chcą, a jeśli ty masz zamiar zająć moje miejsce, to mój topór czeka. — Wskazał na wspaniałą, zdobioną srebrem broń wiszącą na ścianie. — A tam jest twój. — Machnął w kierunku zwykłego topora, wiszącego na kołku za plecami Gurtha. — To miejsce — walnął

pięścią w stół — czeka na śmiałków! Wystarczy tylko spróbować.

Wśród Vanirów wódz tak długo utrzymywał swoją pozycję, dopóki mógł bronić jej

własnym ramieniem. Wyzwany mężczyzna zwany Gurthem usiadł ciężko na ławie. Starkad uśmiechnął się, jednak bez wesołości.

Pojedynczo lub dwójkami wojownicy zgłaszali się do udziału w wyprawie. Przeważnie byli to młodzi ludzie, żądni przygód i sławy. Starkad obiecywał im złoto i bogate dary. Gdy wszyscy złożyli przysięgę wierności, powiedział do Jaganatha:

— Jutro roześlę gońców, wtedy przybędzie więcej wojowników. Nie chciałbym iść do Cymmerii bez co najmniej setki.

— Bardzo dobrze, ale jeśli mamy być tam przed zrównaniem dnia z nocą, to czasu jest niewiele — przypomniał Jaganath. Po krótkim namyśle dodał: — Zapłacę ci szczerze, ale to ty będziesz musiał opłacić swoich ludzi. Przy podziale na stu niewiele wypadnie na głowę.

Starkad klepnął go w kolano i zapewnił z uśmiechem:

— O to się nie martw, przybyszu. Gdy będziemy wracać, na pewno będzie nas dużo mniej.

IV

W KRESOWYM KRÓLESTWIE

Conan całkowicie odzyskał siły po zranieniu i wyjechał z Belverus. Cieszył się ostatnimi ciepłymi dniami wczesnej jesieni. Brązowa skóra błyszczała w słonecznym blasku.

Barbarzyńca miał na sobie tylko buty, przepaskę biodrową i pas z mieczem. Szeroki rzemień podtrzymywał jego niesforną czuprynę, gdy niespokojnie rozglądał się po linii horyzontu, W każdej chwili pobliskie pagórki mogły zaroić się od wrogów.

Po dziesięciu dniach podróży zostawił za sobą trawiaste równiny otaczające Belverus i znalazł się na wyżynie, która wkrótce miała przemienić się w wielkie góry północnych krain.

Otoczające Conana wzgórza porośnięte były lasami, w większości liściastymi, które w miarę podróży na północ ustępowały sosnom. Liście już zmieniały kolor i zaczynały opadać, zapowiadając wczesną zimę.

Było to Kresowe Królestwo, obszar ograniczony przez Nemedię, Brythunię, Hyperboreę i Cymmerię, wciśnięty klinem między Gunderland i Pogranicze Bossońskie. Była to kraina jałowa i słabo zaludniona i choć zwano ją królestwem, rzadko można było dowiedzieć się, kto jest jej władcą. Zwykle było kilku pretendentów do tego tytułu, co w sposób nieunikniony wiodło do niekończących się wojen. Wschodnia część, przez którą jechał Conan, była własnością drobnych naczelników. Cymmerianin miał nadzieję, że zdoła uniknąć skutków panujących między nimi waśni.

Słońce stało wysoko na niebie, gdy Conan zbliżył się do ruin jakiegoś grodu. Z

drewnianego ostrokołu pozostał jedynie krąg zwęglonych pniaków, a wszystkie chałupy stojące w jego obrębie były spalone do cna. W powietrzu nie było już dymu, ale nos Conana powiedział mu, że pożar miał miejsce nie więcej niż dwa dni wcześniej. Wierzchowiec zarżał

niespokojnie, gdy poczuł zapach krwi, którą przesiąkł grunt pod jego kopytami. Wokół wały się połamane strzały oraz wyszczerbione miecze i tarcze, co świadczyło o stoczonym bitwie.

Cymmerianin zaklął. To właśnie było coś, czego miał nadzieję uniknąć. Do jesiennego zrównania dnia i nocy pozostało już niewiele czasu i aby nie narażać się na niewygodę zbytniego pośpiechu, nie mógł pozwolić sobie na dalsze opóźnienia.

Ludzie, którzy zamieszkiwali to miejsce, obecnie byli albo martwi, albo rozproszeni, albo więci w niewolę. A co z napastnikami? Conan okrążył zrujnowany ostrokół, ale z płataniny śladów rozmytych przez niedawny deszcz nie potrafi niczego odczytać. Szlak łajna powiedział mu, że inwentarz został pognany na północny wschód, lecz zajadłość z jaką dokonano zniszczeń świadczyła, iż nie był to najazd złodziei bydła. Było to dzieło wrogiego klanu albo zewnętrznego najeźdźcy. Conan postanowił zachować największą ostrożność.

Na nieszczęście człowiekowi jadącemu konno przez obce wzgórza niełatwo jest uniknąć wykrycia, szczególnie wtedy, kiedy ci, których pragnie uniknąć, mają bystre oczy i dobrze znają teren. Kilka mil za spalonym grodem Conan usłyszał dźwięk rogu, a w chwilę później zobaczył jeźdźca, który ze szczytu pobliskiego wzniesienia obserwował dolinę. Zaraz też dźwięk rogu zastąpiło dudnienie końskich kopyt.

Conan oparł się o łęk siodła i czekał cierpliwie. Mógł uciec, ale oznaczałoby to konieczność wybrania nowej, mniej wygodnej drogi i stratę czasu. Najlepiej było pozwolić jeźdźcom zadać pytania i udzielić im nie uczciwych odpowiedzi. Jeżeli dojdzie do najgorszego, zawsze będzie mógł wyrębać sobie drogę mieczem i pomknąć jak strzała do Cymmerii, uciekając w kierunku, w którym i tak musiał jechać.

Rząd konnych pojawił się nad szczytem wzgórza i spłynął do małej doliny. Mężczyźni o zaciętych twarzach, odziani byli w hełmy i krótkie półpancerze z ogniwek bądź łusek. Conan, patrząc na ich jasne włosy i niebieskie oczy osądził, iż są oni kuzynami Gunderlandczyków.

Zauważył jedną szczególną cechę: każdy z nich miał na hełmie rogi byka. Podobnie ich tarcze zdobiły wymalowane bycze łby, a jeden jeździec dźwigał wysokie drzewce, na których znajdowała się czaszka i kilka ogonów tego zwierzęcia.

Conan trzymał ręce z daleka od broni, gdy otaczały go dwie dziesiątki konnych. Ich zachowanie nie było otwarcie wrogie. Jeden z jeźdźców ruszył w jego stronę, a wtedy Conan szerzej otworzył oczy. Była to kobieta, ubrana jak wojownik. Przyjrzał się jej ze szczerym podziwem, ponieważ było na co popatrzeć.

Na głowie miała hełm całkowicie zasłaniający twarz, w którym pozostawiono jedynie wycięcie w kształcie litery Y do patrzenia i oddychania. Ciało kobiety było równie wspaniałe, jak figura bogini-wojowniczkii z Vendhii. Pełne piersi chronione były przez stożkowate napierśniki z polerowanego brązu, a szerokie, mocne plecy zwężały się w talię otoczoną szerokim pasem nabijanym srebrnymi łuskami. Brązowe ochraniacze osłaniały golenie, a uda były nagie, jedynie nad prawym kolaniem przytroczony był sztylet. Poza zbroją, kobieta odziana była jedynie w wąską przepaskę biodrową z czarnego jedwabiu. Nie miała nawet sandałów.

Teraz rozluźniła pasek pod brodą i zdjęła ciężki hełm. Grzywa kasztanowych włosów, która się spod niego wysypała, okryła ją aż do łokci. Conan z przyjemnością stwierdził, że twarz jest równie piękna, jak całe ciało. Rysy miała zdecydowane, czoło niskie i szerokie, kości policzkowe jeszcze szersze, kwadratową szczękę i prosty nos. Wielu uznałoby jej oblicze za zbyt wyraziste, by uznać ją za prawdziwą piękność, ale ostrość rysów łagodziły szerokie usta i pełne, zmysłowe wargi. Silnie rozwinięte mięśnie szyi i ramion dowodziły, że nie była ona królewską córą, która dla zabawy przywdziała żołnierski rynsztunek, ale kobietą przyzwyczajoną do noszenia zbroi, prawdopodobnie od dzieciństwa. Conan osądził, że miała jakieś dwadzieścia pięć lat.

Tymczasem dziewczyna równie otwarcie przyglądała się Cymmerianinowi. Jej zimne błękitne oczy rozbłysły z aprobatą, gdy ogarnęła wzrokiem muskularną sylwetkę Conana i jego wielkie ręce pokryte bliznami i odciskami, od lat nawykłe do miecza.

— Jestem Aelfrith, pani Cragselfell — powiedziała. Jej głos był niski, prawie chrapliwy. —

Sądząc z wyglądu, jesteś Cymmerianinem. Co cię sprowadza do mego kraju? — Tak jak Conan się spodziewał, mówiła zrozumiałym dlań dialektem aquilońskiego, którego używano w Gunderlandzie.

— Zwę się Conan, jadę do swego domu w Cymmerii, którego nie odwiedzałem od wielu lat. Podróżuję samotnie i nie mam zamiaru wyrządzić żadnej szkody ani tobie, ani twoim ludziom. Czy mogę bez przeszkód przejechać przez twoje włości?

— To może okazać się niełatwe. Ja nie przeszkodzę ci w podróży do domu, ale tu toczy się wojna.

— Zauważyłem. Niedawno przejeżdżałem przez gród czy raczej miejsce, w którym gród niegdyś był. Nie pozostało z niego nawet tyle, by kruki miały o co walczyć.

— To robota Atzela. — Twarz kobiety pobladła z wściekłości. — Wielu mieszkańców uciekło do mojego zamku w Cragselfell. Dotarliśmy do wioski wczoraj, na czas, by pogrzebać zmarłych, bo nic innego nie mogliśmy już zrobić. Ludzie Atzela zostawili tylko ciała. Zabili wszystkich mężczyzn, a kobiety i dzieci zabrali, by sprzedać na nemediańskich targowiskach.

— Kto to jest Atzel? — zapytał Conan. — Bandyta, czy wrogi naczelnik?

Aelfrith splunęła na ziemię i wysyczała przekleństwo, którego Conan nigdy wcześniej nie słyszał.

— Brak mi słów, by powiedzieć, czym on jest. — Przez chwilę patrzyła na wiszący u boku Conana miecz o długiej, białej rękojeści. — Skoro jesteś tu obcy i nie masz złych zamiarów, przyjmij moją gościnę. Teraz wracamy do Cragselfell. Zamek i tak leży po drodze, możesz więc przenocować i zjeść solidną wieczerzę. Nad kuflem piwa usłyszysz o Atzelu i moich wrogach.

Conan z przyjemnością wyspałby się pod gołym niebem, ale odmówienie gościny byłoby ciężką obrazą. Poza tym zaintrygowała go ta ciesząca oczy wojowniczką.

— Pani, z radością godzę się na tak łaskawą propozycję.

— Dobrze. Na miejscu powinniśmy być przed zmrokiem. Może się zdarzyć, że zostaniemy zaatakowani, ale teraz jesteś pod moją ochroną. A to jest coś, czego nigdy nie otrzymałbyś od Atzela. Zabiłby cię od razu dla twego konia, miecza i co tam jeszcze posiadasz.

— Mógłby spróbować — stwierdził posępnie Conan. — Dotychczas próbowało wielu.

Teraz dotrzymują sobie kompanii w piekle i myślą, co ze mną zrobią, gdy do nich dołączę.

Aelfrith obrzuciła go szacującym spojrzeniem. — Tak, sądzę, że nim sam wkroczyłbyś na tę drogę, wielu posłałbyś przed sobą. Jedziemy. — Założyła hełm i zawróciła konia. Conan trzymał się zaraz za nią, podziwiając widok, który się przed nim roztaczał. Starał się, by jego uśmiech nie został zauważony przez ludzi Aelfrith. Jej opaska biodrowa z tyłu była szeroka ledwie na pół dłoni... Tak skąpy przyodziewek był powszechny w Zamorze czy Nemedii, ale wśród kobiet na północy nie występował w ogóle. Conan domyślał się, że w ten sposób Aelfrith chciała różnić się od kobiet z

pospólstwa. Potrafiła doskonale jeździć konno, jej prężne ciało poruszało się płynnie w takt kroków wierzchowca. Conan żałował, że misja nie pozwalała mu zostać tu dłużej i bliżej zaznajomić się z tą kobietą.

Po długiej jeździe przez pokryte lasami wzgórze, w zasięgu wzroku pojawił się skalisty pagórek. Otaczał go wał ze zwalonych na stosy nieociosanych kamieni. Aelfrith wskazała na fortecę.

— Craggsfall — powiedziała. Przez czas potrzebny na to, by słońce obniżyło się o szerokość dłoni, jechali przez pola. Było już po żniwach, a wieśniacy wypędzali właśnie z lasu stada świń, gdzie pasły się one na opadłych żołądkach. Conan zwrócił uwagę, że wszyscy mężczyźni mieli włócznie, a wielu posiadało także miecze i łuki.

Droga wznosiła się i wiła wokół wzgórze jak wąż. Otaczała je tak, że zbliżający się musieli być zwróceny do twierdzy nie chronionym tarczą prawym bokiem. Na blankach stali łucznicy i kusznicy, spoglądający z zaciekawieniem na czarnowłosego cudzoziemca, który jechał tuż za ich panią. Tuzin mężczyzn obróciło wielki kołowrót, który podniósł nabijane brązem wrota z grubych kłód i oddział zbrojnych wjechał do twierdzy.

Zamek Aelfrith był właściwie wioską otoczoną murem z nie spojonych niczym kamieni. Na środku znajdował się długi drewniany dwór, ozdobiony rzeźbami i jaskrawymi malowidłami.

Wszędzie tłoczyli się ludzie, w większości kobiety z dziećmi. Wszyscy uśmiechali się i machali na powitanie, gdy Aelfrith jechała utworzonym przez nich szpalerem. Najwyraźniej wśród swego ludu cieszyła się dużym szacunkiem i sympatią.

Wojownicy posiadali z koni, a chłopcy stajenni zabrali wierzchowce. Aelfrith zdjęła hełm i pełnym gracji krokiem ruszyła w kierunku dworu. Conan trzymał się tuż za nią.

Wewnątrz rzuciła hełm słudze i oznajmiła:

— Mamy gościa! — Skinęła na dwóch rozczochranych chłopaków. — Ty i ty będziecie mu służyć. Zaprowadźcie go do łaźni i znajdźcie mu czyste odzienie. Ma być obsłużony z szacunkiem należnym szlachetnie urodzonemu.

Conan podejrzliwie zastanowił się, czym pospolity, goszczący przejazdem wojownik zasłużył sobie na taką uprzejmość.

Za kotary zasłaniającej wejście do alkowy wybiegła potargana, może pięcioletnia dziewczynka. Aelfrith chwyciła ją w ramiona, po czym odwróciła się do Conana:

— To Aelgifa, moje jedyne dziecko.

Dziewczynka nieufnie spojrzała na Conana. Była bardzo mała, lecz już wiedziała, że ten czarnowłosy olbrzym nie jest ani jej krewnym, ani jednym z przyjaciół.

— Będzie matką dzielnego wojownika — rzekł Conan.

Była to zwyczajowa pochwała mówiona rodzicom dziewczynek w krajach Północy, ale Aelfrith pokręciła przecząco głową.

— Ona sama będzie wojownikiem, jeżeli będę żyła dość długo, by ją właściwie wychować

— z dumą uśmiechnęła się do dziecka. — Już teraz umie jeździć konno i strzelać z małego łuku, który kazałam dla niej zrobić. Kiedy stanie się dość silna, nauczy się władać mieczem i włócznią.

Conan zastanowił się, co stało się z ojcem małej, ale był na tyle mądry, by nie zadawać takich pytań władczyni królestwa nawet tak małego jak to. Jeżeli Aelfrith uzna za stosowne, opowie mu to sama wieczorem. Jeżeli nie, on rano ruszy w swoją drogę i przynajmniej jego ciekawość nie stanie się powodem jego śmierci.

— Wykap się i odpocznij — poradziła mu Aelfrith. — Kiedy zapadnie zmrok, zasiądziesz przy moim stole. Muszę z tobą pomówić, ale nie wcześniej, nim nie wypoczniesz, nie najesz się i nie spłuczesz kurzu piwem. — Zwróciła się do jednego z chłopców, których wyznaczyła na jego pacholków i uderzyła go kostkami palców po głowie. — Dlaczego nie przyniosłeś naszemu gościowi rogu? Jest spragniony.

Chłopak wybiegł, pocierając obolałe ciemię, a kobieta odwróciła się do Conana.

— Ja idę się umyć i dowiedzieć, jakich to złych nawyków nauczyła się córka w czasie mej nieobecności. Porozmawiamy przy wieczerzy. — Ruszyła w kierunku alkowy. Naprzeciw niej wyszły dwie młode dziewczyny i zaczęły rozpinać rzemienie zbroi swej pani, jeszcze zanim zniknęła ona za zasłoną.

— Zaprowadzę was do łaźni, panie — powiedział jeden z chłopców. W jego głosie

pobrzmiwała wielka duma. Drugi przybiegł z rogiem pełnym piwa. Conan ujął go w rękę, przechylił i opróżnił go do połowy jednym haustem.

— Jesteście prawdziwym Cymmerianinem, panie? — zapytał chłopiec, który przyniósł

piwo. — Cymmerianie od czasu do czasu schodzą ze swoich gór i porywają nam bydło... —

Chłopiec wyprowadził go na zewnątrz i powiódł w kierunku drewnianego budynku, który był większy od samego dworu.

— To najpewniej Murroghowie, a oni są wrogami mojego klanu. Ja jestem twoim

przyjacielem. Mój klan nigdy nie najeżdżał Kresowego Królestwa. Najczęściej walczyliśmy z Piktami i Vanirami. Oraz oczywiście z Murroghami... — rozproszył wątpliwości chłopca.

Weszli do dużej chałupy, której większą część zajmowała ogromna, drewniana balia.

Pluskali się w niej mężczyźni, z którymi jechał tego dnia. W pomieszczeniu kłębiła się para, a

ułożona z kamieni posadzka była zachlapana wodą. Conan rozpiął pas z mieczem i rozkazał jednemu z chłopców zabrać broń z dala od wilgoci. Drugi pomógł Cymmerianinowi ściągnąć buty.

Conan wszedł do wielkiej balii. Gorąca woda przyjemnie koła zmęczenie. Cymmerianin pozdrowił zażywających kąpeli i próbował wciągnąć ich w rozmowę. Mężczyźni

odpowiadali uprzejmie, ale widać było, że odnoszą się do obcego z rezerwą.

Chłopiec znów przyniósł róg pełen piwa i Conan pogрузzył się w błogim odprężeniu i beczynności. Jedyne mała chmurka kładła się cieniem na jego zadowolenie. Oczywiście było, że ta Aelfrith ma zamiar uczynić mu jakąś propozycję i chce go wprowadzić w odpowiedni nastrój. Gdyby musiał odmówić kobiecie, która jest przyzwyczajona do posłuszeństwa i ma na swoje rozkazy dziesiątki zaprawionych w boju ludzi, mógłby znaleźć się w położeniu niegodnym pozazdroszczenia.

Jego rozmyślania przerwał okrzyk:

— Uwaga! Gorący kamień!

Tylnymi drzwiami weszła otyła kobieta ze szczypcami w dłoniach. Trzymała nimi

rozżarzony do czerwoności kamień wielkości męskiej głowy. Mężczyźni pospiesznie wyskoczyli z balii, a kobieta wrzuciła go do wody. Głaz zatonął z głośnym sykiem, wybuchem pary i wściekłym bulgotaniem wody.

Conan wstał i pozwolił, by chłopcy natarli go szarym mydłem i wyszorowali twardą szczotką. Czuł się tak, jakby zdzierano mu pasy skóry. Na koniec chłopcy wylali nań kubel

zimnej wody, a wtedy Conan zanurzył się z powrotem w balii i zasnął. Gdy się przebudził, czekała na niego czysta tunika. Wytarł się szorstkim ręcznikiem, ubrał i wyszedł na dwór, by przypasać broń. Teraz czuł się wypoczęty i odświeżony oraz gotów zmierzyć się z kłopotami.

Jednakże przede wszystkim był gotów do kolacji. Długa całodzienna jazda i odpoczynek w łaźni sprawiły, że zgłodniał jak wilk.

Przygotowania do uczy były zakończone. Po obu stronach komnaty ustawiono stoły na kozłach, a na nich tace z chlebem i owocami, porozdzielane dzbanami piwa oraz miodu. Z

pobliskiej kuchni napływała rozkoszna woń pieczonego mięsa. Conan poczuł, że ślina napływa mu do ust. Oczekiwanie na ucztę rozproszyło jego wątpliwości.

Pojawili się zaproszeni, stopniowo zajmujący miejsca na ławach. U szczytu dwóch długich stołów znajdowało się podwyższenie, na którym stał niewielki stół i krzesło z wysokim, bogato zdobionym oparciem. Najznacniejsi wojownicy wraz z żonami zasiedli bliżej podium, pozostali dalej, według rangi. Rządca poprowadził Conana do podwyższenia, gdzie obok wysokiego krzesła Aelfrith stało drugie, skromniejsze.

Kiedy Aelfrith weszła do sali, biesiadnicy wstali z szacunkiem, a po chwili na jej znak ponownie usiedli. Władczyni odziana była w długą do kostek szatę z cienkiego, zielonego jedwabiu, rozciętą po obu stronach prawie do pasa. Conan zauważył, że na jej długim udzie nadal znajduje się wąski sztylet.

Aelfrith usiadła i Conan zajął miejsce u jej boku. Zdecydował, że to ona ma rozpocząć rozmowę. Wniesiono tace z mięsiwem, urwał więc nogę kurczęcia i oczyścił ją kilkoma ruchami szczęk.

— Widziałeś już wiele wojen, prawda? — zagadnęła Aelfrith.

— Tak, od czasu gdy ukończyłem piętnaście wiosen, walczyłem i w potyczkach klanów, i wielkich wojnach. W ciągu ostatnich lat zarabiałem na chleb w armiach narodów Południa, najpierw jako zwykły piechur, a na koniec jako oficer.

— Dobrze to wiedzieć. — Aelfrith odcięła kawał wołowiny i pochłonęła go równie żarłocznie jak Conan. — Obiecałam, że opowiem ci o moim kłopotcie z Atzelem i wyjaśnię, dlaczego mój kraj toczy wojnę.

— Tak, pani, chętnie posłucham. — Co prawda Conan nie pałał zbyt dużym zapałem do wnikania w przyczyny tutejszej waśni, ale był pod dachem Aelfrith i nie miał wyboru.

Przyciągnął półmisek z pasztetem i wbił w chrupiącą skórę swój tasak. Podczas gdy władczyni mówiła, Cymmerianin wybierał kawałki mięsa, od czasu do czasu przepłukując gardło miodem. Chłopcy, stojący w pełnej szacunku odległości za krzesłem, baczyli, by jego róg nigdy się nie opróżnił, i szybko podawali potrawy, o które wołał. Conan postanowił zjeść tyle, ile zdoła. Wiedział, że w Cymmerii, o ile nic się nie zmieniło w czasie jego nieobecności, czeka go raczej skąpa strawa.

— Atzel jest naczelnikiem opętanym pragnieniem zdobycia korony. Chce zagarnąć moją ziemię i odziać się w szaty lepsze od tych, które dotychczas nosi. Napada również na innych sąsiadów, ale jego nienawiść do mnie jest szczególnie silna. Zabiłam jego syna.

— Własnymi rękami?

— Bez niczyjej pomocy — potwierdziła. — Trzy lata temu byłam żoną Rulfa, który był

panem Cragself. Był on młody, przystojny i był wielkim wojownikiem. Jesteś do niego podobny, chociaż on miał jasne włosy. Zakochaliśmy się w sobie już w dzieciństwie. Jesienią owego roku wyruszyliśmy na Wielki Festiwal, by oddać cześć Królowi Bykowi,

największemu z naszych świętych bogów. W tym czasie panuje pokój i każdy, kto wybiera się na Festiwal, czyni to bez obaw, że zostanie po drodze napadnięty. Mój mąż i ja, jako członkowie wysokiego rodu, zwyczajowo braliśmy udział w części rytuałów. Atzel i jego syn Rorik również w nich uczestniczyli. — Aelfrith sięgnęła po róg.

— W drugi wieczór Festiwalu grupa szlachetnie urodzonych kobiet zajmuje się

dopełnieniem pewnego starożytnego obrządku. Nie wolno mi mówić o nim mężczyznom czy niewtajemniczonym kobietom, ale mogę ci powiedzieć, że uczestniczki zrzucają odzienie.

Gdyby jakiś mężczyzna ośmielił się zakłócić ten rytuał, to w myśl starożytnego prawa jedyną karą jest śmierć.

Conan domyślił się dalszego ciągu, a jej słowa potwierdziły, że miał rację.

— Rorik ukrył się w gaju, w którym odbywał się rytuał i podglądał. Gdy zobaczył mnie nagą, krew uderzyła mu do głowy i owładnęła nim żądza.

— To zrozumiałe! — wtrącił z zapalem Conan.

Aelfrith udała, że nie usłyszała jego słów.

— Tego wieczora położyłam się, by odpocząć, a mój mąż wyszedł pohulać z przyjaciółmi.

Niedługo pojawił się Rorik i wtargnął do mojego namiotu. Paplał coś o wielkiej miłości, którą do mnie poczuł, przyznał, że podglądał nas w czasie obrzędów, po czym bezczelnie stwierdził, iż musi mnie pojąć. Byłam bardziej przerażona jego świętokradztwem niż tym, że może mnie zniewolić. Mój ojciec, który od dzieciństwa uczył mnie wojennego rzemiosła, mawiał, że urodzenie się kobietą nie przeszkadza w obronie własnego honoru i że kobiecie bardziej niż mężczyźnie przydaje się sztuka walki. Nie wątpiłam, że zdołam pokonać Rorika, chociaż był silny, młody i uzbrojony. Najpierw rozkazałam mu, by opuścił mój namiot, i powiedziałam, że zawiadomię wszystkich naczelników o pogwałceniu przez niego świętych praw. Powiedział, że jeśli nie będę mu powolna, to weźmie mnie siłą. Roześmiałam mu się w twarz. W tym momencie do namiotu wrócił mój mąż. Nigdy się nie dowiedziałam, czy zapomniał czegoś, czy zrezygnował z hulanki. Usłyszał jedynie mój śmiech i nie zdając sobie sprawy z tego co zaszło, zaczął przyjaźnie witać się z Rorikiem. Ten rzucił się na mego męża ze sztyletem. W uczciwej walce, z takim wojownikiem jak Rulf, Rorik nie miałby żadnych szans, ale mój mąż został całkowicie zaskoczony. Nim zdołał mrugnąć ze zdumienia, sztylet Rorika przeszył mu serce.

— Zobaczyłam, że mąż osuwa się martwy na ziemię, a morderca stoi nad nim z uśmiechem.

Mój gorący gniew przerodził się w furję. Kiedy Rorik zbliżył się do mnie raz jeszcze, udałam, że mu ulegam, a on, zajęty rozdzieraniem mego przyodziewku, zapomniał odpasać miecz.

Zanim zrozumiał, co się stało, odrąbałam mu głowę. Była to nędzna zapłata za stratę męża, ale jestem zadowolona, że zemsta została dopełniona tak szybko.

— Wielce chwalebne. A teraz Atzel szuka pomsty?

— Tak. Wówczas nie mogł nic zrobić. Oskarżył mnie co prawda o popełnienie zbrodni na świętej ziemi, ale naczelnicy osądzili, że to Rorik popełnił świętokradztwo zasługujące na śmierć, że zamordował mego męża oraz podzegał do rozlewu krwi. Atzel próbował dowieść, że to Rulf i ja uknuliśmy spisek i że jego syn zabił mego męża w samoobronie. Naczelnicy nie chcieli dać mu wiary, bowiem kochali Rulfa, darzyli go zaufaniem i wiedzieli, że on nie mógłby być skrytobójcą. Ponadto

żaden z nich nie wierzył, by Rorikowi udało się zabić Rulfa wtedy, gdyby mój mąż był gotów do walki. W końcu w obecności samego Króla Byka przysięgam, że moja opowieść jest prawdziwa. Nikt nie zwątpił w moje słowa.

— Od tego dnia między mną a Atzelem trwa nieprzerwana wojna. Atzel ma więcej ludzi niż ja, ale nie ośmiela się wydać mi otwartej bitwy. Zamiast tego atakuje wioski. Jedną z nich widziałeś.

— To smutna opowieść — przyznał Conan. — Życzę ci, byś zwyciężyła Atzela, widzę bowiem, iż racja jest po twojej stronie. — Uciął pajdę chleba i obłożył ją grubym plastrem parującej dziczyzny.

— Chciałabym otrzymać coś więcej ponad dobre życzenia, wojowniku. — Skinęła na chłopców, by napełnili piwem róg barbarzyńcy.

— O co chodzi, pani? — zapytał czujnie Conan.

— Poznaję prawdziwego wojownika na pierwszy rzut oka. Sama zostałam przecież

stosownie wychowana i byłam żoną jednego z największych wojowników w Kresowym

Królestwie. Widzę, że jesteś silniejszy od wszystkich moich ludzi, a w dodatku masz doświadczenie dowódcy. Żyjesz z wynajmowania swego miecza, tedy oddaj go na moje usługi. Uczynię cię wodzem moich wojowników, podlegającym jedynie mnie. W końcu dojdzie do ostatecznej bitwy z Atzelem. Na razie szarpie mnie jak tchórzliwy pies, ale w końcu odważy się na otwarty atak. Wiem, że chce mnie wziąć żywcem i zabić w jakiś hańbiący sposób. Oczywiście, nigdy na to nie pozwolę. Prędeż własną ręką zabiję dziecko i siebie. Mam niewielkie szansę, lecz gdybyś to ty dowodził moimi ludźmi, byłyby one o wiele większe. Moi ludzie podążą za kimś, kto jak ty jest urodzonym przywódcą. Wojownicy kochają mnie — powiedziała z żalem — ale nigdy nie pogodziliby się z tym, że kobieta powiedzie ich do bitwy.

Conan zapatrzył się ponuro w piwo, a jego wilczy apetyt raptownie go opuścił. Kiedy indziej zgodziłby się z przyjemnością. Ta kobieta została skrzywdzona, a udzielanie pomocy w takim przypadku nigdy nie jest przykrym obowiązkiem, szczególnie jeżeli poszkodowanej nie brakowało urody. Wojna była jego rzemiosłem i Conan nie wątpił, że zdołałby zmieść jej wrogów i odnieść ostateczne zwycięstwo. Niestety! Wszystkim, czego potrzebował, był czas, a nie miał go wiele w zapasie. Szukał sposobu, by zachować twarz.

— Jestem tu obcy, pani. Czy twoi ludzie uznaliby cudzoziemca jako swego wodza?

— Oczywiście. Jako cudzoziemiec nie mógłbyś zająć mojego miejsca, więc odpadłoby największe podejrzenie. Poza tym, tutaj panuje zwyczaj, że kobiety, które utraciły mężów, wyznaczają wojownika walczącego w ich imieniu. Twoja obecność zostanie uznana za coś naturalnego.

— Nie mogę się zgodzić. Wierz mi, uczyniłbym to z radością, ale jestem w podróży, która nie może zostać przerwana.

— Zostań przynajmniej przez jesień i zimę — nalegała. — Przecież Cymmeria nie zniknie do wiosny.

— Celem mojej podróży jest nie tylko powrót do domu. Mam zadanie do wykonania i wiąże mnie przysięga. Pod groźbą utraty honoru i znieważenia mojego boga przed jesiennym przesileniem muszę znaleźć się w pewnym miejscu, daleko w głębi Cymmerii — mówił to niechętnie, ale czuł, że jest winien tej kobiecie co najmniej wyjaśnienie.

Jej ciepłe oczy przemieniły się w okruchy lodu.

— Może się pomyliłam. Może nie jesteś wojownikiem takim, jak myślałam.

Conan nie dał się wciągnąć w tę wymianę słów.

— Osądzaj wedle własnej woli, pani. Rzekłem ci prawdę. I obiecuję, kiedy moja misja zostanie wypełniona, wrócę i będę walczył w twoim imieniu.

— Jeżeli wyruszysz dopiero po równonocy, nie zdążysz tu przed zimą — stwierdziła z goryczą. — A Atzel z pewnością kończy przygotowania. Do czasu twego powrotu będzie po wszystkim, w taki czy inny sposób. Jedź swoją drogą, Cymmerianinie, nie stanę ci na przeszkodzie. — Odwróciła się, napiła wina i pustym wzrokiem zapatrzyła w przeciwległą ścianę.

Conan siedział strapiiony i pogrążony w ponurym milczeniu. Wiedział, że wyszedł na tchórza. Nadal jadł i pił, pokrzepiając się przed czekającymi go trudami, lecz ani strawa, ani piwo nie miały już dlań smaku.

Aelfrith była jakby nieobecna duchem, ale poważnie traktowała obowiązki gospodyni.

Zadbała, by Conan przed wyruszeniem w drogę został zaopatrzony w dostateczny zapas jedzenia. Znow miała na sobie zbroję i skąpą przepaskę.

— Ta ścieżka zaprowadzi cię na północ — powiedziała, wskazując na szczybę w grzbiecie górskim. — To Przełęcz Yamira i musisz ją przebyć, jeśli chcesz przed zimą zobaczyć swoje rodzinne strony. I pamiętaj; tam, gdzie kończą się moje włości, tam kończy się moja ochrona.

— Przez wiele lat sam siebie chroniłem, pani.

— Możesz potrzebować wszystkich swoich umiejętności, bo Przełęcz Yamira leży już na ziemi Atzela. Drogę przegradza jego twierdza, której mury biegną od urwiska do urwiska.

— Urodziłem się w górach, więc zdołam uniknąć wszelkich niebezpieczeństw.

— Może gdybyś był na piechotę, ale nie będzie to łatwe dla konnego. Uważaj.

— Będę uważał. Życzę ci, pani, dobrego dnia, i dziękuję za gościnę. Nigdy o niej nie zapomnę.

Conan przez cały dzień jechał przez górskie kotliny. Nie napotkał ani żywego ducha i dostrzegł niewiele zwierząt. Atzel nie próżnował w tej okolicy, bowiem Conan zauważył

kilka strawionych przez ogień wsi oraz liczne zarośnięte pola i zaniedbane sady. Bezlitosne najazdy

obróciły w perzynę ten szczęśliwy i urodzajny kraj.

To nie był jego kłopot, a przynajmniej próbował to sobie wmówić. Jechał pogrążony w gorzkich rozmyślaniach, lecz nie pozwolił na uspienie czujności. W pewnej chwili daleko przed nim, na drodze pojawiła się mała grupa konnych. Conan zjechał z gościńca i wprowadził wierzchowca głęboko w las. Pieszko wrócił do traktu, by przyjrzeć się jeźdźcom.

Chciał wiedzieć, z kim dzieli drogę i był zdumiony, że on ich zauważył, a oni jego nie.

Znalazł potężne drzewo górujące nad traktem i wspiął się po grubym pniu. Wyciągnął się wzdłuż wielkiego konara, który zasłonił go przed wzrokiem jadących i czekał. Leżał w całkowitym bezruchu, ledwo oddychając. Zwyczajny człowiek nie wytrzymałby w takiej pozycji dłużej niż kilka minut, ale Cymmerianin mógł tak trwać godzinami.

Usłyszał pobrzękiwanie uprzęży, stukot kopyt i wkrótce przejechał pod nim pierwszy jeździec. Oczy Conana rozszerzyły się ze zdumienia, ale nie wykonał najmniejszego ruchu.

Nie byli to miejscowi, ale Zamorańczycy. Rozpoznał ich po strojach i końskich rzędach. Byli to niscy ludzie o czarnych włosach i brodach. Co robili tutaj Zamorańczycy? Było ich pięciu i kierowali się w stronę włości Aelfrith. Nie podobało mu się to, ale niewiele mógł na to poradzić. Przynajmniej teraz wiedział, dlaczego go nie zauważyli. Ludziom zrodzonym na równinach i nagich, skalistych wzgórzach Zamory obce były porośnięte lasami góry Kresowego Królestwa. Kiedy przejechali, Conan zsunął się na ziemię i wrócił do konia. Nie spodobał mu się wygląd jeźdźców. Zamorańczycy wyglądali na złodziei. Z trudem

powstrzymał się przed zawróceniem i udaniem się za nimi. Myśląc ponuro o złożonej przysiędze ruszył w stronę Przełęczy Ymira.

Późnym popołudniem znalazł się niedaleko twierdzy Atzela i dostrzegł ciągnący się w poprzek przełęczy kamienny wał. Musiał znaleźć okrężną drogę. Na piechotę z łatwością wspiąłby się na urwisko, lecz nie mógł być pewien, czy po drugiej stronie przełęczy znajdzie dobrego konia. Noc nadciągała wielkimi krokami i wiedział, że niedługo będzie musiał

zatrzymać się na nocleg. Postanowił poszukać odpowiedniego miejsca, ukryć wierzchowca i udać się na zwiady.

Przywiązał konia głęboko w lesie, z dala od drogi i ruszył do twierdzy. Opuścił gościniec, ale podążał równoległe do niego, za osłoną krzewów. Znalazł popioły starego obozowego ogniska i rozsmarował sadzę po ciele i twarzy, by zamaskować jasny połysk skóry. Dźwięk kroków nie mógł go zdradzić, bowiem poruszał się bezszelestnie. Mając na sobie jedynie biodrową przepaskę i pas z bronią, przemykał między drzewami tak cicho jak duch.

Było już całkiem ciemno, gdy dotarł do zamku. Jego oczy przywykły do gasnącego światła dnia, a półksiężyc wznoszący się nad głową, stanowił aż nazbyt jasną latarnię. Większość ludzi w mroku lasu byłaby na wpół ślepa, ale Conan był obeznany z lasami równie dobrze jak Piktowie.

Podobnie jak zamek Aelfrith, warownia Atzela zbudowana była z nieobrobionych kamieni, spiętrzonych jeden na drugim bez śladu zaprawy. Dzięki temu na murze znajdowało się mnóstwo szczelin i występów, które zapewniały doskonałe oparcie dla palców rąk i nóg.

Conan w czasie swojej złodziejskiej praktyki pokonywał mury, które zamorańscy złodzieje uważali za zbyt niedostępne, tak więc na ten wspiął się bez najmniejszego wysiłku.

Dzieciństwo spędzone wśród poszarpanych turni było dobrodziejstwem dla człowieka, którego życie polegało głównie na skradaniu się lub uciekaniu z miejsc zaprojektowanych tak, aby ucieczka z nich była absolutnie niemożliwa.

W największym budynku w twierdzy znajdował się Atzel. Siedział w otoczeniu przyjaciół i popijał piwo w świetle małego ogniska, które rozpalono na kamiennym palenisku na środku izby. Światło połyskiwało na ostrzach włóczni opartych rzędem o pobliską ścianę, a między drzewcami stały krótkie łuki i kołczany strzał. Wyżej wisiały topory i miecze takie, jakie pomniejsi władcy zakupują setkami, by zbroić pospolite żołnierstwo. Ostrza te, sprzedawane na wagę przez kupców z Nemedii czy Turanu, chociaż proste i nie zdobione, mogły zabić człowieka równie skutecznie, jak najświetniejsze miecze wykonane przez płatnerskiego mistrza.

Atzel był potężnym mężczyzną, mimo ciepłego wieczoru odzianym w niedźwiedzią szubę.

Jego niegdyś złota broda była obecnie upstrzona siwizną, a twarz pobrużdżona głębokimi zmarszczkami. Rysy, dawniej przystojne, szpeciły teraz purpurowe plamy, a pod

bladoniebieskimi oczami, których białka stały się przekrwione i żółte, zwisały ciężkie worki.

Atzel był ruiną silnego, rosłego wojownika, złamanego przez wiek i rozpustę wszelkiego rodzaju. Tak samo jak jego ciało zniszczył do cna brak umiaru, tak jego umysł został

wypaczony przez chciwość, nienawiść, żądzę zemsty oraz pragnienie wywyższenia się nad innych.

W tej chwili stary naczelnik był w wyśmienitym nastroju, popijał piwo z zadowoleniem, jakiego nie czuł od lat, i żartował ze swymi kamratami.

— Teraz dorwę tę hardą sukę! — oznajmił butnie. — Zadbają o to moi najemni zamorańscy porywacze! W końcu zapłaci za zamordowanie mego Rorika! Obłupię ją ze skóry i złożę w ofierze Królowi Bykowi. Czy ktoś potem poważy się zaprzeczyć, że Atzel jest największym władcą Północy?

— Nikt, panie — zapewnił go żarliwie jeden z pochlebców.

Atzel uśmiechnął się obleśnie, gdy wyobraził sobie naczelniczkę Cragself, obnażoną, związaną i składaną w ofierze bykowi.

— Mistrzowski plan, królu — pośpieszył z komplementem inny dworak. — Gdybyśmy ją zabili w walce, do czego mamy najświętsze prawo, bowiem to zemsta za śmierć naszego ukochanego księcia, wielu naczelników wystąpiłoby zbrojnie przeciwko nam. Ale kiedy Król Byk przyjmie ją jako swoją

ofiara, któż ośmieli się podważyć wolę boga?

— Ha ha, nikt! — Atzel odwrócił się w stronę nieuzbrojonego mężczyzny o trupim wyglądzie. — Jesteś pewien, że twoi Bossończycy rzeczywiście mają w tej małej dolinie Króla Byka?

— Jest tam, panie. Wszystko wykonano zgodnie z twoim życzeniem. Bossończycy są najlepszymi poganiaczami bydła i dla nich to jest zwykły byk. Żaden z nich nie mówi naszym językiem, więc nie zdradzą, że więzisz boską bestię.

Atzel był niewątpliwie mistrzem w najmowaniu obcokrajowców do prac, przed podjęciem których wzdrali się jego ziomkowie.

— Ale czy zechce zaatakować? RzUCA się na inne byki jak każdy byk i bez wątplenia zaatakuje człowieka, który będzie przechodził przez jego stado, ale czy weźmie na rogi i strąci spętaną kobietę przed zgromadzonym tłumem?

— Wszystko zostało przygotowane. Bossończycy codziennie przywiązują do słupa

niewolnicę, podczas gdy schowany za nią mężczyzna drażni zwierza. Byk już jest przyuczony do ataku.

— Panie — zaczął płacząco młody wojownik. — Czy to się godzi? Twoje pragnienie zemsty jest słuszne, ale niepodobna tak postępować ze świętą bestią. Wszyscy uważają ją za wcielenie boga na ziemi, uosobienie naszego szczęścia oraz płodności naszych trzód i stad.

Atzel parsknął pod wąsem.

— To taki sam byk jak inne. W czasie Festiwalu Król Byk jest często zabijany przez młodszego samca czy też swoich wyznawców, gdy zamiera jego jurność. I wtedy pojawia się nowy Król Byk. Czy jest jakaś różnica? Zatem co się stanie, gdy wykorzystam Króla Byka do własnych celów? Czyż sam nie jestem królem i czyż nie mogę czynić tego, co sobie życzę? A poza tym święta bestia zabije przecież czarownicę! — Jego oczy rozszerzyły się dziko, a na wargach pojawiły się krople śliny. — Zważ, ona jest czarownicą! Rzuciła na mojego Rorika czar powodujący, że zapalał do niej nienaturalnym pożądaniem. A po zamordowaniu go zaczarowała zgromadzenie naczelników! Z pewnością bogowie pragną śmierci tej

czarownicy! To będzie dzieło sprawiedliwości, której dopełni sam Król Byk! Ta kobieta zbezczeszczyła Festiwal, zabiła mego syna, to wiedźma! — głos Atzela wzniósł się do bełkotliwego krzyku.

— Rzekłeś, panie — odpowiedział wojownik, który najwyraźniej żałował, że poruszył ten temat.

— Wszystko się wkrótce ułoży, panie — uspokajał wzburzonego Atzela inny dworzaniek. —

Czarownica zginie, gdy wielki róg byka przebije jej brzuch, a jego kopyta strącą jej twarz.

Zamorańscy złodzieje porwą ją dla ciebie i niedługo duch twego syna spocznie w pokoju.

— Wierzę — powiedział Atzel, któremu powrócił dobry humor. Rozparł się na krześle i napił piwa.
— Czasami jego duch nawiedza mnie we śnie. Jest cały we krwi jak w dzień śmierci. Czasami trzyma pod pachą swoją głowę. Łaknie zemsty i, na Ymira, dostanie ją! To był mój jedyny prawowity syn.

Jego ludzie udawali, że nie dostrzegają łez spływających po czerwonych od przepicia policzkach. Atzel, w swoim całym zdeprawowanym życiu, posiadał tylko jedną męską cnotę: wielką miłość do rodzzonego syna. Niestety, to uczucie zaślepiło go całkowicie.

— Dostanę ją! — zakrzyknął triumfalnie, choć po jego policzkach nadal toczyły się łzy. —

Gdy niebo rozświetli pierwszy jesienny księżyc w pełni, nadejdzie pora, by wszyscy naczelnicy zobaczyli ofiarę dla Króla Byka. Rozesłałem już gońców, którzy zwołają wodzów z całego Kresowego Królestwa. Wszyscy oni będą świadkami poniżenia i śmierci Aelfrith i któryż z nich ośmieli się zaprotestować?

— Jej ludzie mogą ruszyć w pościg — stwierdził starszy wojownik. — Być może spróbują ją odbić.

Atzel parsknął pogardliwym śmiechem.

— Starożytny obyczaj zakazuje podnosić broń przeciwko Królowi Bykowi. Starego Króla Byka można zabić jedynie gołymi rękami, a jakież człowiek poważy się stawić czoło obecnemu Królowi Bykowi bez broni? Zwierz jest w swoich najlepszych latach i w pełni sił.

Jeżeli ludzie Aelfrith, kierowani bezrozumnym posłuszeństwem, postanowią przeszkodzić w jej śmierci, to sami na siebie wydadzą wyrok.

Wysoko nad nimi, między krokwiami, siedział nieruchomy jak skała Conan. Słyszał

wszystko doskonale. Miał mętlik w głowie, gdy wymykał się z kamiennej fortecy. Chciał

cisnąć tasakiem prosto w czaszkę Atzela i w ten prosty sposób położyć kres całej sprawie, jednakże ani kąt, ani odległość nie sprzyjały takiemu wyczynowi. Poza tym Conan był na tyle mądry, by wiedzieć, że wojen czy innych wielkich sporów nie rozwiąże zabicie jednego człowieka. Atzel był otoczony ludźmi, którzy po jego śmierci, walcząc między sobą o władzę, na pewno nie zrezygnowałyby z wykonania tego przewrotnego planu. A na dodatek jak najszybciej musiał dostać się do Cymmerii, bowiem stawką był jego honor.

Nie wiedział, co począć. Wędrował w ciszy między drzewami, wypatrując wrogów i tocząc bezgłośnie, ale wściekłą wewnętrzną dysputę.

Znalazł swojego konia spokojnie skubiącego trawę tam, gdzie go zostawił. Sięgnął po sznur uwiązany do drzewa, gdy za jego plecami rozbrzmiał szyderczy głos:

— Cóż to za pomalowany dzikus złapał się w naszą pułapkę, Ulf?

Conan zawirował i zobaczył dwóch uzbrojonych mężczyzn, idących z wolna w jego

kierunku.

— Kiedy niewolnik powiedział nam, że znalazł w lesie bezpańskiego konia — mówił ten nazwany Ulfem — mieliśmy nadzieję przyłapać drobnego złodziejaszka. Chyba zamiast tego zdybaliśmy szpiega Aelfrith.

— Powiedz, kto cię nasłał, przyjacielu — rzekł pierwszy, trzymając czubek miecza na wysokości brzucha Conana. — Jeśli zdradzisz wszystko, co wiesz, być może okazemy się miłośnikami i zabijemy cię szybko.

— Tak — potwierdził Ulf. — Chyba byś nie chciał stanąć przed obliczem naszego pana. On nie lubi jeńców, którzy nie zaczynają mówić we właściwym czasie.

Conan uśmiechnął się z prawdziwą przyjemnością. Był zmęczony wewnętrzną walką, a oni pomogli mu ją rozstrzygnąć.

— Jesteście ludźmi Atzela, tak?

— Dla ciebie „Króla” Atzela, ośle — podkreślił Ulf. Popatrzył na Conana ze zdziwieniem.

— Skąd pochodzisz? Jesteś zbyt wielki jak na Pikta.

— To Cymmerianin — warknął drugi. — Widywałem ich wcześniej, gdy wyprawiali się po nasze bydło. Bądź ostrożny, oni są piekielnie niebezpieczni i niech cię nie zmyli to, że on mówi jak człowiek. Cymmerianie są pół demonami i pół wilkami. — Mężczyzna trzymał

swój miecz wyciągnięty w taki sposób, aby być jak najdalej od Conana!

— Cieszę się słysząc, że mój lud nie stracił swej dobrej sławy. Rozumiem, że wy dwaj macie zamiar stanąć na mojej drodze.

— Mamy zamiar zabrać cię do naszego władcy!

— Tedy — zaczął Conan, dobywając miecza — zobaczymy, kto odejdzie stąd o własnych siłach, a kto zostanie jako żarcie dla kruków. Zbliżcie się, psy, a posmakujecie cymmeriańskiej stali!

Mężczyźni z rykiem rzucili się na Conana. Jeden ciał wysoko z lewej, a drugi nisko z prawej. Wielu ludzi uległoby takiemu jednoczesnemu atakowi z dwóch stron. Conan zignorował świszczące ostrza i zrobił błyskawiczny unik. Jego miecz błysnął w potężnym, skośnym cięciu. Czubek głowni minął gardło Ulfa, ale przerąbał jego obojczyk, żebra i mostek, wyszedł bokiem, a następnej chwili rozpruł brzuch drugiego mężczyzny tak, że jelita wysypały się na darń. Miecz siłą rozpędu zarył się w ziemi. Wojownicy upadli z charkotem, a ich broń zawirowała nad polaną. Ryli murawę piętami, lecz po chwili obaj znieruchomieli w objęciach śmierci.

Conan wycierając skrwawioną broń, roześmiał się szyderczo. Nie po raz pierwszy zabił

dwóch ludzi jednym cięciem, ale zawsze cieszyło go, gdy udał mu się tak doskonały cios.

Cieszył się nie tylko z tego powodu. Krótkie, ale brutalne starcie zakończyło jego wewnętrzny spór. Odwiązał wierzchowca i skoczył na siodło. Nim odjechał z polany, zwrócił

się do zabitych:

— Nie umywacie się do wielkiego Gunderlandczyka, którego zabiłem kilka tygodni temu, ale pomogliście mi podjąć decyzję. Przeto dziękuję wam i będę się modlił do demonów Piekieł, by oszczędzili was nieco za tę pomoc.

Zawrócił konia i w blasku księżyca ruszył kłusem w kierunku traktu, a gdy się na nim znalazł, pognął nie ku Cymmerii, a na południe, w stronę ziem Aelfrith.

— Od północy zbliża się jeździec! — krzyknął obserwator stojący na wieży po północnej stronie murów Cragfell.

Aelfrith, odziana w szatę chroniącą przed chłodem wczesnego poranka, wysła przed przysadzisty dwór. Jej twarz rozjaśnił pełen nadziei uśmiech.

— Czy to poseł od Atzela?

— Nie, pani. Myślę, że to wraca ów cudzoziemiec.

— Otwórz bramę.

Conan minął wrota i poczuł wielką ulgę na widok bezpiecznej pani tego Zamku.

— Raduję się widząc cię w zdrowiu, Aelfrith, a nie spodziewałem się tego. Widzę, że zdążyłem na czas. Musisz być ostrożniejsza. Podśluchałem Atzela ostatniej nocy. Ten łajdak wynajął grupę zamorańskich porywaczy i kazał im cię uprowadzić. Nie staje mu śmiałości, by spróbować otwartej wojny, miast tego wynajął łapaczy niewolników.

Minąłem ich w drodze, wyglądali na ludzi, którzy znają swoje rzemiosło. — Conan rzucił

wodze chłopcu i zeskoczył z konia. — Musisz podwoić strażę. Zmieniłem zdanie. W dalszym ciągu jestem związany przysięgą, ale nie mogę pozwolić, by coś złego przytrafiło się osobie, która udzieliła mi gościny. Mogę poświęcić innym sprawom kilka dni, ale zaraz potem muszę ruszyć w drogę. Może w tym czasie zdołamy zaradzić złu. — Conan zwrócił baczniejszą uwagę na jej wygląd. Zaniepokoiła go jej bladość. Aelfrith zmizerniała i wyglądała tak, jakby nagle przybyło jej lat.

— Cieszę się, że zmieniłeś zdanie, Conanie, ale spóźniłeś się. Zamorańczycy już uderzyli.

To nie po mnie wysłał ich Atzel. Zabrali mi córkę! Porwali moją małą Aelgife!

KRÓL BYK

Conan siedział w komnacie na dworze Aelfrith, zamyślony i zamknięty w sobie. Muskał osełką krawędzie miecza. Były one już ostre, ale nie tak, jak Conan sobie tego życzył.

Dookoła niego siedzieli starsi wojownicy i w pełnej szacunku ciszy czekali na rozkazy.

Aelfrith powiedziała im, by wykonali każde polecenie Cymmerianina. Ludzie Północy nie byli przyzwyczajeni do ślepego posłuszeństwa, lecz widzieli, że Cymmerianin nie jest zwykłym wojownikiem.

Conan na chwilę zajął się własnymi zmartwieniami. Głównie przeklinał samego siebie za to, że nie poszedł za pierwszym odczuciem i od razu nie przystał na propozycję Aelfrith.

Mógł przypisać to złym czarom Hathor–Ka czy też grze bogów, o której mówił Khitajczyk, ale nie zwykł zwałać na innych własnej winy. Był odpowiedzialny sam za siebie. Gdyby postąpił tak, jak dyktowało mu serce, miał szukać sposobu odzyskania porwanego dziecka, trafiłby się teraz pochówkiem martwych Zamorańczyków.

Gdy tak siedział i myślał, jego wściekłość zaczęła rosnać. Cymmeriański kodeks honorowy jak na cywilizowane zwyczaje był prosty, ale bezkompromisowy i sprawiedliwy. Mężczyzna, który stawał twarzą w twarz do uczciwej walki, niezależnie od tego, czy wygrał, czy przegrał, nigdy nie był źle oceniany i zasługiwał na dobrą pamięć. Ten, kto tyranizował i wykorzystywał kobiety, starców lub chorych, zasługiwał jedynie na pogardę, natomiast dla walczących z dziećmi nie mogło być żadnej litości. Taki człowiek był równy wściekłemu psu.

Rodacy Conana bili się z nieprawdopodobną dzikością, jednak nigdy nie zabijali tych, którzy sami nie mogli się bronić. Nie brali niewolników i nie znosili w swym gronie zniewieściałych mężczyzn, którzy zlecali innym wykonanie prac zbyt brudnych dla ich własnych rąk. Conan chciał zabić Atzela i uratować Aelgifę, jeżeli dziecko jeszcze żyło. Jeśli zajmie mu to zbyt wiele czasu i sprowadzi na siebie zemstę Cromy, cóż, bez szemrania podda się woli boga.

Jego wiara w straszego, starego boga przodków nie była podobna do żadnej religii Południa. W głębi duszy Conan był przekonany, że Crom nie mógłby ukarać człowieka za popełnienie czynu, który ten musiał wykonać dla spokoju własnego sumienia. Na północy, w warowni na przełęczy, za kamiennymi murami kryli się ludzie, którzy musieli zginąć. Conan nie mógłby spocząć, gdyby mu przyszło oddychać tym samym powietrzem co oni.

Przyjrzał się brzeszczotowi i w końcu uznał, że jest doskonały.

— Oto co trzeba zrobić — oznajmił. — Nie jest dobrze chować się za kamiennym murem.

W ten sposób można odeprzeć atak, ale nie można wygrać wojny. Służyłem niegdyś w armii Nemedii.

W walce jeden na jednego ci ludzie ustępują nam, wojownikom Północy, ale za to ich generałowie wiele czasu i myśli poświęcają temu, by wygrywać nie potyczki, lecz wojny.

Wszyscy oni zgadzają się w jednym: aby zwyciężyć wroga, należy przenieść wojnę na jego teren. I tak zrobimy!

Mężczyźni głuchym pomrukiem wyrazili swoje poparcie. To pragnęli usłyszeć! Ich pani była doskonałym wojownikiem, walecznym i zręcznym w obronie, ale nie potrafiła zaplanować ataku, w czym z kolei dobrze radził sobie Atzel, choć unikał otwartej walki.

Aelfrith, jak każdy mądry wódz, potrafiła dostrzec własne braki. W chwili, gdy zobaczyła Cymmerianina, zrozumiała, że jest on człowiekiem mogącym poprowadzić jej wojowników na wroga.

A teraz Conan był gotów podjąć się tego zadania.

— Atzel bez przerwy nasyła małe oddziały na wioski swoich sąsiadów — powiedział. —

Wyruszamy natychmiast. Nie będą się spodziewać ataku.

— Atzel jest potężny — stwierdził ponuro wojownik z podbródkiem naznaczonym siną blizną. — Ma więcej ludzi niż my.

— Widziałem ich z bliska. To zgraja, która przywykła walczyć z nie uzbrojonymi wieśniakami, kobietami i dziećmi. Prawdziwy wojownik może się ich nie bać.

Wojownicy przytaknęli mrukliwie. Dla stratega z Południa rozumowanie Conana nie miałyby sensu, lecz dla tych wojowników z Północy było całkowicie logiczne. Wzięli broń i ruszyli przygotować się do wyjazdu. Conan poszedł poszukać Aelfrith.

Aelfrith pilnowała gromadzenia żywności na wypadek oblężenia. Conan przystanął na moment, podziwiając jej spokój, potem oznajmił:

— Ruszam, by zniszczyć twego wroga, pani. Skierowałaś nań zmęczone, ciemne oczy.

— Nie dbam o to, ilu zabijesz, panie. Po prostu sprowadź mi córkę. Ja w zamian nagrodzę cię ziemią, tytułem i miejscem w mojej łóżnicy.

Conan nastroszył się.

— Ja dbam tylko o dotrzymanie danego słowa. Podjąłem się tego zadania, bo tak dyktuje mi serce. Nie proszę o żadną nagrodę.

Ból w oczach Aelfrith roztopił się i kobieta położyła rękę na twardym jak skała ramieniu Conana.

— Wybacz mi, przyjacielu. Niepokój o losy mego dziecka sprawia, że zapominam, kto jest moim sprzymierzeńcem. — Podniosła głowę i ujęła jego twarz w dłonie, przekręcając ją lekko, jakby

dostrzegła w niej jakąś skazę.

— Nie, nie ma w twoich oczach pragnienia bogactw czy sławy. Naprawdę robisz to, co dyktuje ci serce. A jeśli chodzi o miejsce w mojej łożnicy... — przerwała, zmierzyla go wzrokiem takim samym jak wtedy, gdy oceniała go jako wojownika — ...nie miałam

żadnego mężczyzny od czasu śmierci Rulfa. Nie znalazłam człowieka, który byłby godzien stać się jego następcą. Być może ty nim jesteś. — Jej ręce opadły i odwróciła się od niego. —

To należy do przyszłości. Teraz myślę jedynie o tym, byś przyprowadził moją córeczkę.

Serce mi zamiera na myśl, co mogli jej zrobić!

— Pani, nie trać nadziei. Ten łajdak nie mógł jej zabić, bowiem potrzebuje jej jako argumentu w rozmowach z tobą. Przywiodeę ci ją całą i zdrową. Dziś ruszam na twoich wrogów. Ty zostań tutaj i pilnuj fortu. I nade wszystko... — pochylił się nad nią, by podkreślić wagę słów — ...nie ruszaj się z tego miejsca. W każdej chwili mogą przybyć wysłannicy Atzela. Nie słuchaj ich! Jeśli zachcesz, zatknij ich głowy nad bramą, ale nie wierz w ich słowa. Nie ruszaj się z Cragsfell do mego powrotu, rozumiesz?

Skinęła głową, ale po chwili stwierdziła:

— W głębi serca wiem, że masz rację, lecz nie wiem, kto przeważy: wojownik czy matka.

— Po prostu bądź tutaj. To wszystko, o co proszę. Ja zrobię, co będzie możliwe, by spokój zagościł w twym sercu.

— Wierzę ci, wojowniku. Niech Ymir ma cię w swej opiece.

— Moim bogiem jest Crom. Ostatnio naraziłem się na jego gniew, ale myślę, że będzie przyglądał się moim poczynaniom. Może mi nie pomoże, ale jest on bogiem wojowników i ukarałby zachowanie niegodne wojownika.

— Będę pilnowała zamku. Wracaj zwycięski.

Conan nie potrzebował dalszych zachęt. Znalazł swoich ludzi zgromadzonych na

dziedzińcu i rozkazał wsiadać na koń. Była ich niecała setka, ale uważał, że to wystarczy. Nie zamierzał zniszczyć Atzela pojedynczym uderzeniem, ale nadszarpnąć jego siły. Minęli bramę i udali się na poszukiwanie zdobyczy. Conan domyślał się, gdzie mogą ją znaleźć.

Wypytał Aelfrith o jeszcze nie splądrowane tereny i porównując je z obszarami, które już zastał najebrane, mógł przewidzieć, gdzie nastąpi kolejny atak. Okazało się, że miał rację; gdy powrócił jeden z wojowników wysłanych na zwiady, okazało się, iż grupa ludzi Atzela zbliża się do niebronionej wioski.

— Sprawmy tym łotrom niespodziankę — rzekł Conan, przywdziewając pożyczony, rogaty hełm.

Jego ludzie warknęli wściekle z gorliwą jednomyślnością.

Dosiedli koni i ruszyli na najeźdźców. Ludzie Atzela ledwie zdążyli podłożyć ogień pod kilka chat, gdy runęli na nich wojownicy Conana. Na Cymmerianina rzucił się z okrutnym wrzaskiem zbior z pochodnią. Jego twarz zniknęła w szkarłatnej mgle, gdy Conan wywinął

mieczem. Pozostali łupieżcy szybko ulegli dzikiej furii ludzi Aelfrith, którzy odpłacili za lata niepomszczonych najazdów i gwałtów.

— Jedziemy — zawołał Conan, wycierając miecz po zakończeniu potyczki. Mieszkańcy wioski wybiegli gromadą z pobliskiego lasu. Pod niebiosa sławili wojowników, którzy przybyli z pomocą, jednak Conan nie był w odpowiednim nastroju, by ich wysłuchiwać.

— Wiele podobnych band łupi wasze ziemie — zawołał. — Trzeba się z nimi rozprawić.

— Prowadź nas! — krzyknął z zapalem młody wojownik. — Pokaż nam, gdzie są, panie, a wytniemy ich w pień!

Conan uśmiechnął się posepnie na widok jego zapалу.

— Idź ze mną, a będziesz miał okazję wytoczyć krew z niejednego łotra.

W ciągu dwóch dni wciągnęli w pułapki i wybili dużą część ludzi Atzela. Conan cieszył się, że może zawieźć Aelfrith pomyślnie wieści. Dzięki zaskoczeniu i sprytniej taktyce jego ludzie zabili więcej wrogów, niż było ich samych. Teraz Atzel bardziej niż kiedykolwiek był

zdecydowany uniknąć otwartej wojny i gotów do negocjacji.

Wieczorem drugiego dnia zawrócili do Cragfell. Nie mogli już niczego więcej dokonać, bowiem Atzel odwołał swoje bandy, by niepotrzebnie nie powiększać własnych strat.

Wojownicy Conana, którzy każdemu zabitemu wrogowi odcinali lewe ucho i nizali na sznury, niecierpliwie wyglądali okazji, by móc pokazać swe trofea rodzinie i przyjaciołom.

Conan spostrzegł, że coś jest nie tak, gdy znaleźli się o strzał z łuku od bramy. Kilka kroków dalej już wiedział: Aelfrith nie było w Cragfell. Zaniepokojony spiął konia ostrogami i galopem podjechał do wrót. Przywitały go przerażone twarze.

— Gdzie jest Aelfrith? — zapytał kobietę, którą rozpoznał jako jedną z jej służących.

— Wyjechała ostatniej nocy, panie — odparła służka, załamując ręce. — Po twoim wyjeździe przez cały czas siedziała i rozmyślała. Szalała ze strachu o los małej Aelgify.

Próbowałyśmy ją pocieszyć, ale bez skutku. W nocy pani przywdziała strój wojownika i wymknęła się sekretnym tunelem.

Conan zaklął tak siarczyście, że jego wierzchowiec skulił uszy.

— Czy nikt nie ruszył za nią?

— Ci, którzy nie pojechali z tobą, osiodłali konie i pognali w trop, ale jeszcze nie wrócili, panie.

— Musimy ją znaleźć, nim zrobi to Atzel! — zawołał jeden z wojowników.

— Tak, ale wątpię, czy znajdziemy ją na czas — odparł Conan. — Jednak musimy spróbować. Wiem, że on nie zamierza zabić jej od razu. Może uda nam się ją sprowadzić.

Niech będzie przeklęta za swoją głupotę! Nie mogła poczekać?!

W porywie gniewu chwycił kulę łęku z taką siłą, że nieomal oderwał skórę od drewnianego szkieletu.

— Chyba nie spodziewałaś się, że matka zachowa spokój, gdy jej dziecku grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Ona wierzy, że zdoła uratować Aelgifę, oddając w zamian siebie.

— Niewielki pożytek z próżnej gadaniny — burknął Conan, odwracając się do swoich towarzyszy. — Do stajni, osiodłać świeże wierzchowce. Ruszamy za godzinę.

Atzel siedział w tronowej sali, a na jego kolanach kulila się mała dziewczynka. Stary naczelnik od czasu do czasu leniwie gładził jej włosy. Dziecko drżało za każdym dotknięciem jego ręki. Atzel, oparłszy brodę na kłykciach drugiej dłoni, dumiał nad swymi nieszczęściami.

Jego towarzysze czekali, aż sam przerwie milczenie.

Gdzie jest Aelfrith? Powinna pojawić się już pierwszego dnia. Co z niej za matka? Czyżby nie kochała swojej córki? Jak to się stało, że zaczęła atakować? I najważniejsze: kim jest ten czarnowłosy cudzoziemiec, który dowodzi jej ludźmi?

Z roztargnieniem potarł brodę. Stracił dziesiątki ludzi. Stracił łupy i konie przeznaczone na targ. Najgorsze ze wszystkiego było to, że jego wojownicy widzieli, jak wyszedł na głupca i zaczęli tracić doń szacunek. To było nie do zniesienia.

— Aelfrith jest czarownicą, panie — jeden z doradców ośmielił się przerwać ciężącą wszystkim ciszę. — Być może znalazła czar, który uczynił jej wojska niezwycięzonymi.

— Tak — podchwycił skwapliwie inny. — Ten cudzoziemiec może być czarownikiem z Hyperborei.

— Hyperborejczycy nie mają czarnych włosów, głupcze — sparował inny konkurent do królewskich względów.

— Tedy to Stygijczyk. — Dworak przeszył rywala wściekłym wzrokiem. — W każdym

bądź razie to jasne, że działają tutaj czarnoksiężskie moce. — Przypominanie królowi o rzekomych czarodziejskich skłonnościach Aelfrith zawsze było bezpiecznym posunięciem.

Na zewnątrz powstało jakieś zamieszanie i po chwili do sali wpadł wojownik, kłaniając się niedbale.

— Królu, spójrz, kogo przyprowadziliśmy! — zawołał z triumfem. Za nim weszło jeszcze dwóch drabów prowadzących zakutą w łańcuchy Aelfrith.

Atzel poczuł, jak siedzące na jego kolanach dziecko sztywnieje z przerażenia. Aelfrith, nadal w stroju wojownika, miała związane z przodu ręce, a w zgięcie łokci, od tyłu, wsunięto drzewce włóczni, które wyginało kręgosłup. Szyję kobiety otaczała obroża z brązu, a od niej biegły dwa łańcuchy do kajdan na kostkach. Aelfrith miała mocno ograniczone ruchy, jednakże głowę trzymała dumnie wzniesioną.

Usta Atzela wykrzywiły się z zadowolenia. Nareszcie nadeszła tak upragniona chwila!

— Witaj, Aelfrith — przywitał ją szyderczo. — Minęło wiele czasu, od kiedy mieliśmy okazję widzieć się po raz ostatni. Teraz będziesz moim honorowym gościem. Chyba rozumiesz, co to oznacza.

— Zrobisz, jak chcesz, Atzelu. Proszę cię tylko, byś oszczędził mej córce widoku mego poniżenia. — Aelfrith zniżyła się do prośby, lecz w jej głosie nie było śladu pokory.

— Przychyl się do jej prośby, panie — mruknął doradca, stojący u boku Atzela. — Nie chcesz wszak, by przyłgnęła do ciebie sława bezmyślnego okrutnika.

— Niech będzie. Wszak to matki pragnąłem, nie dziecka. Zabierzcie je i trzymajcie pod strażą.

Dziewczynka wyrwała się, by podbiec do matki, lecz strażnik złapał ją i wyniósł, kopiając i zalaną łzami.

— Uspokój się, Aelgifo — rzekła łagodnie Aelfrith. — I pamiętaj, że twoja matka umarła jak królowa, a gdy dorośniesz, pomścij mnie.

Atzel dostrzegł, że wiele mrocznych spojrzeń kieruje się w jego stronę i zgniewał się okrutnie, bowiem popsuły mu one chwilę triumfu. Nie chciał, aby zaczęto współczuć tej kobiecie. Jak najszybciej musiał zniszczyć jej królewską pozę.

— Nie bądź tak wyniosła, ty wszeteczniczo! Nadeszła pora, by pokazać, kim naprawdę jesteś.

Skinął na strażników, a ci naparli na włócznie tak, że Aelfrith padła na kolana. Atzel wstał z tronu, podszedł do niej, wyciągnął sztylet i zaczął ciąć rzemienie mocujące jej zbroję.

Wściekle szarpnął napierśnik i cisnął go przez komnatę, a później zerwał pas i nagolenniki.

Na koniec zacisnął ręce na cienkim pasku od przepaski biodrowej i skręcił go tak, że rzemień pękł z traskiem, zostawiając na ciele czerwoną pręgę. Na koniec oparł stopę o plecy Aelfrith i odzianą już tylko w łańcuchy, przewrócił na podłogę.

— Tak jest lepiej. Teraz wszyscy mogą zobaczyć, czego użyłaś, by opętać mego syna, Rorika. Przypatrzcie się jej dokładnie i zobaczcie, że pani na Cragfell jest niczym więcej, jak pospolitą ladacznicą obdarzoną skłonnością do czarów!

Słowa Aelfrith, choć jej policzek przyciśnięty był do podłogi, brzmiały wyraźnie.

— Chcesz mnie upokorzyć? Nawet teraz, gdy leżę naga u twoich stóp, nadal jestem naczelnikiem, ty ścierwo. A jak długo ty nim będziesz? Jak myślisz, co zrobią inni, gdy zobaczą, jak traktujesz kobietę, w której żyłach płynie królewska krew?

— Królewska krew?! — wrzasnął Atzel. — Tak zwiesz to, co płynie w twoich żyłach? Ano zobaczymy, jak wygląda ta twoja królewska krew!

Podszedł do tronu i wrócił z długim batem, przemyślnie splecionym z czarnej skóry. Szybki ruch ramienia i bicz, świszcząc w powietrzu, opadł na wygięte plecy Aelfrith. Mięśnie ściągnęły się w paroksyzmie bólu, jednak z jej ust nie wyrwał się nawet cichy jęk. Atzel wrzasnął jak oszalały i zaczął okładać ją bez opamiętania. Obok pierwszej pręgi zdążyły rozkwitnąć dwie następne, nim nadgarstek Atzela schwycił jego doradca.

— Powściągnij swój gniew, panie — wyszeptał mu do ucha. — Tej kobiecie pisana jest śmierć. Niech zginie, ale w czasie stosownego rytuału, na oczach zgromadzonych naczelników. — Przysunął się jeszcze bliżej i dodał: — Jeśli zabije ją Król Byk, będziesz bezpieczny, Atzelu, lecz jeśli własną ręką zachłosciesz tę wiedźmę na śmierć, to wszyscy twoi sąsiedzi zjednoczą się i zwrócą przeciwko tobie.

Atzel potrzebował długiej chwili, by się uspokoić. Dworzanie z ulgą dostrzegli, że kolor jego twarzy stopniowo zmienia się z apoplektycznej purpury na zwykłą dlań, niezdrową bladość.

— Już dobrze. — Spojrzał w dół na nagie, krwawiące ciało i pogardliwie trącił je stopą. —

Rozciągnijcie tę ladacznicę przed tronem, bo brakuje mi ciepłego podnóżka. Jutro złożymy ją w ofierze. Przygotujcie co trzeba.

Conan i jego wojownicy jechali bez chwili spoczynku przez pół dnia, zanim ujrzeli grupę przygnębionych ludzi, siedzących na skraju drogi. Cymmerianin poznał ich; byli to ci, którzy zostali w Cragfell jako strażnicy, podczas gdy on ruszył z innymi w pole. Ściągnął wodze i spojrzał na nich pytająco. Wiedział, że mają złe wieści.

— Prawie ją mieliśmy — powiedział jeden. — Jechaliśmy szybko, połowa naszych koni jest ochwacona. Była w odległości strzału z łuku, gdy otoczyli ją strażnicy Atzela. Goniliśmy ich, lecz mieli świeże konie, więc szybko zniknęli nam z oczu. Co z nią zrobią?

— Nie ugnę karku przed tą starą świnią! — krzyknął drugi, ledwie siedemnastoletni. —

Wolę zostać banitą! I przysięgam, że nie spocznę, póki głowa Atzela nie ozdobi drzewca mojej włóczni!

Pozostali poparli go gorliwie. Conan uśmiechnął się z zadowoleniem na widok ich wierności i odwagi.

— To później. Jeszcze nie wszystko stracone. Musimy spróbować uwolnić Aelfrith. Byłem już w twierdzy Atzela. Nie jest to trudne dla zręcznego wspinacza. Kto z was potrafi cicho skradać się w lesie, dobrze się wspina na mury i wie, za który koniec sztyletu należy chwycić w potrzebie?

Natychmiast stanęło przed nim kilku zwinnych, młodych ludzi. Wizja walki i zemsty zmyła rozpacz z ich dusz.

— Wyruszymy późną nocą. Ludzie Atzela będą na gościńcu, ale nie będą pilnowali lasu.

Teraz niech wszyscy odpoczną. Poszukajmy dobrego miejsca na obóz, z dala od traktu.

Wystawimy strażę, odpoczniemy, a nocą upuścimy Atzelowi krwi.

Po godzinie znaleźli odpowiednie miejsce. Conan zeskoczył z konia, wyciągnął się na ziemi i zasnął natychmiast. Obudził się, gdy księżyc świecił nad małym ogniskiem. Ochotnicy właśnie smarowali ciała sadzami. Conanzrobił to samo.

— Żadnych mieczy — rozkazał. — Tylko sztylety lub toporki. Wewnątrz twierdzy jest niewiele miejsca. Jeśli będziemy potrzebować mieczy w drodze powrotnej, to weźmiemy je od martwych strażników.

W odpowiedzi dostrzegł wyszczerzone radośnie białe zęby. Ubrudzone węglem twarze pojaśniały na samą myśl o zabijaniu ludzi Atzela.

— Wszyscy gotowi? W drogę!

Ruszyli przez las szybko i cicho. Conan posiadał niezwykle ostry słuch i dla niego wojownicy poruszali się niemal jak stado słońi, ale wiedział, że większość ludzi nie usłyszałaby ich nawet z odległości trzech kroków. Kiedy dotarli do twierdzy, księżyc stał już wysoko na niebie. W jego blasku dostrzegli na blankach sylwetki strażników. Conan klepnął

w ramię młodzieńca, który przyrzekł Atzelowi krwawą zemstę. Wyciągnęli noże, chwycili je w zęby i zaczęli ostrożnie piąć się na mury.

Strażnicy obserwowali drogę i nie zauważyli pełzających po ścianie postaci. Conan wraz z młodzieńcem przycupnęli w odległości dwóch łokci od szczytu wału i znieruchomieli.

Usłyszeli rozmowę znajdujących się wprost nad nimi strażników. Po chwili głosy zaczęły cichnąć — strażnicy ruszyli na drugą stronę.

Dwaj wojownicy błyskawicznie wdrapali się na blanki. Bose stopy nie czyniły żadnego dźwięku. Przepaski biodrowe nie szeleściły, pasy nie skrzypiały — poruszali się jak zjawy.

Rzucili się na strażników. Była to szybka walka ograniczona do błyskawicznego szarpnięcia dwóch

głów do tyłu i wepchnięcia stali w odsłonięte gardła. Strażnicy, czując się bezpiecznie w obrębie twierdzy, nie założyli nawet hełmów i za tę niedbałość zapłacili życiem.

Conan potarł ociekający krwią sztylet i podszedł do skraju blanków, by dać znak reszcie. Po chwili wszyscy wojownicy stanęli obok niego. Conan rozkazał dwóm ludziom udawać strażników na wypadek, gdyby pojawili się zmiennicy.

Dworzyszcze przylegało do muru i bez trudu dostali się na dach. Piętro budynku było podzielone drewnianymi przegrodami na małe pomieszczenia, które nie miały sufitów.

Wojownicy mogli więc przeczołgiwać się po krokwiach z izby do izby nie dotykając podłogi.

Przemieszczali się coraz dalej niczym szczury, niewiele widząc i słysząc w dole jedynie chrapanie. Migotliwy poblask na krokwiach wskazywał, gdzie palił się ogień. Conan ruszył w tę stronę i znalazł się nad olbrzymią salą. Domyślił się, że ma przed sobą główną komnatę zamczyska, a potwierdził to widok tronu Atzela. Usłyszał za plecami stłumiony chrobot i mocno zacisnął rękę na ramieniu sprawcy hałasu.

Na tronie siedział Atzel. Zadowolony z siebie opierał stopy o zakrwawione plecy Aelfrith.

Kobieta miała skute ręce i nogi, a łańcuchy przymocowano do brązowych pierścieni, wbitych w kamienne podwyższenie, na którym stał tron. Twarz Aelfrith zasłaniały gęste, brązowe włosy, nie można więc było dostrzec, czy jest przytomna. Po dziecku nie było ani śladu.

Conan ostrożnie obejrzał komnatę. Dwóch strażników stało przy drzwiach, lecz zza nich dobiegały głosy co najmniej pięciu dalszych. Możliwe, że mieściła się tam wartownia, a to by oznaczało, że na zawołanie mogło pojawić się nawet dwudziestu ludzi.

Atak z zaskoczenia miał niewielkie szanse powodzenia, a poza tym Conan nie wiedział, w jaki sposób wydostać stąd Aelfrith. Była skuta i chyba zbyt osłabiona, by wspiać się na dach.

W takich przypadkach musieliby wyrąbywać sobie drogę do wolności przez całą twierdzę.

Conan dał znak przyczajonemu obok wojownikowi i razem się wycofali. Cymmerianin bolał nad tym, że musi zostawić Aelfrith, ale wiedział, że próba uwolnienia mogłaby narazić ją na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

W powrotnej drodze zobaczyli młodzieńca, który jako pierwszy wspiął się na mur.

Wojownik szaleńczymi gestami wzywał ich do siebie. Podpełzli bezszelestnie i zajrzeli do małej klitki.

W świetle świecy dwaj mężczyźni grali w kości. W rogu pokoju na stercie słomy spała Aelgifa. Dziki uśmiech wykrzywił twarz Conana, a gdy odwrócił się do innych, zobaczył

podobne grymasy. Tutaj mogli coś zrobić. Podczołgali się tak, że znaleźli się bezpośrednio nad

dwójką mężczyzn.

Strażnicy nie zdążyli nawet podnieść oczu, gdy z góry spadła na nich śmierć. Conan zaatakował z szybkością błyskawicy. Jedną ręką złapał strażnika za ramię, a drugą za szczękę i skręcił mu kark jednym, potężnym szarpnięciem. Dwóch ludzi Aelfrith rzuciło się na drugiego, wrażliwie w jego gardło bezlitosną stal. Wszystko to trwało moment i przebiegło w takiej ciszy, że Aelgifa nawet się nie przebudziła. Conan wziął ją na ręce, wszedł na stół i podał dziecko w wyciągnięte z góry ramionami.

Wrócili na dach, gdzie ich dwaj kamraci nadal pilnowali muru. Schodzenie po ścianie było bardziej niebezpieczne niż wchodzenie, tym bardziej że nieśli dziecko, które w każdej chwili mogło się zbudzić i krzykiem zdradzić ich obecność. Wreszcie jednak zeszli bezpiecznie na ziemię, a wędrujący po niebie księżyc oświetlił im drogę przez las.

W obozie najpierw rozległy się okrzyki radości, gdy zobaczono, że powracają z Aelgifą, a potem wściekłości, gdy wojownicy dowiedzieli się, jak Atzel znieważył ich panią. Conan poszedł nad strumyk, by zmyć sadzę. Wrzał z wściekłości, niezdolny zapomnieć o Aelfrith, obnażonej i skrępowanej, wychłostanej i siłą rozciągniętej pod stopami tego łajdaka.

Przysiągł sobie, że uwolni Aelfrith, jeśli tylko okaże się to możliwe. Jeśli nie — zabije Atzela, a śmierć z jego ręki po raz pierwszy nie będzie szybka.

Aelfrith powoli oprzytomniała i znalazła się w świecie bólu, jakiego nie zaznała nigdy wcześniej. Kajdany wżerały się w jej nadgarstki i kostki. Ramiona i uda były wykręcone tak, iż niemal zostały wyrwane ze stawów. Najgorzej bolały plecy. Czuła się tak, jakby od karku po pośladki spływało po niej roztopione żelazo. Leżała rozciągnięta twarzą w dół na szorstkiej, kamiennej posadzce, a jej policzek spoczywał w kałuży krwi. Jednakże cierpienie ciała było niczym w porównaniu z męką duszy. Dokąd ci dranie zabrali jej córeczkę? Czy Atzel już ją zabił, skoro przestała mu być potrzebna jako przynęta?

Poczuła ogromny ból w plecach i zdała sobie sprawę, że Atzel naprawdę używa jej jak podnóżka. Ból zwiększył się, gdy zwyrodnialec złośliwie wbił w świeże rany palce stóp.

Aelfrith ze wszystkich sił stłumiła krzyk, by nie sprawić Atzelowi satysfakcji, jednak nie zdołała powstrzymać łez bólu.

— Obudziłaś się. Aelfrith? To dobrze, teraz w pełni odczujesz męczarnię. Zastanówmy się, czego spróbujemy teraz? Mój doradca upiera się, że nie powinienem zbyt mocno ranić twojej skóry. Chyba ma rację, musisz zachować urodę do czasu ofiary. Nie wolno dopuścić do tego, by uczestnicy pomyśleli, że zbyt nadwerżyłem szlachetną damę. Z drugiej strony to zdumiewające, ile bólu można zadać bez zostawiania śladów! Weź na przykład taki krowi róg, otwarty z obu stron i gorące żelazo. Dzięki tym prostym przyrządom można wywołać isticie piekielne cierpienia, a żadne szkody nie są widoczne na zewnątrz.

Aelfrith, słysząc jego obłąkańczą tyradę, mocno zacisnęła powieki i zagryzła zęby. Atzel obrazowo opisywał tortury, jakim miał zamiar ją poddać. Jako dziecko Północy była przyzwyczajona do

zemsty, ale jego żądza krwi przerastała nawet najbardziej ponure legendy.

Gdy zaczął mówić, co zrobi z jej ukochaną Aelgifą, była przekonana, że wpadnie w obłąd, nim litościwa śmierć skróci jej mękę.

Oszalały głos ucichł, bo raptem przy drzwiach powstało zamieszanie. Aelfrith przygryzła wargi do krwi, gdy Atzel przeszedł po jej plecach i udał się w kierunku źródła hałasu.

W chrapliwym głosie Atzela rozbrzmiało niedowierzenie.

— Dziecko zniknęło? Czterech strażników nie żyje? Głupcy! Jak to się stało?!

Aelfrith usłyszała odgłosy uderzeń i kopniaków, a po chwili kroki Atzela. Roześmiała się radośnie, choć kosztowało ją to wiele.

— Dzięki ci, Conanie! Jeśli przeżyję, uczynię cię królem, a jeśli nie, to umrę szczęśliwa, bez względu na to, jak wielkie będą katusze zadane mi przez to ścierwo. Dziękuję ci za życie mojej córki, Conanie!

Zaśmiała się raz jeszcze, szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu. Potem na jej plecy opadł

bat Atzela i oczy Aelfrith zasnuły się szkarłatną mgłą bólu.

O świcie Conan i jego towarzysze stanęli przy drodze prowadzącej do fortecy Atzela. Na trakcie panował znaczny ruch, wszyscy kierowali się w stronę twierdzy. Z początku Conan pomyślał, że może są to szukający ich ludzie Atzela, ale wkrótce po herbach na tarczach poznał, że należą do różnych plemion.

Conan podjechał do wodza w świetnej zbroi.

— Wybacz mi panie, ale jestem tu obcy. Dlaczego tak wiele osób zmierza w kierunku twierdzy?

Wielmoża popatrzył na obcokrajowca z zaciekawieniem.

— Naczelnik Atzel zwołał nas, byśmy byli świadkami złożenia wielkiej ofiary Królowi Bykowi. Jednakże klnę się na własne życie, nie mam pojęcia dlaczego! Zbyt wczesna pora na Wielki Festiwal. Ale jest to jego prawo, więc przybywamy.

— Jakąż to ofiarę składa się owemu Królowi? — wypytywał od niechcienia Conan, jadąc obok naczelnika.

— Zwykle są to pierwsze plony, ale na to jest jeszcze za wcześnie. Może więc piękny koń lub dorodny wół. Być może stary zwariował do szczętu, co wcale by mnie nie zdziwiło. Już od lat zachowuje się tak, jakby był królem, a przecież w żyłach niejednego z nas płynie lepsza krew i wielu ma równie dużo wojowników.

Minęli rząd pali zwieńczonych czaszkami byków i Conan zapytał, co oznacza ta ozdoba.

— Są to czaszki Królów Byków z przeszłych lat. Oznaczają, że wkraczamy na świętą ziemię. W czasie ceremonii żaden człek nie może podnieść broni na innego nie popełniając przy tym świętokradztwa.

Conan pomyślał, że wielce to wygodne dla Atzela. Gdyby ludzie Aelfrith zaatakowali próbując odbić swą panią, złamaliby święte prawo i ściągnęli na siebie gniew bogów oraz zemstę wszystkich sąsiednich szczepów. Zrozumiał tę obłudną intrygę i wiedział, że pozostało niewiele czasu.

Po cichu zwrócił się do dwóch swoich jadących obok.

— Przekażcie dalej: rozproszyć się wśród tłumu. Nie stójcie wszyscy razem, gdy dotrzemy do miejsca ceremonii. Nie wystawiajcie się na widok Atzela i jego ludzi. Ustawcie się tak, by widzieć dokładnie wszystkich naczelników. Jeśli dobrze zrozumiałem, Atzel nie ośmieli się zaatakować nas na świętej ziemi. Zostawcie konie zaufanym, gotowym przyprowadzić je natychmiast na dany znak. Musimy być przygotowani na odjazd bez stosownego pożegnania.

Wojownicy skinęli głowami i ruszyli w tył, by przekazać reszcie polecenie Conana.

Zamek Atzela był już w zasięgu wzroku, gdy kawalkada skręciła z głównego traktu na ścieżkę prowadzącą w stronę kępy ogromnych drzew. Z wielu gałęzi zwieszały się figury wyplatane ze słomy, a pnie obwiązane były sznurami w rozmaitych kolorach. W centrum gaju znajdował się naturalny amfiteatr. Wokół stały pale z czaszkami byków, których puste oczodoły zwracały się w stronę areny. Na arenę prowadziło tylko jedno wejście, zamknięte drewnianą bramą. W centrum stał świeżo ścięty, wysoki na osiem stóp pał, z grubym, przymocowanym na czubku pierścieniem z brązu.

Wokół areny tłoczyli się naczelnicy i ich świty, rozprawiający o tak niespodziewanym święcie. Wielu wskazywało na słup, domyślając się, że nie jest przeznaczony dla ofiarnego wołu czy konia. Z podsłuchanych rozmów Conan wywnioskował, że ofiary z ludzi składano rzadko, jedynie w czasie głodu lub innych żywiołowych kataklizmów. Jednak ostatnie lata były pomyślne.

Cymmerianin rozglądał się szukając Atzela, ale nie było widać ani jego, ani żadnego z jego ludzi. Conan nie wątpił, że znajdowali się gdzieś w pobliżu, zapewne gotowi do odparcia ataku wojowników Aelfrith i uniemożliwienia im ucieczki. Conan zaprzestał poszukiwań, gdy rozległ się przenikliwy dźwięk rogu. Tłum zaczął zajmować miejsca na trawiastych, łagodnie nachylonych stokach amfiteatru.

Conan ruszył wraz z innymi i znalazł sobie miejsce na brzegu amfiteatru. Tutaj natura została udoskonalona — wokół owalnej areny zbocze zostało stromo ścięte i wzmocnione kamieniami tak, że tworzyło wysoką skarpe. Jedyna droga na płaski plac prowadziła przez bramę.

Z oddali dobiegł gromki ryk, tak potworny, że rozmowy wokół ucichły na chwilę. Conan pomyślał, że nie podoba mu się ten dźwięk. Jeżeli wydał go byk, to musiał różnić się od swych pobratymców, tak jak smok odróżnia się od krokodyla.

Rozmowy ścichły raz jeszcze, gdy otwarto wrota i na arenę wkroczył Atzel. Większość naczelników siedziała po drugiej stronie, więc Atzel ruszył ku nim przez środek areny.

Mijając wkopany w ziemię pal, klepnął go i pogładził z widoczną rozkoszą. Zatrzymał się o kilka kroków przed widownią. Spojrzał na oczekujących i radośnie wyszczerzył zęby, upajając się tą chwilą.

— Trzy lata temu — zaczął tubalnym głosem — gdy prosiłem to zgromadzenie o

wymierzenie kary za świętokradcze rozlanie krwi i pozwolenie na akt zemsty, odmówiono mi. Zniosłem to, że moja pomsta nie została zaspokojona, ale nie mogłem ścierpieć obrazy naszego świętego Króla Byka. Zebrałem was tutaj, byście stali się świadkami naprawienia wielkiego zła.

Poruszeni naczelnicy komentowali jego słowa, a Atzel obrócił się w stronę bramy. —

Wprowadzić ofiarę.

Wrota zaskrzypiały i na arenę wprowadzono nagą kobietę. Na ten widok zapadła cisza, a po chwili rozległ się ryk gniewu, gdy rozpoznano w niej Aelfrith. Strażnicy przeciągnęli sznury krępujące jej nadgarstki przez pierścienie na szczycie pala i naciągnęli je tak, że kobieta musiała stanąć na palcach. Potem skrępowali jej kostki.

Wódz, który rozmawiał z Conanem na drodze, skoczył na nogi i oskarżycielsko wskazał

palcem na Atzela.

— Atzel, wytłumacz się! Jaki masz powód, by w ten sposób traktować szlachetnie urodzoną? Wytłumacz się dobrze, w przeciwnym razie, klnę się na Ymira, gdy tylko znajdziemy się poza świętą ziemią, przytroczę twoją głowę do łęku swego siodła!

Przytaknął mu chór dzikich pomruków.

— Dobrze prawi! — zakrzyknął inny. — Jeśli chciałeś pomścić śmierć syna, dlaczego nie zaatakowałeś jej trzy lata temu? Ale nawet wtedy, gdybyś zwyciężył, winieneś jej czystą i szybką śmierć! Twój czyn gwałci nasze obyczaje!

Atzel uniósł obie dłonie, by uspokoić wrzący z gniewu tłum.

— Dokonałem tego nie dla własnej zemsty, chociaż mam do niej prawo, ale w obronie honoru naszego świętego wcielenia boga na ziemi, w obronie czci Króla Byka!

Wszyscy umilkli i zajęli swoje miejsca, ciekawi jego wyjaśnień.

— Aelfrith została lekko zraniona, gdy ją pojmano, ale przysięgam, że ani ja, ani żaden z moich ludzi nie podniósł na nią ręki. Złożę ją w ofierze Królowi Bykowi, lecz nikt ani nie poderżnie jej gardła, ani nie przebije serca ofiarnym nożem!

Zapadła grobowa cisza. Wszyscy słuchali tak, by nie uronić ani słowa.

— Miast tego — kontynuował Atzel — Król Byk sam dopełni obrzędu. Wejdzie przez tamtą bramę

— dramatycznym gestem wskazał w kierunku drewnianej kratownicy — i w sprawiedliwym gniewie zatopi swój róg w nieczystym ciele tej czarownicy.

Teraz wskazał na Aelfrith. Kobieta wznosiła dumnie twarz. Nie mogła rzec ani słowa w swej obronie, bowiem Atzel przezornie kazał ją zakneblować.

Podniósł się jeden z wodzów w hełmie zdobionym złotem i srebrem. Dał znak, że chce przemówić.

— Odknebluj ją, niech mówi. Jest równym nam naczelnikiem i chcemy usłyszeć, co ma do powiedzenia.

— Nie, szlachetni panowie — zaprzeczył Atzel. — Ta kobieta jest występłą czarownicą!

Chcecie, bym uwolnił jej język, aby mogła omamić wasze umysły czarami?

Kilku innych wodzów stwierdziło, że takie postępowanie jest usprawiedliwione.

— Król Byk, który żyje w głębi puszczy, przychodzi do nas jedynie w czasie Wielkiego Festiwalu — mówił dalej naczelnik w ozdobnym hełmie. — Kiedy przybędzie, by przyjąć twoją ofiarę?

— Już przybył. Czyżbyś nie słyszał jego ryku? On wie, że ta wiedźma jest tutaj, i śpieszy, by wydrzeć z niej duszę!

Jakby na potwierdzenie jego słów znów rozległ się ogłuszający ryk, tym razem dużo bliżej.

— Słyszycie? Nadchodzi, dysząc żądzą zemsty za dokonane zło, za sprofanowanie poświęconego mu Festiwalu.

Kilku naczelników zbliżyło głowy i zaczęło naradzać się szeptem. Po chwili do skraju areny podszedł wódz w zdobnym szlachetnymi kruszcami hełmie.

— Dobrze, Atzelu. Niech Król Byk zadecyduje. Ostatecznie nie może zaatakować

niewinnej kobiety. Ale pamiętaj, jeżeli w ciągu dziesięciu uderzeń serca Aelfrith nie stanie się krzywda, to na Lodową Brodę Ymira przysięgam, nie dożyjesz zachodu słońca!

— O szlachetni, nie proszę o nic innego! Niech sprawiedliwości stanie się zadość.

Conan nie mógł już tego znieść. Wstał, wyprostował całą swoją potężną postać i rozpostarł ramiona, by przyciągnąć uwagę zgromadzonych.

— Szlachetni! Ten człowiek jest kłamcą i tchórzem! Zaplanował wszystko tak, by niewinna kobieta zginęła na waszych oczach i aby wina za jej śmierć padła na to zwierzę! Ten spisek śmierdzi na miłę! Nie pozwólcie mu się okpić!

— On łże! — wrzasnął Atzel, a na jego ustach pojawiła się piana. — Będziecie słuchać tego cudzoziemskiego psa?

Wojownik w srebrzystym hełmie zwrócił twarz na Conana.

— Kim jesteś, przyjacielu, tak śmiało przemawiający do zgromadzonych naczelników?

— Jestem Conan z Cymmerii, dowodzę drużyną tej szlachetnej damy.

Aelfrith, słysząc znajomy głos, odwróciła się w tamtą stronę. Jej oczy napotkały spojrzenie Conana i na obliczu dotychczas przyobleczonym w obojętną maskę pojawił się nieśmiały cień nadziei.

— Już za późno, by jej pomóc. Naradziliśmy się i zgodziliśmy, że Król Byk sam zadecyduje o losie jej czy Atzela.

— Chcę zmierzyć się z waszą świętą bestią. Tej łajdak wynajął bossońskich hodowców bydła, aby wytresowali tego byka tak, by atakował kobiety. Pozwólcie mi stanąć w jej obronie.

Naczelnik przeszył Atzela lodowatym spojrzeniem.

— Czy prawdę rzecze ten cudzoziemiec?

— To kłamstwo! Łże jak pies, opętany przez tę wiedźmę! Czy słowo tego przybłądy jest dla ciebie lepsze od słowa naczelnika, w którego żyłach płynie krew królów.

— Tak, jeśli tym naczelnikiem jesteś ty. Niemniej jednak musimy podjąć jakąś decyzję. —

Odwrócił się w stronę Conana. — Młodzieńcze, żaden człek nie ma prawa wznieść broni na święte zwierzę.

— Na Croma, w takim razie będę walczył z nim gołymi rękami! — ryknął Conan. — A jeśli chcecie mnie zabić, to się pośpieszcie, bowiem idę na arenę!

Atzel, słysząc wiele okrzyków wyrażających podziw dla Cymmerianina, zrozumiał, że musi zmienić taktykę.

— Szlachetni, rad jestem, że ten głupiec sam postanowił nadzieć się na róg Króla Byka, bo jakże inaczej może zakończyć się ten sąd boży? Bardzo proszę, niech ten czarnowłosy łajdak zmierzy swe siły z potężnym bogiem Północy!

Obrócił się i ruszył w kierunku bramy, zatrzymując się pośrodku placu, by jeszcze raz splunąć na Aelfrith. Na arenie pozostała jedynie udręczona kobieta. Powietrze zadrżało, gdy wielki byk oznajmił światu swoje przybycie.

Conan odpassał miecz i podał go wraz z tasakiem jednemu ze stojących w pobliżu ludzi Aelfrith. Zsuł buty, które mogły ślizgać się po murawie, a potem ściągnął tunikę. Odziany jedynie w przepaskę, stanął balansując na krawędzi skarpy. Przez amfiteatr, na widok potężnego, poznaczonego bliznami

ciała, przetoczył się szmer podziwu.

Zbliżył się naczelnik w srebrzysto–złotym hełmie. — Życzę ci jak najlepiej, młodzieńcze, i podziwiam twoją odwagę, ale zda się ona na jedno: umrzesz godnie u boku swej pani. Żaden nie uzbrojony człek nie przeżyje pojedynku z Królem Bykiem! Nawet gdy Król jest stary i trzeba złożyć go w ofierze nowemu, wielu ginie próbując go powalić.

— Nawet jeśli stanie się tak, jak prawisz, wolę zginąć, niż czekać beczynn timer na śmierć tej kobiety. Miałbym się gapić i udawać, że nie mogę jej pomóc?

Naczelnik skłonił mu się z szacunkiem i wrócił na miejsce. Conan z gracją zeskokczył na arenę. Wylądował na nogach lekko ugiętych w kolanach, tak płynnie jak człowiek schodzący z niskiego stopnia.

Delikatnie rozwiązał knebel, który wpijał się w usta Aelfrith. Kobieta mimo wielkiego bólu uśmiechnęła się do niego.

— Myślałam, że niepodobna odczuwać wdzięczność większą od tej, jaką poczułam wtedy, gdy dowiedziałam się, że uratowałeś mą córkę. Widzę, że się myliłam. Nigdy żadna kobieta nie miała wspanialszego obrońcy! Ale szkoda, że to zrobiłeś. Byk zabije nas oboje.

— Nie wymyślaj zbędnych strapień. Wiele razy walczyłem z ludźmi i ze zwierzętami i żyję.

Jestem pewien, że nie dopełniło się jeszcze to, co jest mi przeznaczone. Spotkam się z twą bestią i zobaczymy, który z nas jest lepszy.

— Pocałuj mnie, Conanie, weź z mych ust siłę, jaka mi jeszcze pozostała.

Conan ujął jej twarz w dłonie, porywczo ucałował jej spierzchnięte wargi i naprawdę poczuł

się tak, jakby stał się jeszcze silniejszy. Odwrócił się, splótł ręce na piersiach i spojrzał w kierunku bramy. Był gotowy do walki, obojętnie z kim. Wrogiem mógł być człowiek, demon lub dzikie zwierzę. Znów rozległ się okropny ryk, a gdy ucichł, w przejściu wiodącym na arenę pojawił się ogromny czarny cień.

Conan zmrużył oczy, próbując przebić wzrokiem ciemność. Zwykły byk nie mógł być tak potężny! Zwierz ukazał się wreszcie w pełnym słońcu i w Conanie serce zamarło. Byk nie był

zwykłym hodowanym bydłem! Nawet nie był jednym z tych szkolonych do walk na arenach Zingary. Należał do nielicznego już rodzaju dzikich byków żyjących w głębokich puszczach Północy, będących starożytnymi przodkami bydła domowego. Swego czasu, w Cymmerii, Conan zabił raz podobną bestię gołymi rękami. Był to co prawda bliski krewniak Króla Byka, ale mierzył w kłębier ledwie pięć stóp, podczas gdy ten miał siedem!

Byk stał przez moment, mrużąc przekrwione oczy w jasnym świetle i przyglądając się bacznie otoczeniu. Lśniaca skóra opinała sprężyste ciało, na karku piętrzył się garb stalowych mięśni. A zdumiewająca męskość Króla Byka była doskonale widoczna nawet z wielkiej odległości.

Najbardziej przerażający był łeb olbrzyma; ślepiea oddalone od siebie o długość przedramienia dorosłego mężczyzny, pęk kudłów zwisających na podgardlu i budzące grozę przeogromne rogi. Błyszczały one jak kość słoniowa, były szeroko rozstawione, wygięte niczym nemedyski łuk i ostre jak sztylety. Od czubka jednego rogu do drugiego było pełne pięć stóp.

Mimo wszystko Conana przepelnił podziw dla tak dostojnego zwierza. Połyskująca, czarna skóra nosiła setki blizn świadczących o niezliczonych pojedynkach stoczonych w obronie pastwisk, haremu czy boskości. Jeżeli, pomyślał Conan, bydlę naprawdę ma swego boga, to jest nim ta bestia.

Byk dostrzegł w końcu stojących na arenie ludzi. Z rozdętych nozdrzy dobyło się ogłuszające sapanie, wielki łeb zwiśł tuż nad ziemią, kopyto zaczęło ryc ziemię z taką siłą, że wielkie grudy ziemi z trawą i korzeniami poleciały na widownię.

Nagle zwierz podniósł łeb i ruszył, okrążając stojącą przy słupie parę i patrząc na nią jednym przekrwionym ślepiem. W pewnej chwili zatrzymał się, sapnął i ruszył w drugą stronę, łyskając drugim ślepiem. Conan zrozumiał, że zwierz ma tak szeroko rozstawione oczy, iż by obejrzeć to, co go ciekawi, może posługiwać się tylko jednym naraz.

Cymmerianin rozpostarł szeroko ramiona, aby przyciągnąć jego uwagę i krążył po arenie tak, aby stale znajdować się między nim a Aelfrith.

Na widowni zapadła śmiertelna cisza. Rozgrywające się wydarzenia już stawały się legendą: pojedynek między bogiem a herosem, w którym stawką było życie pięknej i majestatycznej królowej. Bardowie znajdujący się wśród tłumu gorączkowo układali wersy pieśni, która unieśmiertelni tę scenę. Wszyscy z zapartym tchem czekali na rozwój wypadków i tylko jedna osoba była niezadowolona — Atzel, ze złości żujący własne wąsy. Pragnął

zobaczyć zlane krwią, rozdarte przez straszliwe rogi i stratowane przez racice ciało Aelfrith, a przez tego bezczelnego straceńca przyjemność się odwlekała.

Niespodziewanie byk przestał krążyć i stanął przodem do Conana i Aelfrith. Pochylił rogi i zaczął ryc dziko ziemię kopytami. Grudy i kamienie padały daleko za jego zadem. Widać było, że jest gotów do szarży. Nagle skoczył do przodu i pomknął niczym wystrzelony z katapulty czarny gład.

Każdy nerw w ciele Conana krzyczał, by odsunął się na bok, jednakże wtedy Aelfrith pozostałaby zmiażdżona. Pędzący z niewiarygodną prędkością zwierz rósł w oczach i Conan wiedział, że zbliża się najbardziej niebezpieczny moment. W dzieciństwie pasł bydlę w Cymmerii i dzięki temu poznał bycze obyczaje i sposoby walki. Wiedział, że byki mają jeden ulubiony róg. Którym uderzy ten: prawym czy lewym? Jeśli w ostatniej chwili uskoczy w złą stronę, zakończy życie na byczym rogu.

Poczuł gorący oddech byka i zobaczył prawy róg mknący w jego stronę z prędkością strzały. Zawirował na pięcie lewej nogi i zrobił krok do przodu, w lukę pomiędzy rogami.

Szerokie czoło trzasnęło w naprężony brzuch z siłą, która wydawała się nie do zniesienia, ale Conan cofnął się w porę zmniejszając nieco straszliwy wstrząs. Pochylił się głęboko i owinał

ręce wokół karku zwierza w największym miejscu, tuż za łbem. Ścisnął z całych sił, próbując pozbawić je oddechu. Byk ryknął i potrząsnął łbem, chcąc strząsnąć dziwne stworzenie, które dusząc i oślepiając doprowadzało go do szału.

Darł trawę kopytami i próbował wgnieść Conana w ziemię, jednak uniemożliwiła to długość rogów. Po chwili zmienił taktykę: prężąc potężne mięśnie odrzucił łeb do tyłu. Conan nie zdołał się utrzymać i wyleciał w powietrze, obracając się dwakroć, nim spadł na ziemię.

Nie mógł złapać oddechu, był na wpół oszołomiony, jednak musiał zwalczyć słabość. Utrata przytomności nawet na mgnienie oka mogła kosztować go życie. Skulił się, wygiął plecy w łuk i gwałtownym wyrzutem poderwał się na nogi. Ryk szalejącej widowni powitał to, zdawało się, powstaniem z martwych. Conan odetchnął z ulgą, gdy dostrzegł, że byk odwrócił

się ku niemu. Osiągnął to, co chciał! Odwrócił uwagę bestii od Aelfrith.

Byk zniżył łeb, celując w barbarzyńcę swoim strasznym rogiem. Ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich obecnych Conan nie próbował odskoczyć. Stał w szerokim rozkroku, z lewą stopą wysuniętą w stronę zwierza, a prawą cofniętą daleko w tył. Wyciągnął lewą rękę i wyprostowanymi palcami wycelował w punkt znajdujący się pomiędzy oczami byka. Prawa dłoń, zaciśnięta w sękatą pięść, zawisła na wysokości ucha. Stał nieruchomo niczym granitowa statua.

Byk cofnął się nieco, zaczął ryc ziemię kopytami, sprężył się i zaszarżował. Gdy znalazł się w odpowiedniej odległości, pięść Conana wystrzeliła do przodu tak szybko, że żadne ludzkie oko nie zdążyło dostrzec jej ruchu. Rozległ się dźwięk podobny do huku topora uderzającego w pień drzewa. Byk wyhamował i przez jego potężne cielsko przebiegło drżenie. Pięść Conana wzniosła się po raz drugi i spadła niczym młot na kark byka tuż za czaszką. Zwierz ugiął kolana i runął na ziemię. W przeszłości Conan wygrał w ten sposób wiele kufla piwa.

Zakładał się, że dwoma ciosami zmiażdży czaszkę i kark przeznaczonego na rzeź wołu.

Zwyczajny byk byłby już martwy, ale Król Byk zerwał się na nogi i potrząsnął łbem. Conan zdołał uniknąć czubka rogu, ale otrzymał uderzenie bokiem. Cios ten był niczym potężna maczuga trzymana oburącz przez krzepkiego osiłka. Cymmerianin stracił równowagę, lecz zdołał ją odzyskać. Wiedział, że za nic nie wolno mu upaść.

Byk rzucił łbem próbując otrząsnąć się z oszołomienia spowodowanego tymi dwoma niewiarygodnymi ciosami. Conan zyskał chwilę na złapanie oddechu i zaplanowanie następnego ruchu. Zgromadzeni w amfiteatrze wpadli w szal. Aelfrith obserwowała rozgrywającą się scenę na wpół z zachwytem, na wpół ze strachem i dumą. Conan, jej dowódca, zwykły człowiek, przeżył dwa zdawałoby się śmiertelne starcia z Królem Bykiem.

Wszystkie wymierzone w niego ciosy zabiłyby każdego innego śmiałka, jednak Conan stał, gotów do dalszej walki.

W tej samej chwili do serca Atzela zakradło się zwątpienie. Dlaczego ten człowiek jeszcze żyje? Czy naprawdę zranił byka tymi ciosami? Przecież nikt nie może być tak silny!

Opanował się nieco. Oczywiście, przy następnym spotkaniu Cymmerianin zginie, a zaraz potem umrze Aelfrith.

Conan obserwował uważnie bestię, a ta z równą uwagą przypatrywała się jemu. Potem byk zaczął ryć kopytem i raz jeszcze ruszył w jego stronę.

A Conan odwrócił się i uciekł.

Nad areną przetoczył się jęk zawodu. Imponująca odwaga Cymmerianina prysła jak bańka mydlana! I cóż dziwnego? Ostatecznie był tylko zwykłym śmiertelnikiem! Conan uciekał, dopóki nie zatrzymała go wysoka skarpa. Tam odwrócił się, rozpostarł szeroko ręce i przycisnął do kamiennej ściany tak, jakby chciał się w nią wtopić. To było żałosne.

Atzel wybuchnął ochrypłym śmiechem.

— Ha! I cóż widzimy? Tchórza uciekającego niczym wychłostany pies! Zaraz będzie po wszystkim!

Naczelnik w zdobionym hełmie spojrzał nań z góry. W jego głosie brzmiała bezgraniczna pogarda.

— A pokaż mi człeka, któremu stałoby odwagi, by po trzykroć, a choćby i dwakroć, zmierzyć się z Królem Bykiem! Ja sam bym uciekł już po pierwszej szarży. Nie dziwota, że ów załamał się przy trzecim razie! I stul pysk, Atzelu! Żadne takie cuchnące „nic” jak ty nie będzie mi prawilo o tchórzostwie i odwadze.

Atzel w milczeniu przyjął zniewagę od władcy północno–zachodniego księstwa. Na wszystko przyjdzie odpowiednia pora. Najpierw musi zobaczyć śmierć Aelfrith, potem będzie czas obmyśleć zemstę i wziąć odwet na rywalach.

Aelfrith, widząc ucieczkę Conana, wpadła w rozpacz i zacisnęła powieki, gdy straszliwy róg przemknął tuż obok niej.

Byk już dopadł Cymmerianina, gdy ten w ostatniej chwili, gdy róg już–już miał zanurzyć się w jego brzuchu, poruszył się. Nie odskoczył, lecz wspiął się na palce i obrócił się.

Przerażający byczy oręż śmignął, omijając wciągnięty brzuch mniej niż o cal i miał rozpruć żołądek, uderzył w kamienną ścianę z odgłosem przypominającym trzask nadmiernie napiętego łuku. Byk zatoczył się do tyłu i wtedy okazało się, że jego prawy róg skrócił się o połowę.

Conan wycofał się powoli w stronę środka areny, bez przerwy twarzą do zwierza.

Widownia wyła z radości. Wszyscy zrozumieli, iż postępek ten był tylko sprytnym i nieprawdopodobnie ryzykownym zwodem. Aelfrith usłyszała radosne okrzyki i otworzyła oczy. Gdy tylko zobaczyła, że Conan jeszcze żyje i w dodatku wydaje się panować nad sytuacją, spłynęło na nią uczucie niewypowiedzianej ulgi. Gdyby nie to, że była przywiązana, radość zwałiłaby ją z nóg.

Byk znów ruszył w stronę Conana. Nie poruszał się już tak szybko i pewnie. Wyraźnie się słaniał. W całym swoim życiu ani razu nie zaznał smaku porażki i nigdy nie musiał tak długo walczyć. Jego

otępiały umysł nie potrafił pojąć, jak taka mała istota mogła sprawić mu tak wiele bólu.

Conan nie czekał na kolejną szarżę. Lekkim, sprężystym krokiem ruszył w kierunku zwierzęcia. Od strony widowni rozległo się westchnienie zdumienia. Zdezorientowany byk stał jeszcze nieruchomo, gdy Conan podszedł doń i schwycił go za rogi. Oparł stopę na czole bestii i skoczył, gdy ta instynktownie podrzuciła głowę. Zwijając się w locie niczym akrobata, Conan przeokoziółkował trzy razy, wylądował pewnie na nogach i podbiegł do Aelfrith.

— Jak widzisz, jeszcze żyję.

— Tak samo jak i ja. Być może jest nam dane zobaczyć zachód słońca.

— Być może, ale ja bym się o to nie zakładał.

Odwrócił się i znów ruszył do byka. Nadszedł czas, by zakończyć ten pojedynek. Zwierz był już osłabiony, ale Conan również, zatem to spotkanie musiało być ostatnim. Cymmerianin zatrzymał się i czekał.

Zwierz jakby rozumiał, o co chodzi. Stał dysząc ciężko, boki wznosiły mu się jak kowalskie miechy, gdy zbierał siły do ostatecznego wysiłku. Potem parsknął, zarył kopytem i zaszarżował. Na środku areny spotkali się, byk i człowiek, i zwarli w śmiertelnym uścisku, z którego tylko jeden z nich mógł ujść z życiem.

Gdy ułamany róg chylił się do zadania ciosu, Conan znowu się odsunął, ale tym razem nie wygiął się tak mocno jak pierwej. Byk nie widział swoich rogów. Znał ich rozmiar i kształt tylko dzięki temu, że darł nimi ziemię, drzewa czy wrogów. I teraz, gdy uderzał prawym rogiem, wykonał ruch, który wykształcił w sobie wieloletnią siłą przyzwyczajenia. Ale tym razem ułamany róg był krótszy i ominął brzuch Conana o włos. Byk prędko uderzył lewym, ale poprzedni błąd pozwolił Conanowi znaleźć się bliżej. Było to wszystko, czego potrzebował.

Unieruchomił rogi w żelaznym uchwycie i zaparł się piętami w ziemię.

W amfiteatrze zapadła cisza jak makiem zasiał, gdy widzowie uświadomili sobie, że niewiarygodne zmagania zbliżają się ku ostatecznemu rozwiązaniu. Byk zaczął pchać Conana do tyłu, w kierunku skarpy, nad którą siedzieli najznacniejsi wodzowie. Stopy Conana złościły w darni podwójną bruzdę, gdy bronił się przed naporem zwierzęcia.

Byk wywiesił jęzor i sapał chrapliwie, próbując przyprzeć człowieka do ściany i zgnieść go jak muchę. Conan zatrzymał bestię zaledwie krok przed skarpą.

Stali tak niczym rzeźby z brązu przez długą chwilę, wreszcie ramiona Conana rozsunęły się szeroko i uchwyciły końce rogów. Muskły nabrzmiały i uwydatniły się tak, jakby zostały wykute w kamieniu, twarz spurpurowiała z wysiłku. Straszliwie naprężone ścięgna wyraźnie trzeszczały, grożąc zerwaniem. Pot strumieniami lał się po ciele Conana, gdy parł z siłą przekraczającą możliwości zwykłego śmiertelnika. Łeb byka powoli, ale nieubłaganie zaczął

przekręcać się na bok. Lewe ramię Conana podnosiło się wraz z jednym rogiem, a prawe pchało

drugi w dół. Ruchem nieomal niedostrzegalnym głowa zwierzęcia obracała się, coraz bardziej wykręcając potężny kark.

Szerokie rogi znalazły się prawie w pionie i zdawało się nieprawdopodobne, by mężczyzna lub bestia mogli wyteńczyć się jeszcze choć odrobinę. Dotarli już do granicy wytrzymałości i coś musiało się stać. Raptem rozległ się cichy trzask. Conan opuścił ręce i odsunął się, a wielkie zwierzę zważyło się na kolana ze skrzyconym karkiem. Jedno oko obróciło się jeszcze w oczodole, lecz zaraz przysłoniła je mgła. Byk wydał ostatnie, drugie tchnienie i legł

bezwładnie.

Conan stał drżąc z wysiłku. Nie słyszał szalonych okrzyków, wlepiając oczy w wielkiego, martwego już byka. Nagle poderwał głowę, gdyż rozległ się obłąkańczy wrzask. Atzel, wskazując w dół, miotał przekleństwa i bełkotał tak, że nikt nie mógł go zrozumieć.

Czerwona z wysiłku twarz Conana skrzywiła się w furii. Ze śmiertelnie wyczerpanych mięśni wydobył resztki sił. Niczym tygrys wskoczył na ścianę otaczającą arenę i rzucił się w wiwatujący tłum. Jego wielka dłoń wystrzeliła do przodu i zamknęła się na gardle Atzela.

Oszalały wódz wytrzeszczył oczy na widok nadchodzącej śmierci.

— Niech cię Piekło pochłonie, ty oprawco kobiet i niewinnych dzieci! — ryknął Conan. —

Oby Crom przeklął cię na wieki! — Chwycił Atzela za pas i dźwignął go, kopiającego i wrzeszczącego ze strachu, nad głowę. Nikt nie zaprotestował, gdy podniósł go na skraj areny.

— I niech demony przez wieczność wyżerają ci trzewia za to, że zmusiłeś mnie, bym zabił to szlachetne zwierzę! — Ostatniemu przekleństwu towarzyszył potężny wyrzut ramion. Atzel poszybował w powietrzu i spadł na sterczący w górę lewy róg Króla Byka. Z

przyprawiającym o mdłości chrzęstem róg wbił mu się w bok i wyszedł na zewnątrz przez mostek. Atzel zobaczył skrwawiony czub sterczący z własnej piersi i otworzył usta do krzyku, lecz popłynął z nich nie wrzask, a wielka, pulsująca fontanna krwi, która wkrótce przestała pulsować.

Conan zeskoczył na arenę, ale tym razem kolana mu się ugięły i runął ciężko na ziemię.

Siły, zda się niewyczerpane, w końcu go opuściły. Rzucili się ku niemu krzyczący, wiwatujący widzowie. Wojownicy z tarcz i włóczni zrobili nosze, położyli na nich Conana i dźwignęli go na ramiona. Ludzie Aelfrith podbiegli do swej pani, rozcięli krępujące ją więzy i ułożyli na drugich noszach, a jeden z naczelników okrył jej nagość własnym płaszczem.

— Przynieście ich tutaj! — wykrzyknął naczelnik, który rozmawiał z Conanem na gościńcu.

Przyniesiono ich na skraj areny.

— Myślę o tym, co się tu wydarzyło — zawołał wódz — i wiem, iż do kresu swych dni nie zdołam zdecydować, czy był to czyn heroiczny, żywcem wyjęty ze starych legend, czy też straszliwe świętokradztwo. Król Byk jest martwy. Naczelnik nie żyje. Krew polała się na świętej ziemi! Jak rozwiążemy tą sprawę, przyjaciele?

— A co na to Utrik Znacwa Prawa? — zapytał inny naczelnik.

Starszy człowiek z długą, siwą brodą dźwignął się ciężko i podszedł na skraj areny, spojrzał w dół na kobietę, mężczyznę, trupa Atzela oraz wielkiego, martwego byka. Zamknął oczy i na kilka minut pogрузił się w głębokiej zadumie, podczas której zgromadzeni zachowali pełną szacunku ciszę. Wreszcie Utrik otworzył oczy.

— Mój osąd jest taki: to Atzel był sprawcą wszystkiego. Opanowany żądzą zemsty, porwał cną Aelfrith i rzucił na jej niewinną głowę ohydne oskarżenia. By odwrócić od siebie wszelkie podejrzania, próbował Króla Byka obarczyć rolą kata. To świętokradztwo, które nie ma równego sobie! Bogowie zawrzeli gniewem i zadecydowali, że skoro Król Byk został

zbezczeszczony, to musi umrzeć przed swoim czasem. W tym celu natchnęli tego potężnego wojownika, by zabił Króla w jedyny dopuszczalny dlań sposób: własną siłą, bez używania broni. On zabił zbezczeszczonego Króla Byka, on uratował niesprawiedliwie posądzoną Aelfrith i on wykonał wyrok na Atzelu! Bogowie w swej łaskawości zezwolili, by własny róg Króla Byka stał się ostatecznym narzędziem zagłady Atzela, który wszak sprowadził śmierć i profanację na jego świętą głowę. Niechaj tedy żaden człek nie waży się szukać pomsty na tych ludziach. Takom rzekł!

Śmiejąc się i krzycząc z radości, ludzie Aelfrith wynieśli z areny swoją panią i Conana i ruszyli do Cragfell. Cymmerianin był tylko na wpół nieprzytomny i w drodze mruczał coś, czego wojownicy dźwigający jego nosze nie potrafili zrozumieć,

— Do diabła z tobą, Khitajczyku, z tobą i twymi bogami grającymi w szachy — mamrotał po cymmeriańsku.

Kiedy Conan przebudził się na drugi dzień rano, odkrył, że nie może wykonać żadnego ruchu. Pomyślał, że tak musi czuć się człowiek, który przez przypadek wpadł do młyna i wyszedł po spędzeniu godziny pomiędzy żarnami. Po dłuższych przygotowaniach udało mu się podnieść głowę, ale zdało się, iż mięśnie karku wrzeszczą w agonii. Przypuszczał, że ciało ma czarne jak rodowity Kushyta i pokrywa je siniak od piersi po palce u nóg. Zwalił się na poduszki i pomyślał o innych walkach, w których brał udział. Żadna nie była tak desperacka, żadna nie wymagała tak wielkiej siły, inteligencji i odwagi jak potyczka z Królem Bykiem.

Później przyszła kobieta, by napoić go rosółem, a niedługo potem Conan sam zażądał

pożywniejszego jadła. Zapytał o Aelfrith i służąca powiedziała, że pani śpi jak zabita i prawdopodobnie nie zbudzi się przed wieczorem.

— A dziecko? — zapytał.

— Bawi się lalkami, jakby nic się nie wydarzyło. Dziękować Ymirowi, jest zbyt mała, by pojąć, co się stało. Przespała rzeź, jaką urządziłeś, by ją uwolnić. Wszystko to przeminie niczym sen, który pierzcha nad ranem. A poza tym w jej żyłach płynie krew wielkiego wojownika.

Następnego dnia Conan czuł się na tyle dobrze, że wstał i zrobił kilka kroków po sypialni, a później poszedł do wielkiej komnaty i zajął miejsce przy stole. Wszyscy byli zdumieni, widząc go na nogach. Po śniadaniu odwiedził Aelfrith, lecz ona ledwie była w stanie siedzieć i rozmawiać.

Po czterech dniach wypoczynku Conan dosiadł wierzchowca i przejechał dwie mile.

Wiedział, że osłabienie wkrótce minie. Coraz częściej spoglądał ku północy. Musiał ruszać do Cymmerii. Z jego obliczeń wynikało, że zbliża się dzień, w którym bezwzględnie musi odjechać, by na czas znaleźć się na stokach Ben Morgh.

W przeddzień odjazdu położył się do łóżka wcześniej po kolacji, podczas której, co było dla niego niezwykle, zjadł i wypił niewiele. Miał zamiar zdmuchnąć świecę, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Weszła Aelfrith, wciąż jeszcze poruszająca się bez zwykłej lekkości. Tej nocy ubrana była w długą suknię z zielonego jedwabiu, kupioną u zamorańskiego kupca. Podeszła do skrajku jego łoża.

Nie bawiła się w dyplomację:

— Nie jedź, Conanie, zostań ze mną. Uczynię cię królem. Zostań moim mężem, a

spłodzimy dzieci takie, jakich nigdy nie widziano na Północy, rosłe i piękne. Po śmierci Rulfa nie pragnęłam żadnego mężczyzny, ale tobie mogłabym służyć do końca życia.

Conan nie mógł być uprzejmy, więc postanowił być zwięzły:

— Nie, Aelfrith. Po wschodzie słońca ruszam w drogę. Złożyłem przysięgę, a jak wiesz, dotrzymuję danego słowa. Albo ruszę jutro, albo spadnie na mnie klątwa Croma.

— I nie wrócisz do mnie, gdy wypełnisz misję? — Było to nie tyle pytanie, ile rozpaczliwe stwierdzenie.

— Nie mogę. Od dzieciństwa byłem włóczęgą i muszę wędrować, póki nie wypełni się moje przeznaczenie. To przeznaczenie nie leży tutaj, czuję to po kościach. Wiem, że poznam je na pierwszy rzut oka, gdy je tylko napotkam. Wybacz mi, Aelfrith. Nigdy nie spotkałem kobiety wspanialszej od ciebie, ale po tej nocy ścieżki naszego losu już nigdy się nie przetną.

Wyprostowała szczupłe plecy.

— Więc niech tak będzie. Ja jestem władczynią, a ty bohaterem. Ja nie będę błagać, a ty nie ustąpisz.

Pochyliła się i zacisnęła palce na knocie świecy. W ciemności Conan usłyszał cichy szelest jedwabiu, gdy zielona suknia spłynęła na podłogę. Potem Aelfrith wślizgnęła się na baranią skórę i

ich ramiona splotły się.

— Nie wyzdrowiałam tak szybko jak ty, Conanie, więc uważaj na moje plecy.

Potem słowa nie były już potrzebne.

VI

W KRAINIE MGIEŁ I KAMIENI

Jesienna mgła osnuwała strzeliste, niedostępne szczyty Cymmerii. Na łagodniejszym stoku stado kudłatego, długorogiego bydła skubało nędzne resztki pożółkłej trawy. W miejscu, gdzie spod cienkiej warstwy gleby wyzierał wielki głaz, siedzieli dwaj mężczyźni. Jeden był

w średnim wieku, miał czarne włosy i brodę gęsto przetkaną pasmami srebra. Drugi był

młodszy, ledwie wyrostek o jeszcze gładkich licach, ale jego ostre, pełne siły rysy wskazywały, że łączy go ze starszym więzy krwi. Zresztą nie tylko twarze świadczyły o ich pokrewieństwie. Obaj mieli sięgające ramion włosy, przycięte tuż nad brwiami bez zbytej staranności i obaj byli jednakiej, zwartej, silnej budowy. Mimo kłuszącego zimna odziani byli jedynie w krótkie tuniki i tylko nieco dłuższe płaszcze z wilczych skór. Ich łydki spowijały rzemienne pasy, skrzyżowane i podwiązane pod kolanami.

W stwardniałych dłoniach dzierżyli włócznie, a u pasów z surowej skóry wisały długie, ciężkie miecze. Byli Cymmerianami, a żaden Cymmerianin od najwcześniejszego dzieciństwa nie rozstawał się z bronią. Ich oręż pozbawiony był wszelkich ozdób, lecz cechowała go znakomita jakość, bowiem wyrób mieczy był jedynym rzemiosłem, którym bez wstydu parano się w Cymmerii.

— Jakiś człek bieży ku nam — rzekł młodszy. Starszy ocienił oczy i zerknął w dół skłonu.

Zobaczył maleńką figurkę pnącą się z wolna po urwistym zboczu.

— Dobre masz oczy, chłopcze. Niezadługo tu będzie.

— Wróg? — Młodzian wyciągnął miecz i sprawdził, czy głownia jest dość ostra.

— Jakież wróg przybywałby samopas do kraju Canacha? To Cymmerianin. Żaden człek z nizin nie szedłby po górach tak lekkim krokiem.

Jednakoż samo w sobie nie miało to znaczenia. Między górskimi klanami trwały

niekończące się waśnie, a swój wróg był nawet groźniejszy od obcego. Na razie jednak nic więcej nie można było powiedzieć. Przybysz znajdował się ciągle bardzo daleko.

— Któż to może być? — dumał młodszy. — Nie znam nikogo z naszego klanu, kto

wyprawiłby się na niziny. W każdym razie, nie w tym kierunku.

— Nie możesz pamiętać, chłopcze, ale ja chyba wiem, kto to jest. — Starszy przyglądał się, jak powiększająca się stopniowo postać pomyka lekko po skalistych zrębach. — Tak, to Conan, syn kowala.

— Conan? — powtórzył chłopak. Znał to imię. Niesforny syn kowala, który nim wyruszył na niziny, by szukać szczęścia, zadbał, by jego imię wryło się w pamięć członków klanu. — Myślałem, że już od dawna gryzie ziemię.

— Tak jak i ja — zgodził się starszy. — Był z nami, gdy braliśmy Venarium. Miał naonczas ledwie piętnaście wiosen, młodszy był od ciebie, ale okazał się dobrym wojownikiem.

— Venarium — westchnął zazdrośnie młodzieniec.

Wielekroć słyszał historię tej słynnej bitwy, którą sławiono w pieśniach przy górskich ogniskach. Wspominał, jak to było. Aquilończycy z Pogranicza Bossońskiego wdarli się do kraju, którym od setek pokoleń władały górskie klany. Dla ochrony podbitych terenów wzniesli graniczne miasto Venarium. Jego potężne mury nie raz oparły się wściekłemu atakom. Nadszedł jednakże dzień, gdy na warownię ruszył nie jeden klan, lecz cała góraska rasa. Na jeden krwawy dzień i jedną bezlitosną noc Cymmerianie odłożyli na bok rodowe waśnie i zawarli rozejm. I wtedy uderzyli, a ich niewiarygodne okrucieństwo nie miało sobie równego. Wyjące, czarnowłose hordy zmioły zdyscyplinowanych żołnierzy nizin, tak jak arktyczny wichur wymiata suche liście. A spośród walczących wyróżnił się młody Conan.

Podrostek poczuł, jak zazdrość wżera się w jego duszę. Od czasów, gdy wyrósł na tyle, by nie przewrócić się pod ciężarem miecza, nie było tak wielkiej wojny. A wiedza, że tam, gdzie kiedyś wznosiło się dumne Venarium, teraz szczypało trawę bydło, była mu niewielką pociechą. Lecz był ponury nie tylko dlatego, że pragnął wykazać się w wielkiej bitwie, a nie mógł. W jego sercu tkwił również długi cień bólu.

Conan, przeskakując ze skały na skałę, niestrudzenie wędrował w górę. Trzy dni wcześniej zostawił konia w gospodarstwie u podnóża gór. Ta stroma, skalista kraina oznaczałaby pewną śmierć dla nawykłego do równin zwierzęcia. Tylko górskie kozy, jelenie i twarde cymmeriańskie bydło mogły przeżyć na stromych, ubogich w paszę zboczach. I oczywiście, sami Cymmerianie. Conan ze wzruszeniem rozglądał się po okolicy. Pasma mgły wiły się nad ziemią. W górach Cymmerii niemal zawsze było mgliście i dżdżysto. Twarda,

nieprzepuszczalna skała, cienka gleba i wielka obfitość deszczów rodziły liczne strumienie.

Conanowi, od czasu, gdy postawił nogę w górach, zawsze towarzyszył szum śpieszącej po kamieniach wody. Prawie go już nie słyszał.

W oddali dostrzegł rozproszone po stoku bydło, a niedługo potem ludzi. Wiedział, że mają oko nie tylko na powierzone swej pieczy zwierzęta, ale i na niego. Zastanowił się, kim mogą być. Znajdował się na ziemi swego klanu, więc wielce możliwe, że byli krewniakami. O ile w międzyczasie jego klan nie został do szczytu wybity.

Jeszcze nie znalazł wioski, ale nie było to niczym nadzwyczajnym. Cymmerianie byli półkoczownikami, co roku zimowali w innej dolinie i wracali na to samo miejsce może raz na

dziesięć lat. Za sobą Conan zostawił wiele porzuconych osad, w których wznosiły się jedynie ściany ze spiętrzonych kamieni. Dachów nie było, bowiem mieszkańcy, przenosząc się z miejsca na miejsce, zabierali cenne w bezdrzewnej Cymmerii krowie.

Conan szczerzej otulił się opończą. Z Hyperborei ciągnął przenikliwy wicher i zanosilo się, że dzisiejszej nocy spadnie wczesny śnieg.

W końcu zobaczył, że ci dwaj rzeczywiście są jego krewniakami. Nawet z daleka nie można było nie rozpoznać ostrych rysów członków klanu Canacha. W odosobnionych, górskich dolinach, w których dopływ świeżej krwi był niewielki, każdy klan wyróżniał się odrębnymi cechami. Murrohowie mieli kwadratowe szczęki, Tunogowie charakterystyczne wysokie czoła, a ludzie z klanu Raeda długie warkocze.

Z uwagi na wczesną zimę natknął się na nich bynajmniej nie za wcześnie.

— Witaj, Conanie — rzekł starszy.

— Witaj, Milachu. — To niezbyt wylewne powitanie mogłoby świadczyć, że ci dwaj rozstali się zaledwie dwa dni wcześniej.

— Przybyło ci srebra we włosach od czasu naszego ostatniego spotkania — stwierdził

Conan. — A kim jest ten młokos?

— Jestem Chulainn, twój krewniak i nie jestem młokosem. — W tych słowach nikt nie doszukałby się pawiej dumy miejskiego podrostka. Było to proste stwierdzenie faktu.

Conan skinął głową. Oznaczało to, że od tej pory będzie traktować Chulainna jak wojownika.

— Syn mojej siostry — objaśnił Milach. — Nie raz raniony w potyczkach z Vanirami i Murrohami.

— To dobrze. Młody wojownik potrzebuje doświadczenia. Nie pytał, ilu wojów legło z ręki Chulainna, bowiem coś takiego byłoby niestosowne. Cymmerianie nie brali głów ani rąk i innych upiornych trofeów cenionych przez inne północne ludy. Kiedy Cymmerianin wyrasta na tyle, by móc dźwignąć broń, wiadomym jest, że będzie czynił to co należy, i jedynie zupełnie wyjątkowe czyny wywoływały pochwały przy ogniskach starszyzny. Za rzecz oczywistą przyjmowano, że każdy kto rusza w bój, staje się wojownikiem. W górach nie było tchórzy. Żyli zbyt krótko.

Mżawka ustała, a zamiast niej z nieba zaczęły sypać się wielkie płatki śniegu, Conan zerknął na niskie chmury.

— Pierwszy śnieg tego roku. Jest w pobliżu jakieś schronienie?

— Jest dobre miejsce niedaleko stąd — odrzekł Milach. — Doskonała kryjówka przed burzą. Chulainnie, zaprowadzimy krewniaka do Doliny Złamanej Nogi.

Conan pomógł przegnać dwadzieścia sztuk kudłatego bydła do odległej o milę doliny. Gdy zwierzęta

znów zajęły się skubaniem trawy, mężczyźni ruszyli do wspomnianej przez Milacha kryjówki, która okazała się ledwie niszą skalną, osłaniającą nieco przed coraz gęściejszym śniegiem. Nie rozpalili ognia. Drewno było zbyt cenne, by marnować je dla zwykłej wygody pasterzy.

Conan dokładnie owinał się opończą. Dwaj górale wyglądali tak, jakby ziąb nie czynił na nich najmniejszego wrażenia, ale uprzejmie powstrzymali się od uwag.

Zachowanie Conana było dla nich niemal dowodem zniewieściałości.

— Czy brat mego ojca, Cuipach, żyw jeszcze?

— Poległ w zasadzce Vanirów, będzie ze trzy roki — odrzekł Milach.

— A moi kuzyni, Balyn i Turach?

— Padli w walce z Nachtami.

— Z Nachtami? — powtórzył zdumiony Conan. — Myślałem, że przed laty wycięliśmy ich w pień.

— I tak było — potwierdził Milach. — Ale chłopcy wyrosli i spłodzili synów.

Conan pokiwał głową. W tych górach była to zwyczajna kolej rzeczy. W okrutnych wojnach niejednen klan został wybity tak, że zostawało tylko kilka niemowląt, na które nie godziło się podnieść miecza. Jednakże Cymmerianie żenili się młodo i spłodzili wiele dzieci i w dwa czy trzy pokolenia wycięty zda się do nogi klan na powrót mógł stać się silny i liczny.

— Jak ci się spodobały kraje Południa? — zaciekał się Chulainn.

— Wielce przypadły mi do gustu — rzekł Conan. — Błyszczą od złota, a lud miast owczych skór odziewa się w jedwabie. Jadło jest tłuste i suto zaprawione korzeniami, a wino słodkie. Kobiety są pulchne i pachną perfumami, a nie torfowym dymem.

— Wojownik nie potrzebuje takich cudactw — prychnął Milach. — Od tego się babieje.

— Najlepsze jest to — podkreślił Conan — że wojny nie kończą się tam nigdy, a człek, któremu nieobcy jest miecz, może zająć wysoko.

— Walczą tam? Co nazywasz walką? — wzruszył ramionami stary Cymmerianin. —

Założę się, że nauczyli cię tam walczyć z grzbietu konia, jakby nogi wojownika nie były dość dobre, i chowania pod żelaznymi blachami własnej, dobrej skóry! — W głosie Milacha brzmiała szczerza pogarda dla takich sposobów wojowania.

— Na Południu to zwykły obyczaj. Co ty możesz o tym wiedzieć? Ja byłem na polach bitewnych, na których grzmiały tysiące kopyt, huk bębnow i ryk trąb ogłuszał, a proporce oślepiały swymi barwami. Te góry nie widziały prawdziwej wojny. Byłem też na morzu pełnym płonących okrętów, gdzie pękały wiosła, a kadłuby rozdzierały brązowe ostrogi. To jest prawdziwa walka!

Milach znów prychnął z pogardą.

— Tylko głupcy i tchórze potrzebują wsiadać na czworonogie bydłę, by dodać sobie miary.

I kto chciałby walczyć na wodzie? Co będziesz miał, jak ją zdobędziesz? Czymże jedna połać wody różni się od innych?

— Widziałeś morze? — zapytał z przejęciem Chulainn. — Zawsze chciałem zobaczyć takie cuda!

Conan zauważył, że Chulainn wyrwał się z gryzącej go melancholii, bowiem dotychczas nawet jak na Cymmerianina był zbyt ponury.

— Tak, widziałem i morze, i pustynię, i parującą dżunglę. Bywałem w miastach tak ogromnych, że wszystkie klany Cymmerii nie zaludniłyby najmniejszej dzielnicy. Są tam świątynie z marmuru i wznoszą się tak wysoko, że człek myśli, iż nie ludzie, a sami bogowie je wystawili. — W oczach Conana pojawiło się rozmarzenie. — To tam dopiero można wypróbować swe siły. Tam nie wiąże człeka ni klan, ni obyczaje. Włóczęga bez grosza w sakiewce, ale z mieczem, silnym ramieniem i odwagą w sercu, może zdobyć królestwo.

— Nie słuchaj go, siostrzeńcze. Tam w dole nic dla nas i nic po nas. Wojownik winien trzymać się klanu. Gdzież twe królestwo, Conanie? Na oko masz niewiele więcej niż wtedy, gdyś przed laty odszedł z Aesirami.

— Zyskiwałem fortuny i traciłem je. I zyskam jeszcze więcej. Może pewnego dnia zasiądę na tronie, jeżeli będzie mi to odpowiadało. Na razie muszę jeszcze obejrzeć kawał świata.

— A czy Południe nie jest pełne czarów? — zapytał Chulainn. — Słyszałem, że magowie roją się tam jako pchły na grzbiecie psa.

— Tak, to plaga — przyznał niechętnie Conan. — Głupota ludzka jest wielka, ale im to nie wystarcza. Ci szaleńcy bez przerwy knują z bogami, demonami i im podobnymi.

— A widzisz? — wtrącił triumfalnie Milach.

— Jednakóż — ciągnął niewzruszenie Conan — godzę się z ich istnieniem. Są dla mnie częścią zapłaty za życie, którym warto żyć. Wolę zмагаć się z zaklęciami jakiegoś czarnoksiężnika niżli pilnować bydła i owiec, płodzić dzieciaki i garbić się przy torfowym ognisku do końca życia. — Conan położył się na skalistym gruncie. Po chwili usiadł i zgarnął

naręczę śniegu, które ubił w twardą kulę. Oparł na niej głowę i wkrótce zasnął.

Milach popatrzył ponuro na Conana.

— Widzisz? — rzekł z wielkim smutkiem do Chulainna. — Oto co może zrobić z człekiem życie w obcym kraju. Kiedyś był to nie byle jaki wojownik, ale teraz tak zniewieściał, że nie zaśnie bez poduszki!

Warstwa białego puchu pokrywała już wyższe partie gór, ale w tej dolinie śnieg szybko stopniał. Przed przycupniętą na zboczu kamienną, krytą torfem chatę wyszła wysoka, chuda kobieta. Była tak szara i twarda jak skały jej ojczystego kraju. Przyglądała się mężczyznom pędzącym stadko bydła. Ciekawa była, kim może być ten trzeci, bowiem tylko dwaj wyszli kilka dni wcześniej na ostatni wypas przed spędzeniem bydła do zimowej wioski.

— Żono — rzekł Milach, gdy podeszli bliżej — przywiedliśmy krewniaka w gościnę.

— Tak pomyślałam. Dobry dzień, Conanie. Wyrosłeś, od kiedy widziałam cię po raz ostatni. Byłbyś dumą dla swego ojca.

— Witaj, Dietro. Siwe włosy przynoszą ci zaszczyt. — W kraju, gdzie większość ludu marła młodo, był to wielki komplement.

— Wejdz. Strawa czeka na ogniu. — Odsunęła płat surowej skóry zasłaniający wejście.

Conan wszedł za nią do chaty pełnej torfowego dymu. Na kamieniach paleniska stał

parujący, gliniany garnek. Ślina napłynęła mu do ust. Był tak wygłodzony, że żołądek przywarł mu do kręgosłupa. Poprzedniego wieczora krewniacy podzielili się z nim kilkoma kawałkami twardego sera, a on z dna sakwy wydobyl ostatnie skrawki suszonego mięsa.

Krewniacy nie poczuli urazy, przeciwnie, dla nich suszone mięso oznaczało prawdziwą ucztę, ale Conan był przyzwyczajony, że opycha się do syta, kiedy tylko ma na to ochotę. Głodnym wzrokiem spoglądał na kudłate bydło, ale zarzynanie wołów przed odpowiednią porą było czymś nie do pomyślenia. Chyba że zostały one skradzione wrogowi.

— Zostajesz w domu na dobre? — zapytała Dietra. — Już dawno winienesz ożenić się i zwiększyć siłę klanu. Jacha Jednoręki ma dwie silne córki na wydaniu.

— Nie, tym razem przybyłem tylko w gościnę. Mam jeszcze wiele dróg do przebycia, a nie chcę, by żona i dzieciak byli mi ciężarem.

— Zaiste, lata cię nie poprawiły!

Wyjęła gliniane miski i zaczęła napełniać je długą, drewnianą chochlą. Podała parujące naczynia mężczyznom, którzy palcami zaczęli wpychać sobie w usta gęstą, prawie pozbawioną smaku papkę. Conan skrzywił się. Owsianka! A już zdążył o niej zapomnieć!

Dietra dostrzegła niechęć malującą się na jego twarzy.

— Chyba nie spodziewałeś się pszennego chleba? — rzuciła gniewnie. — Pszenica rośnie na nizinach, a w górach owies. Jak marny ciężki rok, to przez całą zimę nie jemy nic innego.

— Nie bądź zbyt ostra dla naszego krewniaka — wtrącił niewinnie Milach. — Przyzwyczał się do lepszych rzeczy na tym zniewieściałym Południu.

Conan zerknął nań groźnie.

— Sam poszedłbyś tam przed laty, gdyby ci nie brakło odwagi.

Dietra grzotnęła go chochlą po głowie.

— Czyżbyś zapomniał o przystojnym zachowaniu, że obrażasz krewniaka pod jego własnym dachem?

Conan podniósł rękę i wytarł rozbryźniętą na karku owsiankę.

— Nie, nie zapomniałem — rzekł ponuro — ale właśnie zaczynam sobie przypominać, dlaczego stąd odszedłem.

— Skoroś nie przyszedł tutaj, by się ustatkować, no to po co? — spytała gospodyni.

— Może przygnała mnie tęsknota za rodzinnym domem i krewniakami?

— Ciebie? Każdego, ale nie ciebie. To nie tęsknota cię przygnała. Lękam się, że twoje przybycie nie zapowiada niczego dobrego.

Conan pomyślał, że może okpić każdego, ale nie Cymmeriankę z własnego rodu. Kobiety z jego klanu tropiły myśli swych mężczyzn z biegłością, jakiej mógłby pozazdrościć im nekromanta.

— Mam misję do wypełnienia. Nie tyczy ona klanu, ale nim ruszę w drogę, chciałbym pomówić ze starszymi.

— Rankiem — rzekł Milach — zdejmujemy krokwie i popędzimy bydło na zimowe leże.

W kilka dni stawi się tam większość klanu. Co to za misja?

— Starczy, jak powiem na zebraniu starszych. Ale zaznaczam, tylko mój w tym kłopot, niczyj inny.

Chulainn podał Dietrze wylizaną do czysta miskę.

— Zajrzę do bydła. — Skinął Conanowi i wyszedł na dwór.

— Co dręczy tego chłopaka? — zapytał Conan, gdy Chulainn nie mógł już słyszeć. —

Widać, że smutek zżera mu duszę.

— Dziewczyna — westchnęła Dietra. — Dziewka Murroghów. Spotkali się w środku zimy, przy granicy, gdy klany zawarły rozejm. Chciał ją za żonę — znacząco strzeliła okiem na Conana — jak każdy „porządny” góral.

Conan udał, że nie zauważył aluzji.

— Skrzyknął kuzynów i wyprawili się na ziemię Murroghów.

— Uprowadzić pannę, co? — Conan wyszczerzył zęby. Kiedy dwa klany toczyły wojnę, zgodnie ze starożytną i chlubną tradycją, młodzi ludzie najeżdżali kraj wroga, by zdobyć kobiety. Dzięki temu zyskiwali tak honor, jak i żony, a świeża krew zasilala klany. — I cóż się stało? Czy jej ojciec i bracia sprawili im lanie i odesłali z połamanymi mieczami?

— Nie — rzekł Milach, podejmując opowieść za żonę. — Niezauważalnie podkradli się do ich siedziby, bo Chulainn umie chodzić po lesie, ale zastali jedynie ruinę. Mury były zburzone, a wokół leżały ciała powalonych mężów, a nawet niewiast, zaś te młodsze i dzieci zniknęły.

— Tedy — chrząknął Conan — najazd Vanirów. To dla niego prawdziwe nieszczęście, ale z pewnością znajdzie sobie inne dziewczę.

— Nie Vanirów! — zaprotestował żywo Milach. — Zniknęły jedynie młódki i dzieci.

Porządna broń leżała tam, gdzie upadła, nietknięta. Murroghowie handlują z obcymi, więc mieli więcej srebra niż inni. A chłopcy widzieli srebrne monety i ozdoby walające się na ziemi. Vanirowie nigdy by ich nie zostawili.

— A najgorsze ze wszystkiego były ciała — mruknęła Dietra.

— Co z nimi? — zapytał Conan.

— Były rozdarte na części — wyszeptał Milach. — Jakby przez wielkie bestie. Nasi młodzieńcy już wcześniej widywali ciała pokiereszowane przez zwierza, przez wilka czy niedźwiedzia, ale te były oprawione tak, jak nie czyni żadne znane zwierzę. I ślady zębów były inne... — zawiesił głos tak, jakby nie miał już zamiaru rzec ni słowa.

— Zdradz mu najgorsze — przynagliła posępnie Dietra.

— Niektóre części ciała były zjedzone.

— Zjedzone? — powtórzył z niedowierzaniem Conan. — Cóż, nawet jeżeli tak, jeśli były to dzikie bestie, nie jest to niemożliwe...

— Nie zjedzone tak, jak wilk pożera człowieka — upierał się Milach. — Mięso było pieczone na ogniu, a na szpikulcach tkwiły na wpół ogryzione członki! Jakież stworzenie poza człowiekiem piecze swoje jadlo?

Conan mimowolnie wznosił rękę do wiszącego na szyi amuletu.

— Ludożercy, na Croma! — W tych górach rzecz taka była czymś niesłychanym. Nawet najstarsze legendy nie wspominały o ludożercach. — Czy to był jedyny przypadek?

— Jedyny, o jakim wiemy. Chulainn wrócił na wiosnę, pora była wypędzić bydło na wysokie pastwiska. Przez cały czas byliśmy tutaj i nie widzieliśmy nikogo z dołu. A ty niczego po drodze nie

słyszałeś?

Conan potrząsnął głową.

— Nie wiedziałem, jakie wojny się toczą, więc póki nie dotarłem na ziemię klanu, unikałem obcych. Spotykałem ludzi od czasu do czasu, ale nie szukałem ich kompanii. Człek, u którego zostawiłem konia, tam w dole, gdzie zaczyna się nasza ziemia, to mrukliwy, stary głupiec.

Wątpię, czy by rzekł słowo, choćby mu się portki na siedzeniu paliły.

— To musiał być stary Chomma. Nie staje mu rozum, to prawda, ale można mu zaufać.

Cóż, usłyszymy więcej, gdy ruszymy na zimowisko.

Conan rozmyślał nad tym, co właśnie usłyszał. Wszak nie mogło to mieć niczego

wspólnego z jego zadaniem! Wmawiał to sobie, ale nie był do końca przekonany. Ze wszystkich sił starał się unikać zła i czarów, ale one i tak miały sposób, by go odnaleźć. Nie dziwota, pomyślał, że smutek gości na licach Chulainna.

VII

W KRÓLESTWIE WIELKIEJ RZEKI

Barka przecinająca wody szerokiej rzeki miała jeden maszt. Trójkątny, purpurowy żagiel zwieszał się luźno z długiej, skośnej rei. Gdy wiatr ucichł, siłą napędową stały się muskularne ramiona galerników. Rzeka w tym miejscu była tak szeroka, że prąd był ledwo zauważalny, i tak spokojna, że w bezlitosnych promieniach słońca wyglądała jak połyskująca, srebrna wstęga.

Wzdłuż rzeki rosły palmy, a żyzna kraina po obu stronach, uprawiana z mazołem przez wieśniaków, w tym łaskawym klimacie dawała po dwa, a nawet trzy zbiory na rok.

Sielankowa sceneria i błyski świątyń w dali były mylące. Natura tego kraju, Stygii, była o wiele bardziej ponura i okrutna. Kobiety, które prały wzdłuż brzegów w południowym słońcu, miały zniknąć o zmroku, bowiem o tej porze rzeka Styks stawała się królestwem wielkich krokodyli. Na brzeg wylęgały ogromne hipopotamy, które niszczyły plony, które wieśniacy w znoju sadzili i pielęgnowali. Ludzie pogodzili się z tym, nawet z groźbą utraty życia, ponieważ bestie te oraz wszechobecny sęp i kobra były chronione przez kapłanów tej krainy.

W ojczystym kraju węzowego kultu Seta karą za zabicie węża była śmierć, nawet gdy chłop zabijał gada w obronie własnego dziecka.

Kobieta, która siedziała pod markizą osłaniającą rufę barki, nie myślała o takich rzeczach, ponieważ były one częścią jej życia. Miała ważniejsze sprawy na głowie. Plany obmyślane przez lata wkrótce miały przynieść owoce, ale ją, nim odniesie całkowity sukces, czekało mnóstwo pracy. Doskonale wiedziała, że wszelka niecierpliwość nie jest rozsądna, więc jedynymi oznakami zniecierpliwienia, jakie okazywała, było delikatne postukiwanie palcami po poręczach krzesła.

Kapitan barki przeszedł na rufę i skłonił się przed Hathor–Ka. Był niskim, smagłym mężczyzną odzianym jedynie w krótki biały kilt i turban.

— Pani, za tym zakrętem Ojca Styksu kończy się twoja podróż.

Kobieta skinęła lekko i zwróciła się do stojącego obok człowieka.

— Wszystko gotowe, Moulayu? Człowiek pustyni uklonił się nisko.

— Wszystko zapakowane. Czy mam podnieść twój znak?

— Tak. Nie chcę żadnych opóźnień na przystani.

Moulay wyjął zwiniętą płachtę i przymocował jeden koniec do liny, która zwieszała się z masztu. Za moment na czubku rozwinął się długi, czarny proporzec, z wyhaftowanym złotą nicią herbem Hathor–Ka: skorpionem, którego ogon był węzłem tworzącym krąg wokół

pustynnego pajęczaka. Proporzec miał dać znać sługom na brzegu, że tą barką przybywa ich pani.

Za zakrętem zobaczyli wielki, kamienny pirs, który wcinął się daleko w rzekę. Gdy się zbliżyli, na nabrzeżu zebrał się tłum oczekujących na przybycie barki. Znajdowali się na terenie olbrzymiej posiadłości Hathor–Ka i wszyscy zebrani byli jej niewolnikami, sługami, poddanymi bądź kapłanami z jej świątyń.

Czarnoskóry mężczyzna rzucił cumę na ląd. Linę szybko przymocowano do pachółka wyrzeźbionego na podobieństwo skarabeusza. Wioślarze ustawili ostrożnie statek wzdłuż połyskującego w słońcu marmurowego nabrzeża. Niewolnicy weszli na pokład, by znieść na ląd bagaże Hathor–Ka, jednocześnie pojawili się ludzie z lektyką. Byli to akolici o wygolonych głowach, służący w świątyni utrzymywanej przez Hathor–Ka.

Kapłanka zeszła na brzeg i usadowiła się na tronie z kości słoniowej i wonnego drewna pod baldachimem ze złotogłowiu. Szczupli, ale silni akolici dźwignęli lektykę i ruszyli wprawnym krokiem w kierunku widocznego w dali, przylegającego do świątyni pałacu. Moulay kroczył obok tronu z ręką na rękojeści miecza.

Do lektyki podbiegł człowiek odziany w strój wiejskiego sługi, ale jego prosty biały kilt był jedwabny, a turban przetykany złotą nicią. Skłonił się nisko i ruszył obok. W rękę trzymał bicz nadzorcy.

— Pani, od czasu twego wyjazdu mieliśmy świetne zbiory żyta, a także soczewicy i cebuli.

Pola zasialiśmy na nowo. Zmarło trzy tysiące stu osiemdziesięciu czterech niewolników, a narodziło się pięć tysięcy siedemdziesięcioro pięcioro, z czego większość zapewne przeżyje.

Z innego inwentarza, bydło...

— Doskonale, Ptah–Menkaure — przerwała mu jego pani. — Wieczorem złożysz mi pełne sprawozdanie na piśmie. Interesuje mnie szczególnie wielkość wydobycia kamienia na nową świątynię w Khemi. Pora już zacząć budowę.

— Jak każesz, pani — rzekł rządca, rzucając się twarzą na ziemię.

W przeciwieństwie do wielu swych konfratrów w czarnoksięskiej hierarchii Stygii, którzy wiedli życie ascetów, Hathor–Ka była jednym z najpotężniejszych właścicieli ziemskich. Jej bogactwo dorównywało tajemnej wiedzy. Dzięki jednemu i drugiemu Hathor–Ka władała piątą częścią kraju Wielkiej Rzeki.

Lektykę niesiono w górę lekko wznoszącego się traktu, wybrukowanego białym wapieniem, przecinającego żyzne i zadbane pola, na których trudzili się chłopci. Wzdłuż drogi na piedestałach stały niepokojące figury z zielonkawo–czarnego kamienia, posiadające cechy jednocześnie zwierzęce i ludzkie. Wieśniacy nie lubili na nie patrzeć, ponieważ jeżeli przyglądali się im zbyt uważnie, często wydawało się, że przy ponownym spojrzeniu rzeźby się poruszają.

W krainie wyniosłych i przytłaczających świątyń, te należące do Hathor–Ka posiadały zaskakująco skromne rozmiary. Bóg, któremu służyła, nie wymagał okazałości. Obok jednej z nich stał pałac otoczony przez mniejsze budynki, w których mieszkali służący, niewolnicy, kapłani i akolici.

Akolici wnieśli lektykę Hathor–Ka do sali na terenie świątyni, której strop podtrzymywały rzędy kolumn z głowicami w kształcie kwiatów lotosu. W grubych murach znajdowały się jedynie wąskie szczeliny okienne, wykute tak wysoko, by oczy profanów nie mogły zobaczyć odprawianych wewnątrz obrzędów. Zadaniem szczelin było także rozpraszanie dymu kadzideł i innych, mniej miłych woni, które czasami wznosiły się znad ołtarza. Światła dostarczały pochodnie i lampy oraz ogień płonący w żelaznym koszu przed wysokim ołtarzem.

Opuszczono lektykę na wypolerowaną posadzkę i Hathor–Ka wstała. Powitał ją kapłan o wygolonej głowie, odróżniający się od akolitów jedynie dzięki płaszczowi ze skóry lamparta, który spływał mu z jednego ramienia. Drugie ramię było nagie. Kapłan ukląkł i uderzył

czołem w posadzkę, prawie dotykając sandałów Hathor–Ka.

— O Pani, Która Siedzisz Po Prawicy Ojca Seta — zaintonował — witam cię w twoim domu. My, którzy jesteśmy twymi sługami, życzymy ci, byś żyła dziesięć tysięcy lat.

— Wstań, Sen–Mut. Nie mam nadziei na tyle, ale jeżeli nasze plany się powiodą, mogę żyć dziewięćset, wraz z tymi, którzy mi służą. Czy wszystko dobrze?

Kapłan podniósł się z klęczek.

— Nieźle, pani. — Teraz, gdy nie posługiwał się już rytualnym tonem, miał miękki i przyjemny głos.

— Wypełniliśmy obrzędy, jakie opisałaś w liście i obserwujemy twych konkurentów.

— Tylko jeden mnie niepokoi. Co u Thoth–Amona?

— Nasz szpieg donosi, że zeszły tydzień Thoth–Amon spędził w transie czarnego lotosu.

Jasne jest, że dopełnia jakiegoś potężnego, magicznego rytuału, ale nie widać, by wiedział coś o zaginionym fragmencie Księgi ze Skelos.

— Czy przyjmował wysłanników z Turami, Vendhii lub Khitaju?

— Kilka dni temu otrzymał list od wielkiego maga z Vendhii, Jaganatha.

Hathor–Ka nastroszyła się, słysząc to imię.

— Jaka była treść tej korespondencji?

— Zwykła wymiana uprzejmości — zapewnił ją kapłan. — Najwidoczniej w odpowiedzi na jakieś pytanie Thoth–Amona, Jaganath obiecał mu przysłać błękitny lotos przy następnym kwitnieniu wraz z nasionami i próbką gleby. Wiadomość była w drodze kilka miesięcy.

— To mnie cieszy — rzekła kapłanka. — Nagrodź naszego szpiega. I, Sen–Mut...

— Tak, pani?

Obrzuciła go spojrzeniem, które mogłoby zabić kobrę.

— Gdybym znalazła takiego szpiega we własnym domostwie, to lepiej, żebyś się wcale nie urodził...

Kapłan skrzyżował ręce na piersiach i skłonił się głęboko.

— Nie ma obawy, pani. Bezpieczeństwo twoich sekretów jest moją największą troską, tak jak bezpieczeństwo twej błogosławionej osoby jest troską Moulaya.

Hathor–Ka, za którą o krok podązał Moulay, obeszła ołtarz i przez kwadratowe drzwi dostała się do pomieszczeń mieszkalnych. Powitała ją grupka niewolnic, które poprowadziły swą panią do kąpieli. W chwili gdy dostrzeżono porzecz Hathor–Ka, natychmiast za pomocą wypolerowanych, brązowych zwierciadeł przekazano wiadomość do pałacu, a tam przygotowano gorącą wodę.

Moulay wszedł nawet do łaźni. Niewolnice pomogły pani rozebrać się i Hathor–Ka zanurzyła się w parującej kąpieli, wonnej od egzotycznych olejków.

W przeciwieństwie do innych domowych sług, Moulay nie był eunuchem. Z

zainteresowaniem przyglądał się młodym niewolnicom, ale nie nachodziły go żadne lubieżne myśli, gdy patrzył na nagość swej pięknej pani. Dla Moulaya była ona osobą wywołującą jedynie uczucie strachu i adoracji. W jej służbie z radością oddałby życie, ale nigdy nie patrzył na nią tak, jak mężczyzna spogląda na kobietę. Gdyby w jego obecności ktoś ośmielił

się zauważyć, że Hathor–Ka jest piękna i pociągająca, to Moulay, po chwili niewiarygodnego zdumienia z powodu tak bezprzykładnej bezczelności, bez miłosierdzia zatopiłby miecz w jego sercu. Traktowanie jego pani na równi ze zwyczajną śmiertelniczką było dla niego świętokradztwem.

— Niepokoi mnie ta sprawa z Jaganathem — zaczęła Hathor–Ka. — Korespondencja z Thoth–Amonem wydaje się niewinna i jestem zadowolona, że Thoth–Amon nie wie nic o moich planach. Jednakże Jaganath jest chytry. Wysyłanie błahych listów do innych czarnoksiężników byłoby w jego stylu, gdyby chciał odsunąć ich uwagę od swych

prawdziwych zamierzeń. Jesteś pewien, że w czasie naszego pobytu w Khorshemish byli tam jacyś Vendhianie?

— Zaledwie dwóch — odparł Moulay. — Kupiec bławatny, z którym rozmawiałem,

powiedział, że poznał Vendhian po strojach. Był tam tłusty mężczyzna w średnim wieku i niski, szczupły młodzieniec. Mogli być kupcami.

— A czym handlowali? — Gąbką nasyconą wonnym olejem omywała swe ciało tak

obojętnie, jak człowiek myjący rydwan. — Czy ci ludzie mieli jakiś towar na sprzedaż? Czy węszyli, chcąc odkryć nowe szlaki handlowe? Czy nachodzili urzędników miejskich i wciskali im łapówki, by otrzymać odpowiednią opiekę na targowiskach?

— Jak wiesz, pani, nie było ani czasu, ani okazji, by przeprowadzić tak dokładnie śledztwo

— bronił się Moulay.

— Wiem, Moulayu. I może zamartwiam się niepotrzebnie. Jednakże stawka w tej grze jest tak wysoka, że muszę być podejrzliwa. Vendhianie rzadko wyprawiają się tak daleko na Zachód, a napotkanie dwóch w tym samym mieście, w którym rozpoczęliśmy nasze zadanie, zakrawa mi na większy zbieg okoliczności, niż jestem w stanie znieść. Nie poznałabym Jaganatha, nigdy go nie widziałam, chociaż istnieją sposoby, dzięki którym ci, którzy uprawiają Sztukę, rozpoznają się wzajemnie. Wydaje się, że ten vendhiański „kupiec” dbał, by trzymać się na uboczu, a według mnie wśród kupców jest to czymś niezwykłym.

— Ale gdyby rzeczywiście był twym rywalem, jaki byłby jego cel? O ile się orientuję, nie zrobił niczego, co by wadziło naszym poczynaniom.

— Być może szpiegował, by dowiedzieć się, co robię. Może sam próbował wynająć tego Cymmerianina. Jeżeli tak, nie udało mu się. Prawda, że Khorshemish jest jednym z miejsc, w którym krzyżują się wielkie szlaki świata i może tam dojść do niewiarygodnych spotkań. Ale i tak to mi się nie podoba. Ze wszystkich moich rywali Jaganath jest najbardziej niebezpieczny po Thoth–Amonie i ostatnim, którego chciałabym widzieć w posiadaniu fragmentu Skelos.

— Jak mógłby go zdobyć? — spytał Moulay. Subtelności sztuk czarnoksięskich budziły w nim niechęć, jednakże chciał podtrzymać rozmowę z boginią.

— Takie rzeczy nie dzieją się dzięki powszechnym prawom przypadku. — Hathor–Ka wyszła z kąpieli. Parująca woda kaskadami spływała z jej kształtnego ciała i gęstych włosów.

Gdy służki zaczęły ją wycierać, wyjaśniła:

— Wiele razy zdarza się, że jakiś dokument czy artefakt wpada magowi pod sam nos jakby z własnej woli. Może to znaczyć, że są w to zamieszane siły wyższe, które usiłują grać nami jak pionkami. Jeżeli Jaganath natknął się na ten fragment, a Thoth–Amon nie, to stało się tak dlatego, ponieważ tak sobie życzyły Moce.

— Ależ, pani — rzekł Moulay, doprowadzony do rozpaczy zawilóścią jej wywodu. —

Jeżeli same Moce przykładają do tego rękę, w jaki sposób jedno z was zamierza zyskać przewagę? Chyba nie chcecie współzawodniczyć z bogami?

— Głupiec! — szczerknęła Hathor–Ka, po chwili, łagodniej, dodała: — Jesteś profanem w tych sprawach. Gdybym zadowoliliła się posłusznym wykonywaniem woli bogów, byłabym tylko zwykłą kapłanką. Zamiast tego wybrałam czarnoksięstwo, by dzięki niemu wpływać na przebieg wydarzeń, a nawet naginać wolę bogów do własnej! I skoro ci bogowie usiłują wciągnąć mnie w grę, to postaram

się być od nich lepsza.

Moulay był posłuszny swej pani bez względu na to, co się działo, ale myśl o skrzyżowaniu miecza z bogami zrosiła potem jego zazwyczaj suche czoło.

— A jaki jest ten bóg północnych krain, ten Crom, o którym mówiłaś z barbarzyńcą? Czy posiada jakąś Moc?

— Czytałam nieco o północnych bóstwach — rzekła Hathor–Ka, przywdziewając lekkie szaty podane przez pokojowe. — Są prawdziwymi bogami, ale pomniejszych, bez

porównania z naszym Ojcem Setem. — Uczyniła Znak Węża, który został powtórzony przez wszystkich znajdujących się w pomieszczeniu.

— Ymir mieszkańców Północy i Crom Cymmerianów zaliczają się do Starych Bogów, ale nie posiadają żadnych czarnoksięskich sekretów. Mało interesują się poczynaniami ludzi.

Niewielką uwagę poświęcają nawet swoim wyznawcom. Prawdziwi bogowie, bogowie

Południa, lekceważą ich obu. Sami zajęci są bezustanną walką o władzę na Ziemi, a my, czarnoksiężnicy, zyskaliśmy swą moc pomagając im i wykorzystując ich knowania.

Moulay czuł się coraz bardziej nieswojo.

— Ale skoro ci północni bogowie są tacy słabi, dlaczego tak ważna rozgrywka ma rozegrać się właśnie na górze Croma?

Hathor–Ka milczała przez chwilę.

— Sama się nad tym zastanawiałam. Przecież tu, na Południu, jest wiele odpowiednich miejsc. Bogowie bez wątpienia musieli mieć dobry powód, by wybrać właśnie tamto.

Również zaginięcie rozdziału Skelos musiało mieć swoją przyczynę. Wygląda to tak, jakby bogowie życzyli sobie, by tylko czarnoksiężnicy najwyższej rangi mogli znaleźć wskazówki, a potem wyruszyć w drogę do tego odległego zakątka Ziemi i tam stanąć do walki o nieskończoną władzę.

— Zatem dlaczego Thoth–Amon miałby nie natknąć się na ten dokument? — ośmielił się zapytać Moulay. — Wszyscy uważają go za czarnoksiężnika najwyższej rangi.

Odetchnął z ulgą, gdy Hathor–Ka, zamiast wpaść we wściekłość, zmarszczyła czoło w zadumie.

— Możliwe, że Moce planują dla niego jakieś inne przeznaczenie.

VIII

ZGROMADZENIE KLANÓW

Po raz pierwszy od czasów, gdy był chłopcem, Conan pędził bydło na zimowisko. Miast miecza trzymał bicz do chłostania opornych zwierząt. Wraz z krewniakami, Milachem, Dietrą i Chulainnem, targał na krzepkich barkach krokwie chaty. Schodzili z wysokich pastwisk, nad którymi gęstniały niskie, zwiastujące śnieg chmury.

Co dziwne, rzeczy, z których wyśmiewał się i których nie cierpiał jako młodzik, teraz zdawały mu się właściwe i krzepiące. Nawet nie oburzał się, gdy starsi niekiedy traktowali go jak chłystka. Taki był cymmeriański obyczaj. W zależności od sytuacji różnie kształtowała się hierarchia rodu. Gdyby doszło do walki, on, Milach i Chulainn dobyliby mieczy i walczyli ramie w ramie. Kiedy indziej Milach i Dietra mogli traktować Conana i Chulainna jak młokosów. W innych przypadkach Conan i Milach mogli zachowywać się jak rówieśnicy, a Chulainn był dla nich głupiutkim młodziakiem. W gospodarstwie wszechwładnie panowała Dietra, pomiatająca mężczyznami bez względu na ich wiek, lecz w czasie bitwy natychmiast odesłano by ją na tyły, podczas gdy mężczyźni, od wyrostków do siwobrodych starców, skrzyżowaliby broń z nieprzyjacielem.

Byli ostatnimi członkami klanu, którzy ściągnęli do zimowej wioski. Conan nie pamiętał tak wielkiego zgromadzenia. Klan liczył obecnie jakieś cztery setki ludzi. Cymmerianie co prawda nie byli licznym ludem, ale brak liczebności nadrabiali bitnością. Każdy mężczyzna był wojownikiem. Nawet jednoręki rzemieślnik nie unikał udziału w potyczce. Kobiety były wysokie i silne. Dzieci ruchliwe i wczesnie dojrzewały.

Wbrew nordheimskiemu określeniu „czarnowłosi”, nie wszyscy Cymmerianie mieli włosy w tym kolorze, chociaż dominowały czarne. Większość miała oczy szare i niebieskie, ale trafiały się również brązowe. Od sąsiednich plemion odróżniali się siłą, uporem, budową ciała, językiem i nade wszystko, nieugiętą wolą walki do ostatniej kropli krwi.

Conan i jego krewniacy zagnali bydło do wspólnej zagrody i zamknęli bramę z żerdzi.

Zwierzęta miały przebywać tam przez całą zimę, jeżeli tylko nie okaże się ona zbyt sroga.

Wiosną nadejdzie pora rozdzielenia ich według znaków wypalonych na skórze i przegania na górski wypas. Czyniono tak od niepamiętnych czasów.

Po zapędzeniu bydła Conan, Chulainn i Milach zabrali przywleczone z gór krokwie i zajęli się chatą, którą wskazała Dietra. Przez resztę dnia układali belki, cięli darń na dach i znosili torf oraz krowie łajno na opał. W porównaniu z życiem, do którego Conan przywykł na Południu, żywot Cymmerianów był niewyobrażalnie prymitywny, ale on jakby czerpał siły z tej prostoty. Milach miał rację; było to stosowne życie dla mężczyzny, chociaż dla kogoś, kto posmakował przysmaków Południa, tutejszy, monotony wikt okazywał się niemal nie do zniesienia.

Gdy na dachu układano ostatnie płyty darni, Conan spojrzął w dół i zobaczył mężczyzn gromadzących się przed wejściem do chaty, na której pracował. Ześliznął się na ziemię. Jego broń leżała w domu

pod opieką Dietry, ale Conan po raz pierwszy od lat w obecności uzbrojonych ludzi nie czuł się zagrożony. Wszak byli to jego krewniacy, nawet jeżeli nie pochwalali jego poczynań.

Conan otrzepał ręce i podszedł do wysokiego, siwowłosego mężczyzny z długą, ciemną brodą. Jego odzienie nie różniło się od sukman zwyczajnych członków klanu, ale było coś, co odróżniało go od reszty.

— Witaj, Canachu. — Podczas gdy Conan i wszyscy inni należeli do Klanu Canacha, ten mężczyzna był Canachem, Canachem z Canachów. Naczelnikiem.

— Witaj, Conanie. Wiele zim minęło od czasu, gdy widzieliśmy się po raz ostatni. Twój ród już prawie wymarł. Powróciłeś, by przyłączyć się do nas na dłużej?

— Na jakiś czas. Mam misję do wypełnienia, ale przedtem muszę porozmawiać ze starszyzną.

— Tak się stanie, lecz będziesz musiał poczekać na swoją kolej, bowiem wielu chce zabrać głos na zgromadzeniu. Raduję się na twój widok, Conanie, choć między nami częstokroć nie było zgody. Tej zimy będziemy potrzebować wszystkich ludzi klanu.

— Czyżby zanosilo się na wojnę? Jak mi się zdaje, to dziwna pora na takie rzeczy.

— Ta cała sprawa jest dziwna. Usłyszysz wszystko wieczorem na zgromadzeniu.

Naczelnik i jego przybocznicy odwrócili się i odeszli.

Conan wziął swój miecz i ruszył odnowić stare znajomości oraz wypytać o przyjaciół i krewnych. Nie był zaskoczony, że wielu starych znajomków nie żyje.

Górale żyli krótko. Rodaków Conana cechowała gorąca krew. Ona to pchała ich do walki, która gasiła płomienie żywotów, zanim zdołały one zabłysnąć pełnią blasku.

W osadzie płonęły liczne ogniska. Tutaj, blisko dziczy Piktów, w dolinie, której nie odwiedzano od dziesięciu lat, znajdowało się wiele drewna. Zapasy torfu miano zacząć zużywać dopiero w pełni zimy. Dokoła ogni krążyły dzbany z piwem, a zebrani śpiewali smętne, niemal żałobne pieśni, zrodzone w tym dzikim kraju w równie dzikich sercach.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca połyskiwały trupio na okrytych czapami śniegu szczytach. W dolinie zalegała zwykła jesienna mgła i tak miało być aż do pierwszych opadów śniegu. Powracający myśliwi przynieśli kilka dzików oraz jeleni i wkrótce w powietrzu rozeszła się woń piezzonego mięsa. Rozpoczęły się zawody. Mężczyźni zaczęli się ścigać i współzawodniczyć w rzucaniu kamieniami. W przeciwieństwie do swoich piktyjskich i nordheimskich sąsiadów, Cymmerianie nie bili się między sobą na miecze, ani nawet nie mierzyli się w potyczkach na kije. Walka była dla nich zbyt poważną sprawą i wyciągali miecze tylko po to, by zabić.

Przy ognisku na środku wioski siedzieli naczelnicy i starszyzna, obgryzając mięso z kości oraz

podając z rąk do rąk dzban piwa. Czekają tu miejsce dla Conana. Usiadł i rozczochrana piętnastolatka wcisnęła mu w garść kawał dymiącej jeleniny i jednocześnie bystrym spojrzeniem szarych oczu obrzuciła jego masywną postać od czubka głowy do palców nóg.

Zachowywała się z niedwuznacznym wyrachowaniem kobiety, która ocenia przyszłego męża.

W klanie szybko rozeszła się wieść o powrocie Conana. Niezamężne kobiety w mig dowiedziały się, że nie jest on jeszcze żonaty i zwracały nań szczególną uwagę, bowiem mężczyźni w jego wieku byli wielce poszukiwanym towarem.

Conan owinął kawał parującego mięsa cienkim podpłomykiem i wgrzył się w węń

łapczywie. Z zapalem przeżuwał twardą, ale wspaniałą pieczeń i wspominał dawne zebrania klanu, kiedy bił się z chłopakami po odejściu starszyny. Z rozkoszą przepłukał gardło długim łykiem warzonego piktyjskim sposobem piwa.

Przemówił siedzący obok siwowłosey starzec:

— Witaj, krewniaku. Znałem twego ojca i dziada.

— I ja pamiętam cię dobrze, Ango.

Stary człowiek skrzywił się, słysząc jego mowę.

— W tych obcych stronach nabyłeś dziwnego akcentu.

— Te same słowa słyszę na Południu. Widać nie jest mi przeznaczone doskonale władać różnymi językami.

W przeciwieństwie do swoich sąsiadów, których biesiady były hałaśliwe do granic obłędu, Cymmerianie zachowywali powagę nawet przy nad wyraz radosnych okazjach. Wojownicy nie wstawali i nie chełpili się, a wypite piwo nie prowokowało ich do wszczynania bójk.

Conan po zaspokojeniu pierwszego głodu zatęsknił za porządną burdą, lecz były to próżne marzenia.

— Na aesirskiej uczcie — odezwał się do sąsiada — już dawno dobyto by stali, krokwie drżałyby od gromkich pieśni, a wojownicy chełpiliby się jeden przez drugiego, wykrzykując imiona zabitych wrogów.

— W takim razie dobrze, że wróciłeś do miejsca, gdzie mężczyznom nieobce jest

przystojne zachowanie — stwierdził obojętnie Anga.

— Tak — odpowiedział wojownik o długiej, smutnej twarzy, siedzący po drugiej stronie Conana. — Tylko głupiec czy tchórz pyszni się tym, kogo zabił. I co z tego, że zabity nieprzyjaciel mógł być nawet naczelnikiem? Miarą wojownika jest jego siła i serce.

Walczyłem z wieloma świniopasami z równin, którzy niejednym razem zranili mnie okrutnie i widywałem też wodzów padających pod mieczem nieopierzonych wyrostków.

Inni skinęli głowami i pochwalili go za mądre słowa.

— A jednak — upierał się Conan — w innych krajach ludzie wiedzą, jak się bawić. Są radosne śpiewy, muzyka harf i fletów. Dziewki cieszą się tańcem, a kuglarze i tresowane zwierzęta pokazują swoje sztuki. Nasze pieśni są ponure niczym żałobny lament.

Wszyscy popatrzyli na niego tak, jakby nagle zaczął mówić niezrozumiałym językiem.

— Nieważne — rzekł Anga z goryczą. — Ty nigdy nie zrozumiesz.

Conan dostrzegł Chulainna na skraju rzucanego przez ognisko kręgu światła i skorzystał z okazji. Wziął dzban z piwem, podszedł do krewniaka i wsunął naczynie w jego dłoń.

— Trzymaj, kuzynie, napij się ze mną. Mężczyzna w pierwszą noc na zimowej kwaterze nie powinien straszyć innych tak smętnym obliczem.

Chulainn upił łyk i oddał dzban.

— Słuchaj, kuzynie — ciągnął Conan. — Słyszałem, co spotkało twoją wybrankę. Nie jesteś pierwszym, który stracił kobietę. Zbierz wszystkich przyjaciół, a wyprawimy się po inną.

— Chcę tylko Bronwith, ślubowaliśmy sobie wierność.

— Zgoda, ale z tego co słyszałem, twój ślub jest nieważny. Nawet Crom nie wymaga, by człek był wierny zmarłej.

— Nie wiem, czy ona nie żyje. Nie znalazłem jej ciała!

— Jesteś pewien? Mówiono mi, że niektórych trupów nie sposób było rozpoznać.

— Jej tam nie było! — wykrzyknął z rozpaczą Chulainn.

— Tak czy inaczej, jest dla ciebie stracona. Równie dobrze możesz wymazać ją z pamięci.

— Nigdy! Przysięgłem na Crom, że przyprowadzę ją w zdrowiu i ni krewniak, ni demon powietrza czy gór nie przeszkodzi mi w sprowadzeniu jej do chaty!

Conan miał już uszczypliwie skomentować składanie lekkomyślnych ślubów w imię

Croma, gdy w pamięci stanęła mu jego własna przysięga.

— Jak zamierzasz ją odnaleźć? Zakuto ją w łańcuchy i powiedziano na brzeg morza, a wiesz dobrze, że stamtąd brańcy już nigdy nie wracają.

— Nie poprowadzili ich na wybrzeże. To nie był napad łowców niewolników. To było dzieło demonów lub szaleńców. Jeńców powleczono na północny wschód.

— Na północny wschód? — Conan pociągnął łyk piwa, zastanawiając się nad geograficznym kształtem kraju. — W kierunku Asgardu czy Hyperborei?

— Nie. Do tych krajów wiedzie wiele wygodnych szlaków, tak samo jak do Kresowego Królestwa. Szliśmy za nimi przez kilka dni. Ich tropy nie zeszły z przełęczy, lecz prowadziły wyżej, w wysokie turnie, tam gdzie żyją tylko kozice.

— W okolicy Ben Morgh... — wyszeptał Conan z grozą. Poczul, że włos zjeżył mu się na głowie.

— Tak, mieliśmy w zasięgu wzroku szczyt świętej góry i znajdowaliśmy się tuż poniżej Pola Śmierci, gdy raptem opadła gęsta mgła. Nie było widać nic na wyciągnięcie ręki. To nie była zwyczajna mgła, tylko chmura czarna jak serce Vanira, ale nie wyczuliśmy smrodu spalenizny. Ja chciałem iść dalej, lecz moi towarzysze siłą ściągnęli mnie na dół.

— Być może czeka nas jedna robota. Poczekaj, póki nie rozmówię się z naczelnikami.

— Robota? — powtórzył Chulainn. — Jaka robota?

Zanim Conan zdołał odpowiedzieć, jeden ze starszyny wstał i zadał w wielki, starożytny róg. Był to skarb klanu Canacha, uczyniony z długiego, krętego rogu nieznanego w tych górach zwierzęcia. Na całej powierzchni wyryte były dziwne postacie i runy. Klanowa legenda mówiła, że należał on do pierwszego Canacha, założyciela klanu.

Conan i Chulainn ruszyli w kierunku ognia, gdzie zebrali się naczelnicy klanu. Był tam Canach, siedzący godnie pomiędzy głowami innymi rodów, starcami oraz zasłużonymi wojownikami. Wielu z nich było tylko prostymi pasterzami, ale ich sława i pozycja w klanie zależała nie od urodzenia, a od dzielności i zręczności we władaniu bronią. Conan zdziwił się, że przy ogniu znaleźli się także przedstawiciele innych klanów. Jeden z nich, siedzący obok Canacha, był mężczyzną w średnim wieku z długim warkoczem splecionym na sposób Raedów. Twarz innego wymalowana była na niebieskie barwy wojenne, jak to było w zwyczaju klanu Tunoga. Zdumiony Conan zastanawiał się, co sprowadziło ich na zebranie.

Wśród wiecznie wojujących ze sobą klanów Cymmerii pokojowe spotkania były rzeczą niezwykłą i odbywały się tylko w czasie jarmarków urządzanych w środku zimy i na wiosnę.

Conan wstał i uniósł wysoko obie ręce. Róg zagrzmiął dwukrotnie i zapadła głucha cisza.

— Ludzie klanu Canacha! Słuchajcie mnie wszystkie klany Cymmerii! Stoimy w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa. Po raz pierwszy od czasów Venarium niebezpieczeństwo zagraża całemu naszemu ludowi. Jeśli nie chcemy zginąć jeden po drugim, musimy zjednoczyć się i walczyć ramię w ramię. Trzeba, by wszystkie wojny klanów ustały na czas wspólnej walki. Trzeba poniechać zemsty, wypraw po kobiety i bydło do czasu, gdy naczelnicy nie zdecydują, iż niebezpieczeństwo minęło.

Szmer niespokojnych rozmów wzniósł się nad głowami zgromadzonych niczym szum

jesiennego wichru. Wielki róg zadał raz jeszcze, nakazując ciszę.

— Wszyscy słyszeliście już o wyprawie po kobietę, jaką przedsięwziął młody Chulainn wraz z kuzynami, wśród których był mój syn i wiecie, co zastali na ziemi Murrogha. Po powrocie syna wzięłem białą tarczę pokoju i ruszyłem między klany, by dowiedzieć się, czy było więcej takich wypadków. — Górale słuchali jego słów w ciszy i podnieceniu. Od wielu lat żaden z wodzów nie używał białej tarczy. — I dowiedziałem się o wielu... Zniszczono nie mniej niż setkę siedzib! Ci, którzy siedzą obok mnie, powiedzą wam więcej!

Odwrócił się do mężczyzny z długim warkoczem i wypowiedział zwyczajową formułę:

— Roriku z klanu Raeda, proszę, byś przemówił do mego klanu.

— Ja, Rorik, brat Raeda z klanu Raeda, przybyłem tutaj z białą tarczą. Dziesięć księżyców temu spustoszone sześć obojśc klanu Raeda. Zginęły cztery dziesiątki mężczyzn i kobiet, a przynajmniej drugie tyle dzieci uprowadzono w wysokie góry. Klan Raeda nie wzniesie miecza na innego Cymmerianina, póki niebezpieczeństwo nie zostanie zażegnane. — Rorik skłonił się i usiadł na swoim miejscu.

— Twylu z Tunogów — wywołał Canach. — Przemów do mego klanu.

Mężczyzna z pomalowaną twarzą wstał i wsparł się na drzewcu włóczni.

— Jestem Twyl, doradca Tunoga i ja również przybyłem tutaj z białą tarczą pokoju. Tego lata zostały zniszczone cztery zagrody mego klanu, straciliśmy trzydziestu ludzi, zabitych lub uprowadzonych. Po drugiej stronie granicy zburzono dwa gospodarstwa klanu Lacheisha. My, wojownicy klanu, pomalowaliśmy twarze i nie zmyjemy barw wojny, nim zagrożenie nie minie. Na ten czas zawieramy pokój z innymi klanami.

— Z tego co powiedzieli Chulainn, mój syn i inni — zaczął Canach — wróg nadszedł od strony wysokich gór w pobliżu Ben Morgh. Te obce nam stworzenia nie tylko zabijają żywych, ale bezczeszczą groby naszych zmarłych, bowiem tylko przez Pole Śmierci mogą wejść na nasze ziemie. Nieważne, kim są. Są naszymi wrogami. Najechali nasz lud i muszą ponieść zasłużoną karę.

— Czy ktoś widział te demony i przeżył? — zapytał wojownik o siwych włosach.

— Chłopiec z klanu Raeda wypasał owce w pobliżu jednej z zagród, gdy nastąpił atak —

odpowiedział Rorik. — Uciekł i dzięki temu przeżył. Z wysokiej skarpy zobaczył, że obojście okrywa dziwna, czarna mgła. Po pewnym czasie czarny obłok odpełził po ziemi na północny wschód, a z jego wnętrza dobiegał płacz dzieci. Później zobaczył zniszczone chaty i leżące przed nimi trupy. Między nimi znajdował się Chamta, nasz najlepszy wojownik. Jego serce zostało wydarte z piersi i pożarte. Na mieczu Chamty znaleziono łuski pokryte zakrzepłą, czarną krwią. To nie były żelazne łuski, takie jak w zbrojach noszonych przez Vanirów, ale takie, jakie mają ogromne ryby czy węże. Nikt nie chciał dotknąć tych nieczystych rzeczy, spalono więc wszystko, co tam leżało.

— Jutro roześlemy Krwawe Włócznie — oznajmił Canach. — Wszyscy zdolni do noszenia broni stawią się pod Stojącym Kamieniem na Polu Naczelników. — Wskazał na księżyc wznoszący się nad szczytami gór na wschodzie. — W czasie pełni wojownicy wszystkich klanów spotkają się u stóp Stojącego Kamienia!

— Nie wszyscy! — rzekł Conan, wkraczając w krąg światła. — Nie będzie mnie tam z wami. Czekam inne zadanie.

Zgromadzeni oburzyli się, słysząc te słowa. Kilku odsunęło się od Conana ze wstrętem, jak gdyby bali się, że sama jego obecność może ich skalać. Canach spojrzał nań z gniewem i niedowierzaniem.

— Zawsze byłeś nieobliczalny, ale nigdy nie byłeś tchórzem!

— Nie boję się, ale muszę dotrzymać złożonego wcześniej przyrzeczenia. — W kilku słowach opowiedział, jak związał się słowem. — Tak więc widzicie, jeśli będę czekał na zgromadzenie klanów, nie zdążę na szczyt Ben Morgh przed zrównaniem dnia i nocy. Muszę wyruszyć już jutro rano.

— Wolałbym szczeznąć, niżli doczekać dnia, w którym mój krewniak przedkłada posłuszeństwo obcej czarownicy nad dobro klanu. — Canach splunął z pogardą.

— Jestem wierny tylko własnemu słowu! — ryknął Conan. — Przysięgałem na Croma, a jeśli ktoś zechce zmusić mnie do złamania słowa, to pozna smak żelaza, choćby był moim rodzonym bratem!

Conan położył rękę na rękojeści. Setka wojowników dobyła mieczy, a syk ostrzy wyciąganych z pochew odbił się echem w dolinie.

— Stać! — zawołał Canach. Wojownicy znieruchomieli. Naczelnik patrząc na Conana kontynuował: — Jesteś wielkim głupcem, Conanie, i zawsze nim byłeś, ale nie można zarzucić ci tchórzostwa. Tylko człek obdarzony wielką odwagą może wyzwąca cały klan.

Ruszaj w tę swoją przekłętą misję, która, w co nie wątpię, jest częścią nieszczęść, jakie nas spotkały. Jeśli dowiesz się czegoś, co może się nam przydać, nie omieszkaj spotkać się z nami po drodze. A jeśli zostaniesz pojmany — wskazał palcem na Conana i ciągnął głosem ponurym jak samo przeznaczenie — bez względu na męki nie zdradzaj, cośmy postanowili.

— Nie rzeknę ani słowa. Czy kiedykolwiek w twoim klanie urodził się zdrajca? Canachu, gdy będziesz rozsyłał Krwawe Włócznie, prześlij jedną do Wulphere z Aesiru, o ile ów jeszcze żyje. Powiedz, by zebrał swoją drużynę do walki w naszych szeregach. Powiedz, że wzywa go Conan. Wulphere posłucha, od dawna jest moim dłużnikiem.

Mężczyzna, który się podniósł, miał olbrzymią bliznę biegnącą od czoła do szczęki i zarastającą jedno oko.

— A od kiedy to potrzebna nam pomoc tych żółtowskich?

— Od teraz — odpowiedział Twyl z Tunogów. — Na Croma, teraz potrzebujemy wszelkiej pomocy. W obliczu walki z tymi straszidłami przyjąłbym ją nawet od Vanirów!

Wtrącił się Chulainn, który dotychczas krył się w głębokim cieniu.

— Conan nie wyruszy sam. Ja będę mu towarzyszyć.

— Musisz mieć dobry powód — rzekł Canach. — Bo jeśli szukasz tylko sławy pierwszego, który uderzy na naszych wrogów, to przynosisz wstyd swojej rodzinie. Twoje miejsce jest u boku krewnych.

— Złożyłem przysięgę i już zbyt długo zwlekałem z jej wypełnieniem. Słowa Conana przypomniały mi o obowiązku.

— Zatem — westchnął Canach. — Ruszaj, jeśli musisz. — Oczy Canacha wpatrzyły się w ciemność za kręgiem światła ogniska. — Ale nikt inny! Wszyscy mężczyźni w sile wieku ruszą ze inną do Stożącego Kamienia.

Po chwili wskazał na młodzieńca stojącego w tyle, z dala od ognia i rozkazał:

— Mój synu, weź młodszego brata i kilku kuzynów i powiadom trzy rodziny, które jeszcze nie przybyły. Niech dołączą do nas jak najszybciej, o ile już nie spotkało ich nieszczęście.

Reszta musi przygotować się do długiego marszu i twardej walki.

O północy Conan, Chulainn i Milach udali się do swojej chaty na skraju osady. W drzwiach odwrócili się i popatrzyli na wioskę, na nikle światła przygasających ognisk. Dobiegł ich dźwięk przypominający brzęczenie rozwścieczonych szerszeni, ale wiedzieli, że to nie owady go wydają. Był to odgłos szlifowania ostrzy mieczy, toporów i włóczni.

— Niemało krwi się poleje — mruknął Milach i obrócił się do Chulainna. — Żałujesz, że nie było cię pod Venarium?

— Przynajmniej wtedy waszymi wrogami byli ludzie. Wolałbym zmierzyć się z dziesięcioma tysiącami najprzedniejszych wojów Południa niż z tymi nieznanymi straszidłami z Ben Morgh.

— Dzięki mieczowi Chamty wiemy, że krwawią, gdy się je zrani — rzekł Conan. — A jeśli tak, to na Croma, można też je zabić! Idziemy spać. Gdy słońce wzniesie się nad szczyty, będziemy w drodze na Ben Morgh.

IX

NA POLU ŚMIERCI

Starkad dla rozgrzewki poklepywał się po ramionach, bowiem nawet obszerne futro z wilka i kuny nie chroniło przed górskim chłodem. Oddech wydobywający się spod żelaznego hełmu zamarzał w porannym powietrzu. W górach było zimno. Przed wschodem słońca zbroje jego ludzi pokryła warstewka szronu.

Popatrzył w górę na postać siedzącą na szczycie nagiej skały. Był to Jaganath, bez wątpienia zajęty jakimiś diabelskimi sztuczkami. Zwykle Vendhianin znosił zimno dużo gorzej od ludzi Północy, ale teraz siedział tylko w przepasce na biodrach i w turbanie nie bacząc na ukąszenia lodowatego wiatru.

Obok Starkada przystanął młodszy Vandhianin Gopal, otulony w futro tak grube, że wyglądał niczym mały niedźwiadek.

— Mój wuj zajęty jest odprawianiem potężnych czarów.

— A wygląda jakby spał. Dlaczego nie śpiewa i nie krzyczy? Nie składa ofiar. Nie widać żadnego ognia ani dymu.

— Takie rzeczy są dobre dla dzieci. Naprawdę wielkie czary dzieją się tutaj. — Gopal wzniosł dłoń otuloną w futrzaną rękawicę i dotknął skroni. — Wielcy magowie, tacy jak mój wuj, mogą spędzić wiele miesięcy w transie, rozmawiając z bogami i czyniąc potężne czary.

Starkad spojrział z góry na niskiego Vendhiana i parsknął, wydmuchując z nozdrzy dwa strumienie pary.

— W czasie naszych największych świąt wieszamy setkę jeńców w świętym gaju, a innym podrzynamy gardła na świętym kamieniu. To cieszy Ymira, a nam daje zwycięstwo w wojnach. Takiej magii ufam, a nie jakiemuś tam mamrotaniu i medytacjom.

Gopal uśmiechnął się z wyższością.

Starkad, wbrew buńczuczemu zachowaniu, w głębi duszy wcale nie był tak pewny siebie.

Zachodził w głowę, jak ten człowiek wytrzymuje takie zimno?

— Ten mróz jest dziwny — powiedział, chcąc zmienić temat. — Nawet na tej wysokości powietrze nie powinno być tak zimne. Jeszcze nie ma połowy jesieni, a jest mroźniej niż w środku zimy.

— To sprawa wielkich czarów. Bogowie są zeniepokojeni. Moce niebios, ziemi i świata podziemi walczą między sobą o władzę. W takim czasie wielkie koło wieczności przestaje się kręcić i zwyczajne rzeczy nie są takie jak zawsze. — Gopal machnął ręką w stronę nieba. —

Patrz! Tego roku na niebie ukazało się dziesięć nowych gwiazd. W konstelacjach Skorpiona i Smoka

rozbłysły komety. W morzu widywano nieziemskie stwory, a po wyjątkowo srogich zimach następują upalne i suche lata. W tym roku wielkie ulewy dwa razy spowodowały powódź w Stygii, a czegoś takiego nie widziano tam od pokoleń. Ziemia trzęsie się od walk, jakie w jej głębi toczą niespokojne smoki.

— Zamilcz — rzekł Starkad, którym wstrząsnął potężny dreszcz. — Żałuję, że dałem się namówić na tę głupią wyprawę.

— Czy to możliwe, by wielcy wojownicy Północy znali uczucie strachu?

Starkad wyciągnął ręce, by złapać drwiącego zeń człowieczka za gardło, ale zmienił zdanie.

— Nawet najwięksi wojownicy boją się czarnej magii, ty głupcze. To żadna ujma.

Kupowanie łaski bogów ofiarami to jedno, a igranie z obcymi mocami to zupełnie co innego.

Nie podoba mi się to.

— Ale złoto ci się podoba — Gopal uśmiechnął się.

— Tak, bardzo lubię złoto. Gdybym nie lubił, nie tłukłbym się po górach, ale siedział w swoim dworzyszczu jak każdy rozsądny wódz. Masz szczęście, że lękam się czarów twego wuja, bo już dawno zabiłbym was obu i zagarnął wasze skarby.

Vendhianin roześmiał się.

— I masz szczęście, że się boisz. Myślisz, że tak potężny mag przejmowałby się drobnym kacykiem? Wielki Jaganath rzucił na kolana potężne armie.

— To po co mu nasza ochrona? — zapytał Starkad triumfalnie.

— Nie myśl, że boi się twoich dzikich Cymmerianów — odparł Gopal wyniośle. — Po dotarciu na miejsce przeznaczenia wuj musi odprawić wielkie rytuały i nie życzy sobie, by ktokolwiek mu w tym przeszkodził.

Rozmowę przerwało przybycie grupy zgniewanych Vanirów. Przewodził im ogromny

wojownik, który już na dworze Starkada sprzeciwiał się wyprawie.

— Starkadzie, musimy pogadać.

Wódz odwrócił się tyłem do ucznia maga i oparł się niedbale na toporze.

— O czym, Gurth?

— Naradziliśmy się i to wszystko przestaje nam się podobać. Ta pogoda nie jest naturalna.

Ten wiatr jest zesłany przez demony. Wędrówka z tymi czarnoksiężnikami ściągnie na nas nieszczęście. Postanowiliśmy zatem zabić ich i wrócić do domów.

— „My” postanowiliśmy, tak? Jacy my? — warknął Starkad z morderczym błyskiem w oku. — I ta dysputa była tak ważna, że wasz wódz został z niej wykluczony? — Omiótł

wściekłym spojrzeniem ich twarze. Żaden wojownik nie ośmielił się spojrzeć mu w oczy.

Gurth bez ostrzeżenia ciął toporem w czaszkę Gopala. Gdy Vendhianin zamarł z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami, Starkad błyskawicznie przechwycił na własne ostrze opadającą broń Gurtha. Kończąc ten sam ruch trzasnął obuchem w hełm przeciwnika. Gurth runął na ziemię, czemu towarzyszył wściekły brzęk kolczugi. Starkad wznosił raz jeszcze bezlitosne ostrze, by rozplatać mu głowę, ale leżący przetoczył się szybko na bok i topór wrył

się głęboko w zmarzniętą ziemię.

Gurth zerwał się na nogi i dwóch mężczyzn zaczęło krążyć wokół siebie, każdy z jedną ręką na skraju styliska, a drugą w pobliżu żelaza. Pozostali zachowywali milczenie. Wiedzieli, że zwycięzca zachowa w pamięci tych, którzy okrzykami wspierali przegranego.

Gurth, z krzykiem wściekłości zamachnął się na Starkada. Ten cofnął się pod skałę, uskoczył lekko w bok i ostrze topora uderzyło w kamień, krzesząc snop iskier. Gdy Gurth próbował złapać równowagę, topór Starkada zatoczył szeroki łuk i wgryzł się w żelazne łuski chroniące plecy przeciwnika. Gurth rozrzucił ręce, a jego oręż wyleciał w powietrze. Starkad wyszarpnął ostrze i wojownik runął na skutą lodem ziemię. Wódz zbliżył się i zadał

ostateczny cios. Głowa Gurtha potoczyła się w dół zbocza. Ruda broda i kępy bokobrodów powiewały w lodowatym wietrze.

Starkad potrząsnął znacząco zakrwawioną bronią i rzekł z pozorną beztroską:

— Gdyby ktoś jeszcze chciał podyskutować ze mną na temat przywództwa, jestem do usług. To chyba właściwa pora na wyjaśnienie takich rzeczy. — Rozejrzał się bacznie, ale żaden z jego ludzi nie podjął wyzwania.

— Dobrze. Zatem ruszamy do Cymmerii.

Jaganath, teraz już ubrany w ciężkie futra, obszedł trupa dookoła, skwapliwie omijając kałużę krwi.

— Czyżbyśmy natknęli się na wroga w czasie moich medytacji, Starkadzie?

— Ach, po prostu wywiązała się niewielka sprzeczka na temat dalszych poczynań —

stwierdził lekko wódz Vanirów. — Już wszystko uzgodniliśmy. Jesteś gotowy do dalszego marszu?

— Tak.

— Dzisiaj wejdziemy na ziemię Cymmerianów. Od tej chwili każdy człowiek, którego spotkamy na drodze, będzie naszym wrogiem. Jeśli szczęście nam dopisze, to zbliżymy się do Ben Morgh niezauważeni, bowiem Cymmeria w przeciwieństwie do Vanaheimu jest mniej ludna. Może nawet i w powrotnej drodze zdołamy uniknąć kłopotów, ale równie dobrze może nie wyjść stamtąd żywa noga.

Ku jego zaskoczeniu Jaganath wybuchnął śmiechem. Był to potężny, dudniący dźwięk wydostający się z głębi przepastnego brzucha.

— Doprowadź nas, gdzie trzeba, Starkadzie, i nie kłopotcz się powrotem!

Siostrzeniec zawtórował mu ochoczo. Vanirowie stali jak skamieniali, przekonani, że dwaj Vendhianie oszaleli.

Conan i Chulainn wyruszyli przed pierwszym brzaskiem. Wzięli ze sobą jedynie broń i ciężkie szuby, krzemienie i żelazo do krzesania ognia oraz worek z czarnym chlebem, suszonym mięsem i gomółką sera. Szli długim, góralskim krokiem, pokonując milę za milą szybciej niż niepewne końskie kopyta i mimo całodzienną wędrówkę nie byli zmęczeni.

Wybrali jak najkrótszą drogę, a dzięki zawieszeniu broni mogli wędrować najlepszymi szlakami i w ciągu dnia. Mimo to była to długa i męcząca podróż, prowadząca coraz wyżej w góry.

Późnym popołudniem piątego dnia wędrówki na tle nieba dostrzegli sylwetki ludzi idących jeden za drugim. Chulainn instynktownie rozejrzał się w poszukiwaniu kryjówki, ale wnet przypomniał sobie o pokoju i zakłopotany przyłączył się do Conana.

— Ciężko odzwyczaić się od starych nawyków. — Conan wyszczerzył zęby. — To muszą być ludzie z klanu Galia, spójrz na ich głowy.

— Może się jednak schowamy — zaproponował Chulainn. — Ten klan mieszka daleko i Krwawa Włócznia mogła jeszcze do nich nie dotrzeć.

W tym momencie mężczyźni na grani dostrzegli podróżnych i pomachali maczugami na znak pokojowych zamiarów. Gdyby było inaczej, z bitewnym okrzykiem ruszyliby do ataku.

— Chodźmy z nimi pogadać — powiedział Conan. — Może widzieli lub słyszeli coś ważnego.

Klan Galia nawet sami Cymmerianie uważali za prymitywny. Ich wojownicy nosili na całym ciele skomplikowane tatuaże, a włosy wiązali wysoko i zdobili amuletami z kości.

Nosili długie, płaskie, drewniane tarcze, a ich ulubioną bronią były sękate maczugi wykonane ze skamieniałych, karłowatych drzew, które można było znaleźć tylko na ich rodzinnym terytorium. Kilku miało włócznie o żelaznych ostrzach. Ubrani byli tylko w kilty z wilczej skóry, a ich stóp nie chroniła nawet namiastka obuwia. Przywódca Gallów, nie bawiąc się w uprzejmości, rzekł: — Czemu nie zmierzacie do Stojącego Kamienia?

— Mamy inną misję — odparł Conan. — Idziemy na Ben Morgh.

— Co was prowadzi na tę świętą górę?

— To nasza sprawa — odburknął Conan. — Jak długo jesteście w marszu?

— Krwawa Włócznia przybyła do nas dwie noce temu. Ruszyliśmy wczoraj przed świtem.

— Wiele armii straciłoby tydzień, by pokonać odległość od ziemi Galia do tego miejsca — mruknął Conan z uznaniem.

— Czy te demony napadły również na was? — wtrącił Chulainn.

— Cztery rodziny wycięte w pień! Chcemy zobaczyć mózgi tych psów spływające po naszych maczugach.

— Wobec tego nie będziemy was zatrzymywać — zakończył rozmowę Conan.

Wojownicy bez słowa ruszyli truchtem, którym mogli biec przez cały dzień.

— Dobrze mieć takich ludzi obok siebie w czasie bitwy — stwierdził Conan, przypatrując się szybko malejącym w dali postaciom.

— Żałuję, że nie będzie mnie na zgromadzeniu — rzekł ze smutkiem Chulainn. — Nigdy nie zobaczę tak wielkiej armii zebranej w jednym miejscu. Byłoby co opowiadać wnukom!

— Zobaczysz, jeśli przeżyjemy. Jeśli nie, bez sensu martwić się o armię i wnuków.

Wieczorem, gdy odpoczywali pod skalnym nawisem, zaczął prószyć śnieg. W głębi

kamiennego schronienia znaleźli kilka kawałków torfu, schowanych przez jakiegoś pasterza, i poczęli krzesać iskry. Wkrótce ognisko rozproszyło ciemności. Młodzi ludzie wpatrzyli się w pełgające płomyki, każdy pogrążony we własnych, niewesołych myślach.

— Conanie — przerwał milczenie Chulainn — jak myślisz, co może czekać na szczycie?

Co znajdziemy na Ben Morgh?

— A skąd ja mam wiedzieć? Potwory, demony, duchy szczepu Kusha albo cokolwiek innego.

— Ale dlaczego biorą jeńców?

— Może, by mieć niewolników, a może do jedzenia.

— No to dlaczego biorą tylko kobiety i dzieci?

— Być może lepiej smakują — zaryzykował Conan. — Może dorosły Cymmerianin jest zbyt łykowany...

Zrozpaczony Chulainn wbił wzrok w ogień. Prześladował go obraz jego dziewczyny, Bronwith, pożeranej przez straszidło z koszmaru szaleńca.

Gdy dotarli do Pola Śmierci, zwrócili uwagę na upiorny blask nieba dookoła wierzchołka potężnej Ben Morgh. W półmroku wyraźnie widzieli zarysy kurhanów wzniesionych dla cymmeriańskich wodzów i bohaterów minionych wieków. Na ziemi leżała cienka warstwa śniegu.

— Co tak świeci? — zapytał Chulainn. — Ogień? Na Ben Morgh nie ma ani torfu, ani drewna.

— Zadajesz za wiele pytań — zmitygował go Conan — i to komuś, co jest równie mądry, jak ty. Gdybym był tobą, oszczędzałbym dech na ważniejsze rzeczy, może na walkę.

— A z kim możemy walczyć?

— Na początek z łotrami czającymi się po drugiej stronie tego kurhanu. — Conan, mówiąc te słowa, skoczył na porośnięty mchem kopiec. Chulainn, Cymmerianin z krwi i kości, ani na chwilę nie zastygł w zdumieniu, lecz rzucił się za kamratem, nim ten zdążył dobyć miecza. Ze szczytu kurhanu dojrzeli dwa stwory z przygotowanym orężem czyhające na nieostrożnych podróżnych. Straszidła ledwie zdołały zerknąć w górę, gdy runęli na nie dwaj Cymmerianie.

Istoty u stóp kurhanu miały z grubsza ludzkie kształty, ale obrzydliwie zniekształcone. Z ich gardzieli wydobywał się syk, jakiego nie wytworzyłaby ludzka krtań. Conan zamachnął się w locie i ostrze miecza rozłupało czaszkę jednego ze stworów, nim stopy Cymmerianina dotknęły ziemi.

Chulainn wylądował zbyt daleko od swego wroga i ten rzucił się ku niemu z toporem o szerokim ostrzu i krótkim stylisku. Chulainn uskoczył przed niezgrabnym ciosem i cisnął

włócznię, która ledwo zarysowała łuskowatą skórę na piersiach potwora. Stwór syknął

wściekle i zawirował niespodziewanie, a jego długi, gruby ogon trzasnął Chulainna w bok.

Chłopak zatoczył się na kurhan. Topór wzniosł się do śmiertelnego ciosu, lecz w tej samej chwili miecz Conana przeszył gadzinę na wylot. Podobny do węża stwór zdechł z głośnym sykiem.

— Na Croma! — zaklął Conan, czyszcząc splugawione posoką ostrze. — Trzeba siły, by przebić ich gardła. Ta gadzia zbroja dobrze ich chroni.

Chulainn zatoczył się i skrzywił twarz z bólu.

— Wybacz, Conanie — wycharczał. — Potrzebowaliśmy jednego, by zasięgnąć języka.

Chciałem zranić swojego, ale moja włócznia nawet go nie drasnęła.

— Nie dowiedzielibyśmy się niczego od tych piękniśków. — Wskazał mieczem wywalony język

bestii. Był on długi, cienki i rozdwójony. — Idę o zakład, że jeśli mówią, to żaden człek ich nie zrozumie. Taki jęzor nie wymówi ludzkiego słowa, poza, być może, sekretnym językiem kapłanów Seta.

— Set? To bóg?

— Tak i jeden z najgorszych. Set może stać za tymi stworami. Wszyscy czarnoksiężnicy Stygii mu służą.

Conan mówił na pozór spokojnie, ale Chulainn wyczuł, w jego głosie lęk przed nadprzyrodzonymi dziwami.

— Ale przecież ten Set nie może wyzwąć Ojca Croma na jego własnej górze — powiedział Chulainn.

— Nie założylbym się o żadne pieniądze, co mogą, a czego nie mogą bogowie i demony.

Ale dzięki dzisiejszemu starciu przynajmniej wiemy, że jeśli uderzy się dostatecznie mocno, można ich pokonać. Zapamiętaj tę sztuczkę z ogonem. Takie uderzenie może zaskoczyć nawet bardzo zręcznego wojownika. Chodź! Nie możemy czekać.

— Zastanawiam się, czy to była straż, czy też zostali wysłani, by nas złapać.

— Sam dałbym wiele, aby się tego dowiedzieć — uciął dyskusję Conan. Czy wrogowie wiedzą o nich? — ta myśl nie dawała mu spokoju.

Conan odwrócił się i ruszył w kierunku góry tak szybko, że Chulainn ledwie mógł za nim nadążyć.

— Wracając do tego światła na niebie — ciągnął tak, jak gdyby wypadek z dwoma

jaszczurami wcale się nie wydarzył. — Na Południu widywałem czarne kamienie, których używa się jako paliwa tam, gdzie nie ma drzewa i torfu. Wydobywa się je z ziemi, a gdy płoną, wytwarzają gęsty i cuchnący dym.

Gdy dotarli do górnego skraju Pola Śmierci, dostrzegli postać przycupniętą na szczycie małego kurhanu, być może jednego z najstarszych. Świętokradca siedział bez ruchu, zimny wiatr trzepotał czymś, co mogło być jego ubraniem, ale wędrowcy na tle krwistoczerwonego nieba widzieli tylko zarys sylwetki. Dwa miecze z węzowym sykiem opuściły pochwy, gdy Cymmerianie znaleźli się o dziesięć kroków od kopca.

— Mów szybko, jeśli nie chcesz, by twoja krew napoiła kości czcigodnego wodza naszego szczepu!
— warknął Conan.

Postać odwróciła się i wymamrotała:

— Powiedz, człowieku Północy, nie chciałbyś kupić nowego amuletu? Mogę ci sprzedać i to tanio.

Conan oniemiał, a nogi jakby wrosły mu w ziemię.

— Crom! — wykrztusił w końcu.

— Nie, po prostu Cha, wróżbita. Crom mieszka wyżej. — Khitajski szarlatan machnął w kierunku Ben Morgh.

— Znasz tego starucha, Conanie? — zapytał Chulainn. Nie mógł zrozumieć nic z tej wymiany zdań.

Cha popatrzył na młodszego Cymmerianina.

— Conan i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi — oznajmił łamanym cymmeriańskim.

— To człowiek? Bełkoce gorzej od Pikta.

— Człowiek — zapewnił Conan, a po chwili dodał: — Na swój własny sposób. — Zwrócił

się do Khitajczyka: — Dlaczego udajesz, że jesteś sprzedawcą amuletów i wróżb, Khitajczyku?

— O co chodzi? — zapytał Cha z udawanym oburzeniem. — Nie podoba ci się mój amulet?

Założę się, że gdyby nie on, nie byłoby cię tutaj!

Conan przeciągnął kciukiem po ostrzu miecza.

— Nie lubię, gdy ktoś bawi się moim kosztem, Khitajczyku — powiedział niskim i niebezpiecznym tonem. — Ta suka Hathor-Ka zrobiła ze mnie głupca, a teraz znajduję, że ty bawisz się mną tak samo.

— Od początku ci mówiłem, że jesteś pionkiem w rękach bogów. Gniewasz się, bo taka jest prawda?

— Prawda czy nie! — warknął Conan. — Chyba poczuję się lepiej, jak połamię komuś kości, a ty jesteś pod ręką! — Zaczął się wspinać na kurhan.

— Poczekaj — rzucił spieszenie Cha. — Ty pomożesz mi, a ja pomogę tobie.

Conan przystanął.

— A po co miałbym cię potrzebować? — zapytał podejrzliwie.

— Bo jestem bardzo wielkim magiem, podczas gdy ty zwyczajnym wojownikiem. Tam w górze — wskazał w kierunku jarzącej się grani Be Morgh — jest wielka magia. Zła Magia. A do walki z magią nie starczy miecz.

— Z tego, co powiedziałaś wynika — warknął Conan — że potrzebujemy czegoś lepszego od twoich zafajdanych amuletów.

— Nie lękaj się — powiedział Khitajczyk, błyskając zębami w ponurym uśmiechu. — Moja magia jest potężna. Domyślasz się, jak tu przybyłem?

— Właśnie miałem zamiar o to zapytać. — Conan pokręcił głową. — Chulainnie, tego żebraka widziałem ostatnio w Khorshemish. To miasto leży o wiele tygodni drogi na Południe, a jednak on przybył tu przede mną. Jak to zrobiłeś, wróżbito?

— Bardzo prosto. — Khitajczyk zsunął się z kurhanu i poprawił łachmany na chudym grzbiecie. — Przyleciałem na smoku. A wy jak chcecie się dostać na szczyt?

Cymmerianom odjęło mowę ze zdumienia. Bez słowa ruszyli u boku obszarpanego khitajskiego czarownika.

Na Polu Naczelników, pogrążonym w ciszy i rozjaśnionym pierwszym, szarym światłem świtu, nie było żywej duszy. Nikt tu nie mieszkał i nikt nie wypasał bydła czy owiec wśród niesamowitych, osobliwie rzeźbionych kamieni. Były one tak obrośnięte mchem, że trzeba było stać między nimi przez dłuższą chwilę, nim w końcu zauważyłoby się wykute na ich powierzchni geometryczne wzory. Jedynie uczony podróżnik poznałby, iż ta geometria różni się od tej, jakiej uczą mędrzy Aquilonii i Nemedii. Cymmerianie nie mieli pojęcia o matematyce i nigdy nie zwrócili uwagi na tę osobliwość.

Kamienie zaścielały niewielką równię pod szczytem i tworzyły dziwne, przygarbione formy. Pośrodku pola wznosił się Stojący Kamień. Była to ostra, czarna skała, osobliwa w tych górach. Jej powierzchnia była nierówna i poźłobiona, ale nie porastał jej mech. Zgodnie z odwieczną legendą kamień ów był pociskiem użytym w czasie wojny pomiędzy Gromem i Ymirem. Ymir, bóg Nordheimu, wyzwiał Croma na pojedynek o władzę nad krainami

Północy. Jako władca burz i lodowych gigantów wysłał okrutny, mroźny wichur, który powalił tysiące sług Croma. Kiedy myślał, że Crom został wystarczająco osłabiony, wraz z gigantami ruszył do Cymmerii. Lecz niepokonany Crom wyrwał wielki głaz ze szczytu w Hyperborei, rozgrzany do czerwoności przez żar panujący we wnętrzu tej góry. Głaz przeleciał wiele mil w powietrzu i spadł tuż przed czołem zbliżającej się armii, tak blisko, że osmalił Ymirowi brodę. Ten widząc, że siły Croma nie zostały nadwerężone, zawrócił do domu. Po tym wydarzeniu Crom dał Cymmerianom charakterystyczną dla nich od tej pory, nadzwyczajną wytrzymałość na skrajny ziąb i gorąco.

Wspinający się na Stojący Kamień podrostek myślał o tej legendzie. Palce jego rąk i stóp bezbłędnie wyszukiwały szczeliny na szorstkiej powierzchni. Cymmerianie niemalże od pierwszych dni życia ćwiczyli się we wspinaczce i ten pokonywał pionową skalną ścianę tak szybko, jak cywilizowany młodzieniec wchodzi po szerokich schodach. Dotarł na szczyt bez najmniejszych oznak zmęczenia. Przybył pierwszy na Pole Naczelników. Obudził się wcześniej, gdy na świecie panowała jeszcze głęboka noc, i wykradł się z obozowiska, by przybyć tutaj przed swymi pobratymcami. Teraz, jeśli przeżyje tak długo, będzie mógł

opowiadać wnukom, że spośród podążającej za nim gromady Cymmerianów on pierwszy dotarł do Stojącego Kamienia.

Podrostek miał twarz wymalowaną na niebiesko, na modłę klanu Tunoga. Mimo

lodowatego wiatru nie obarczył się płaszczem, jedynie wilcza skóra opasywała mu biodra.

Szeroki pas zwisał pod ciężarem miecza i sztyletu. Włócznię zostawił u podstawy głazu. Jego długie, czarne włosy powiewały na wietrze jak bojowy proporzec, gdy znieruchomiał w typowym dla wojownika—górala półprzysiadzie. Artysta z cywilizowanego kraju dostrzegłby w nim uosobienie barbarzyństwa, ale chłopak nie miał pojęcia o sztuce. Zmrużył oczy w obronie przed podmuchami wiatru i czekał na nadejście klanów.

Bystre oczy chłopca wkrótce wychwyciły pierwszy ruch, gdy słońce zerknęło znad grani na wschodzie i zalało Pole Naczelników krwawą poświatą. Zobaczył kilku wojowników pędzących prosto do Stojącego Kamienia. Byli to najlepsi biegacze z każdego klanu, niosący Krwawe Włócznie przed głównymi siłami. Niebawem pole zaroilo się od ciemnowłosych wojowników.

Posłańcy zbliżyli się do Stojącego Kamienia i każdy z nich cisnął swoją włócznię o skałę, zgodnie ze starożytnym obyczajem, którego już nikt nie potrafił objaśnić.

— Witajcie, wojownicy! — zawołał podrostek ze szczytu.

Goniec Raeda ze splecionymi w warkocze włosami spojrział w górę i wyszczerzył zęby.

— Miałem nadzieję być pierwszym. Założę się, że wcześniej dziś wstałeś!

— Na pewno byś wygrał! — odkrzyknął chłopak. — Chodź tu i zobacz widok, jaki

niewielu ludziom dany jest oglądać! — Młodzi biegacze wspięli się na skałę z małą zręcznością i wkrótce stłoczyli się na półokrągłym wierzchołku. Stali tak pewnie i niedbale jak Aquilończyk na wielkim placu Tarantii.

— Idą! — wrzasnął jeden. — Raeda, Tunog, Canach, Lachiesh, Dal, Claidh... Wszystkie klany w jednym miejscu! Czy kiedykolwiek widział ktoś coś takiego?

Wskazał na wschód, gdzie długi sznur wojowników pokonywał wąską przełęcz.

— Yonder wiedzie dzikich Galia, sądząc po ich czubach. Nigdy nie widziałem człowieka z ich klanu. Mówią, że niepospolicie lubują się w walce. — W ustach Cymmerianina była to nie byle jaka pochwała, świadcząca o bitności rzezonego klanu.

— Ach! — westchnął w uniesieniu młodzieniec ze skroniami wygolonymi na sposób klanu Lachiesha. — Czyż ostrza włóczni takiej gromady nie błyszczą piękniej od światła poranka?

Posiwały naczelnik osiągnął podstawę głazu, wsparł się pięściami pod boki i zadarł głowę.

— Napatrzyliście się do syta, to na dół! Siedzenie na czubku kamienia przystoi wronom, nie wojownikom! Robota czeka tu, na dole.

Gdy młodzi ludzie zsunęli się ze skały, kilku innych naczelników przyłączyło się do pierwszego wodza. Wśród nich znajdował się Canach. Jako naczelnik, który zwołał

zgromadzenie, był przywódcą klanów, przynajmniej na tyle, na ile jeden człowiek był w stanie przewodzić dzikim plemionom Cymmerii.

— Szybko się gromadzimy — rzekł z uznaniem. — Nie trzeba będzie długo zwlekać z wyruszeniem. Nawet klan Galia stawiał się już pierwszego dnia.

— Galia są szybsi od innych — odezwał się Raeda. — Pozostali będą dołączać przez cały dzień. Kilka klanów z równiny może przybyć dopiero jutro.

Ludzie nadciągali do zmroku. Nie tracono czasu na wyjaśnienia. Wszyscy wiedzieli, dlaczego tu przybyli i byli gotowi do walki. Nic więcej nie trzeba było mówić. Siedzieli śpiewając wokół małych ognisk, niektórzy pożywiali się. W końcu wszyscy zdolni udźwignąć broń Cymmerianie, poza Conanem i Chulainnem, stanęli na wielkim zgromadzeniu pod Stojącym Kamieniem.

Canach rozmawiał przy ognisku z innymi naczelnikami, gdy przybyła ostatnia grupa wojowników. Nie byli to Cymmerianie.

— Obcy idą — szepnął któryś.

Canach wpatrzył się w ciemność zalegającą za kręgiem światła. Usłyszał pobrzękiwanie i chrzęst zbroi, dźwięki, jakich nie czyni żaden Cymmerianin. Zwyczajnie, każdy słysząc coś takiego sięgnąłby po broń, ale tym razem zebrani byli pewni, że zbliżający się nie są wrogami.

W świetle ognia pojawili się trzej mężczyźni.

— Powiedziano mi, że znajdę tutaj naczelników — rzekł najwyższy. On i jego towarzysze mieli długie, żółtawe włosy. Nosili hełmy zdobne rogami i zbroje z żelaznych lub brązowych łusek. Obwieszani byli licznymi ozdobami ze złota i drogich kamieni.

Canach i inni wstali, ale ich dłonie nie spoczęły na rękojeściach.

— Jesteśmy naczelnikami Cymmerii — rzekł najstarszy Tunog. Jego śnieżnobiałe włosy i broda dziwnie kontrastowały z wymalowaną na niebiesko twarzą.

— Jesteście oddziałem z Aesiru, o którym prawił Conan? — zapytał Canach.

— Tak — odparł przywódca. — Jestem Wulphere, syn Hjalmara i księżę wśród

Garlingasów — to wtedy, kiedy nie jestem wyjęty spod prawa. Teraz za zabójstwo skazano mnie znów na wygnanie. Moi ludzie też są banitami. Większość zostawiłem na skraju waszego obozu.

— Siadajcie — zaprosił Canach, łaskawym gestem wskazując gołą ziemię. —

Uraczylibyśmy was poczęstunkiem, ale przybyliśmy z niewielkimi zapasami.

— My jesteśmy lepiej przygotowani. — Wulphere wyciągnął rękę do jednego ze swoich, a ten podał mu bukłak z winem. Wulphere wznosił go nad głowę i strzyknął winem w usta, po czym wyciągnął bukłak w stronę Cymmerianów.

Canach potrząsnął głową, tak jak i pozostali naczelnicy.

— Dziękujemy, ale nie chcemy, by nasi krewniacy patrzyli na nas pijących, sami nie mogąc tego zrobić.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. W odróżnieniu od swych kuzynów Vanirów, Aesirowie z zasady nie byli wrogo nastawieni do Cymmerianów, walczyli z nimi jedynie od czasu do czasu. Nieraz nawet przez cały rok te dwa ludy żyły ze sobą w pokoju. Odnosili się do siebie z pewną pogardą, ale jednocześnie szanowali waleczność drugiej strony. Aesirowie byli wysocy jak Cymmerianie, ale częstokroć potężniej zbudowani. Jak wszystkie północne ludy byli silni i nieokrzescani, lecz w przeciwieństwie do Cymmerianów lubili spędzać czas na biesiadowaniu, pijatykach i bijatykach. Uwielbiali stroić się w jaskrawe ozdoby, najlepiej ukradzione komuś innemu. Cymmerianie uważali ich za bezwstydną rozpustników. Mieli nawet przysłowie: „Jedyna dobra rzecz w Aesirach i Vanirach polega na tym, że wyrzynają się wzajemnie”. Rzeczywiście, o ile wrogość panującą między Cymmerianami a Vanirami można było określić mianem dzikiego okrucieństwa, to nienawiść między Aesirami a Vanirami była obsesyjnym szaleństwem. Działo się tak niezależnie od tego, że Aesirowie i Vaniorowie wyznawali tych samych bogów, mówili tym samym językiem i mieli prawie identyczne obyczaje. Jedynym zauważalnym, różniącym ich szczegółem był kolor włosów —

Vaniorowie mieli rude, a Aesirowie żółte. Ale prawdę mówiąc nawet cywilizowani ludzie walczą ze sobą z powodu mniej znaczących różnic.

— Czy te demony nawiedziły również wasze ziemie? — zapytał wojownik z wygolonymi skroniami, naczelnik Lachiesh.

— Tak — przyznał Wulphere. — Wiem, że zrównały z ziemią trzy domostwa, wszystkie w sąsiedztwie twego ludu. Z początku niektórzy myśleli, że to wasza robota, ale wkrótce zobaczyliśmy, że to nie Cymmerianie. Jednak do czasu przybycia waszego posłańca nie mieliśmy pojęcia, gdzie szukać zemsty. Gdybyście zaczekali, moglibyście mieć do pomocy cały lud Aesira.

— Wolelibyśmy nie gościć wszystkich Aesirów na naszej ziemi — rzekł Canach z lekkim uśmiechem. — Nawet jako sprzymierzeńców.

— Zatem będziemy walczyć bez względu na to, ilu nas jest. Trzeba zniszczyć wroga i dopełnić zemsty.

Wszyscy skinęli głowami. Wulphere wyrzekł słowa zrozumiałe dla wszystkich ludzi Północy.

NA GÓRZE CROMA

— Dlaczego uwięzili naszych? — zapytał Conan Khitajczyka, który przedzierał się przez zwały śniegu, drepcąc u boku Cymmerianina.

— Ten, kto przygotowuje wielkie czary, być może potrzebuje wielkiej ofiary...

— Jak Vanirowie? — wtrącił Chulainn. — Oni zjednują sobie przychyłość Ymira składając ofiary w świętych gajach.

— Możliwe — rzekł Cha — ale ja myślę o czymś więcej. Nie o zjednywaniu łaski boga, ale o zwiększaniu mocy złego czaru. Ziemia, niebo, gwiazdy, planety, wszystko to podlega dziwnemu porządkowi. Teraz są możliwe liczne czary nie używane od tysięcy lat.

— Nic z tego nie rozumiem — prychnął Conan. — Ale mówisz, że ty też nie.

— Śmiertelnik nigdy nie może niczego wiedzieć na pewno — zgodził się Cha. — Wszystko jest iluzją. Książę Li mówi...

— Dość tych wschodnich bredni! — warknął Conan. — Od tej chwili, jeżeli nie będziesz miał do powiedzenia nic rozumnego, to lepiej trzymaj język za zębami. Obroń nas przed czarami, a my zajmiemy się resztą bez twojej pomocy.

— Nie ufasz mi?

— Nie ufam nikomu, kto twierdzi, że lata na smokach.

Szli dalej, oddychając głęboko rozrzedzonym powietrzem. Conan zauważył, że śnieg zaczyna znikać ze skał, a powietrze staje się coraz cieplejsze. Wkrótce z ich ust i nozdrzy przestały wydobywać się kłęby pary.

— Ociepla się — zauważył.

— Nawet barbarzyńca z Północy potrafi wyciągać słuszne wnioski — zachichotał Cha. —

Czyż nie jestem dobrym nauczycielem, budząc twój głęboko uspiiony umysł?

— Czy twój amulet potrafi uleczyć rozłupaną czaszkę, Khitajczyku? — zapytał Conan, zaciskając potężną dłoń na rękojeści miecza.

— Jesteś prawdziwym barbarzyńcą — burknął Cha. — Znasz jedną odpowiedź na wszystko.

— Czy wszyscy Khitajczycy tak gędzą? — zaciekawił się Chulainn.

— Chyba tak — odparł Conan. — Ludzie mieszkający w miastach mają niewiele do roboty poza gadaniem.

— Przynajmniej my, Khitajczycy, mamy z kim rozmawiać. I to o rzeczach, o których warto.

A o czym rozmawiacie wy, Cymmerianie? O bydle? O śniegu? My...

Conan uciszył go gestem i sykiem. Zatrzymali się w ciszy. Poza niesamowitym, upiornym blaskiem na niebie nie było nic widać, ale z góry napływał nikły jeszcze dźwięk, piekielny chór ochrypłego śpiewu i płaczu, zagłuszany przez głębokie, rytmiczne dudnienie bębnów.

— To brzmi jak lament przeklętych dusz — wyszeptał Chulainn.

— Może właśnie to słyszemy — powiedział Cha.

— Nigdy się nie dowiemy, jeśli nie podejdziemy bliżej — stwierdził Conan.

Ruszyli teraz bardzo ostrożnie, trzymając się najgłębszych cieni. Conan z zadowoleniem zauważył, że Cha porusza się tak samo bezgłośnie jak oni. Khitajczyk był równie wysoki jak cymmeriański dwunastolatek, znajdował się w obcym kraju i zbliżał ku nieznanemu, ale nie wyglądał na przerażonego.

Chulainn zbliżył się do Conana i szepnął:

— Myślę, że niektórzy z cywilizowanych ludzi nie są tacy zniewieściali, jak słyszałem.

Conan jedynie skinął głową.

Jaganath uważnie obejrzał leżącego na zamarznętej ziemi trupa. Ofiarą był bardzo młody człowiek. Jego rysy zastygły w grymasie wściekłości i nienawiści. Miał jeszcze gładkie policzki, czarne włosy i szare oczy, które teraz wpatrywały się w pustkę. Prawą rękę nadal zaciskał na rękojeści długiego, prostego miecza, nieco węższego od broni używanej przez Vanirów. W drugiej ręce trzymał włócznię.

Jaganath spojrział na trzech rannych rozmawiających ze Starkadem. Ludzie ci nie mogli iść dalej.

— I ten jeden chłopak narobił aż tyle szkody? — zapytał mag.

— Mówiłem, że Cymmerianie to dzielni wojownicy — zezłościł się Starkad. — A ten wypełniał misję, która była dlań tak ważna, że wolał spróbować wyciąć sobie drogę przez setkę Vanirów niż uciec, jak uczyniłby każdy rozsądny człowiek.

— Jaką misję?

Starkad w odpowiedzi pochylił się i złapał włócznię. Musiał nastąpić na nadgarstek, by wyrwać ją z

zaciśniętych palców. Jej ostrze pokryte było czerwono-brązowym nalotem.

— Jest brudna — stwierdził Jaganath. — Czy ci Cymmerianie nie czyszczą swojej broni?

— To Krwawa Włócznia. Oznacza wezwanie na zgromadzenie klanów. Gońcy obiegają wszystkie klany i ci, którzy otrzymają włócznie, gromadzą się w miejscu zwanym Polem Naczelników.

— Czyja to krew? — zapytał rzeczowo Jaganath.

— Jeżeli przyczyną wojny jest najazd cudzoziemców, używają krwi swoich ofiar. Kiedy indziej klan, który rozsyła, włócznie, gromadzi swoich wojowników, a oni zacinają się w ramiona i nurzają ostrza we własnej krwi.

— A jaki jest powód tego zgromadzenia?

Starkad popatrzył na trupa.

— On raczej nam tego nie powie, ale wątpię, by przyczyną było nasze wtargnięcie. Nadal jesteśmy daleko od Pola Śmierci, a oni nie mogą wiedzieć, dokąd zmierzamy. By zaatakować oddział złożony z setki ludzi, czarnowłosi wysłaliby najwyżej wojowników jednego klanu.

Musi grozić im coś o wiele bardziej poważnego, może kolejna napaść z Aquilonii.

— Jeżeli jest tak, jak mówisz — zaczął jeden z Vanirów; z kudłów jego rudej brody dobywały się kłęby pary — tedy mogą być zbyt zajęci, by nas niepokoić.

Inni jednomyślnie pokiwali głowami.

— I ja mam taką nadzieję. — Starkad uśmiechnął się. — Ponadto są wzywani z miejsca leżącego daleko stąd.

— Skąd wiesz?

— Krew na włóczni ma trzy, może cztery dni. Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział, jaki szmat drogi potrafią pokonać te górskie kozły w ciągu trzech dni.

— My również mamy gońców w górach Vendhii. Biorąc pod uwagę okoliczności, chyba teraz ochranianie nas nie wygląda na zbyt uciążliwy obowiązek, prawda? — Mag uśmiechnął się sarkastycznie.

— Nigdy nie baliśmy się trudów — warknął Starkad. — Ale kto pragnie ciężkiej walki, jeżeli nie jest ona konieczna?

— Myślałem, że wy, Vanirowie, lubicie walczyć — wtrącił Gopal.

— W imię honoru, tak — Starkad wzruszył ramionami — albo w imię zemsty, albo dla rozrywki. Ale kiedy chodzi o złoto, wolimy zdobywać je bez walki. Sława żyje nawet po śmierci wojownika i jest warta ran czy umierania. Złoto przemija. Może być warte ryzyka, ale tylko głupiec chce za nie umierać.

— Ho ho, barbarzyńcy z Północy stali się filozofami — zdumiał się Jaganath. — Zaprawdę, nastał nam wiek cudów!

Dwaj Cymmerianie i jeden Khitajczyk leżeli na skalistym zrębie i zerkali w ogromną jamę, w której pulsowało piekielne światło. Tylko czubki głów i oczy wystawały nad krawędzią dziury. Nad nimi, wysoko na wschodniej ścianie góry, ciemniało wejście do olbrzymiej groty zwanej Domem Croma. Conan widział ją tylko raz, jako młody wojownik, kiedy klan przybył

na Pole Śmierci pochować starego Canacha, który zginął pod Venerium. W tym czasie nie było dołu, do którego teraz zaglądali.

Dudnienie bębnow, wrzaski i jęki składały się na hałas nie do zniesienia. W jamie kłębiła się mgła i para, z której od czasu do czasu wystrzeliwały języki nienaturalnego, bezdymnego ognia. We mgle majaczyły niewyraźne kształty, niektóre ludzkie, inne powykrzywiane, skulone, powłóczące nogami, jakby niezdolne oddychać czystym, górskim powietrzem.

— Skąd biorą się te płomienie? — zapytał szeptem Conan.

— To płonące gazy — objaśnił Cha. — Pochodzą z wnętrza ziemi i są jak oddech

khitajskich smoków. Znam miejsce, gdzie wydobywają się na brzegu morza, a wieśniacy używają ich do odparowywania morskiej wody. W ten sposób uzyskują sól.

— Tutaj nikt nie robi soli.

— Niebo rozjaśnia się — wtrącił Chulainn. — Musimy znaleźć sobie kryjówkę, bo nas dostrzegą.

Conan spojrział na szczyt Ben Morgh. W lodzie, który wieńczył wierzchołek, odbijały się pierwsze promienie wschodzącego słońca. Z powrotem zajrzał do jamy.

— Chcę lepiej przyjrzeć się tym stworom.

— Twój przyjaciel ma rację — Cha poparł Chulainna. — Lepiej odejdzmy stąd. Wrócimy o zmroku.

— Jeszcze chwilę. — Spokojny ton Conana maskował wewnętrzne przerażenie, jakie odczuwał zawsze w obecności czarów. — Tylko rzucę okiem. Jak mamy walczyć z tym, czego nie znamy?

I wtedy usłyszeli nowy dźwięk, o wiele niższy od dudnienia bębnow. Wiedzieli, że jego źródłem nie może być żaden instrument, ale raczej jakiś ogromny, niewyobrażalny potwór kryjący się we mgle. Przez chwilę, dzięki nowemu wybuchowi nienaturalnych płomieni, widzieli przerażający zarys stworzenia tak olbrzymiego, że umysł wzbraniał się przed przyjęciem go do wiadomości. Raptem rozbrzmiał potwornie niski głos, słyszalny bardziej w trzewiach niż uszach i wypowiadający dziwne,

lecz niewątpliwie ludzkie słowa.

— Chodźmy stąd, Conanie — przynaglił Chulainn z lekkim drzeniem w głosie.

— To chyba dobry pomysł... ale czekaj. — Conan wzniosł rękę, by jeszcze na chwilę powstrzymać towarzyszy.

Potworny kształt zniknął z pola widzenia, a płomienie stopniowo zniżały się, jakby piekielne ognie wygasaly. Pełne udręki zawrodozenie zamierało i nikło w oddali. Mroczne postacie już nie poruszały się we mgle. Na koniec umilkło bębnienie. Cichło stopniowo, by urwać się nagle w połowie uderzenia. Na dole zapadła cisza. Lekki podmuch zaczął rwać mgłę na strzępy, a promienie słońca oświetliły jamę. Nie było w niej nikogo, żadnych istot ludzkich czy nieludzkich, żywych lub martwych. Skaliste podłoże pokrywały niesamowite, odrażające rzeźby, ale nigdzie nie było otworu, który wskazywałby jak i gdzie zniknęły rojące się w jamie stwory.

— Teraz możemy iść — zdecydował Conan.

Pełzli na brzuchach, dopóki nie znaleźli się w znacznej odległości od jamy, na dnie wąskiego, skalistego wąwozu, podobnego do setek innych rozchodzących się promieniście od szczytu Ben Morgh. Schodzili nim, póki nie znaleźli małej groty.

Wyrwali kilka krzaków i zamietli ślady, które mogłyby naprowadzić kogoś na trop ich kryjówki, a potem zamaskowali nimi wejście do jaskini.

— Powiedz nam, wielki magiku — zagadnął Conan. — Co widzieliśmy? Co to było?

Khitajczyk siedział z zamkniętymi oczami, mamrocząc coś do siebie. Wreszcie podniósł głowę i wyrwał się z transu.

— Myślę, że to dziwo z najbardziej starożytnych legend. Pochodzi z czasów, gdy nie istniała Księga ze Skelos, a Acheron nie został jeszcze zniszczony... — Starzec potrząsnął

głową. — Nie, w porównaniu z tym, co widzieliśmy w jamie, Acheron to imperium, prawie współczesne.

— Zatem zobaczyłeś więcej niż ja — rzucił sucho Conan — bowiem ja nie dostrzegłem niczego prócz mgły i płomieni. Słyszałem też jakieś piekielne dźwięki, jakich wolałbym już nigdy nie słyszeć.

— Nie masz oczu maga. Ja widzę więcej niż ty, słyszę więcej i rozumiem więcej. —

Khitajczyk zreflektował się, porzucił mało zrozumiałą paplaninę i zaczął mówić bardziej jasno: — Ten stwór istniał zanim Atlantyda wyłoniła się z morza. Ziemia jest starsza, niż się wydaje wszystkim filozofom, lecz to coś z jamy jest jeszcze starsze. Wiele razy czarnoksiężnicy wypędzali je w przepaść ziejącą poza czasem i przestrzenią, w przepaść, która TO zrodziła, ale zawsze zło znajdowało sposób, by powrócić. Najczęściej wzywała je arogancka ambicja głupich magów, marzących o absolutnej władzy.

— A dokąd to poszło po wschodzie słońca?

— Na dół. Ma na swe usługi stworzenia podziemnego świata, one wyrębały tunele wiodące na powierzchnię oraz tę jamę. Stwory te potrafią zamykać owe korytarze tak sprytnie, że zwyczajny człowiek ich nie znajdzie.

— Ile czasu zostało do równonocy?

— Sześć dni.

— Jak mógłbym zejść do tych tuneli? — zapytał Chulainn. — Muszę znaleźć Bronwith, może jeszcze żyje.

Khitajczyk przeniósł zdumione spojrzenie z jednego Cymmerianina na drugiego.

— Naprawdę chcecie to zrobić? — Widząc ich kamienne oblicza, zaczął chichotać jak szaleniec. — Gdybym wiedział, że wy, barbarzyńcy, jesteście tacy zabawni, przybyłbym tu dawno temu!

W DOMU CZARNOKSIĘŻNIKA

Przez jeden dzień i jedną noc Hathor–Ka zajęta była odprawianiem długiego i

wymagającego największej uwagi rytuału. Gwiazda Demona po raz pierwszy od upadku Pytona, co wydarzyło się trzy tysiące lat temu, znajdowała się w oku konstelacji zwanej Wężem. Wówczas ten układ zbiegł się ze zniszczeniem straszego cesarstwa Acheronu przez barbarzyńskich Hyborian. Teraz Hathor–Ka zamierzała wykorzystać nadarzącą się okazję do sprowadzenia równie brzemiennej w skutki zmiany w porządku świata.

Tylko najbliżsi z akolitów asystowali jej w czasie obrzędu. Mniej doświadczeni mogliby zostać zabici albo doprowadzeni do obłądu przez czarodziejskie moce uwolnione w świątyni.

Nawet wierny Moulay został na zewnątrz, trzymając straż u wrót.

Ściany i podłogę świątyni pokrywały zawiłe hieroglify, a powietrze było gęste od kadzidła.

Hathor–Ka śpiewała przeszywającym głosem w języku, który nigdy nie był ludzką mową.

Czerwone strumienie krwi spływały z ołtarza na dłonie, nagie ramiona, ciężką szatę Hathor–

Ka i marmurową posadzkę. Za plecami swej pani akolici nucili monotonie i grali na osobliwych instrumentach, lecz powstające przy tym dźwięki mało przypominały muzykę.

Nad ołtarzem falowała chmura, tworząca migoczącą, niespokojną zasłonę. Na chwilę rozstąpiła się ona, odsłaniając przerażającą otchłań, której umysł zwykłego człowieka nie potrafiłby objąć nie popadając w obłąd. Stopniowo w polu widzenia pojawił się okropny kształt. Na tle pustki nie można było ocenić jego rozmiarów, ale sprawiał wrażenie przytłaczająco ogromnego. Jego kolor wymykał się ludzkiemu postrzeganiu, a zmienny kształt świadczył, że stwór nie pochodzi z dostępnego człowiekowi wąskiego pasma czasu i przestrzeni.

Kreatura zbliżyła się do utworzonych przez Hathor–Ka magicznych wrót łączących dwa światy, a wówczas głos czarodziejki przybrał na sile. Jej twarz była niewzruszona, ale spod diademu spływały strumienie potu, zalewając jej twarz. Akolici, aczkolwiek ogromnie przerażeni, nie zaprzestali swych czynności.

Istota wezwana przez czary Hathor–Ka wyciągnęła śluzową mackę, która przebiła zasłonę mgły. W jednej chwili świątynię przepełnił smród tak ohydny, że akolici musieli zebrać wszystkie siły, by nadal wykonywać zadanie.

Na macce znajdowały się szczęki i ssawki wyposażone w rzędy ostrych zębów. Mimo że macka usiana była błyszczącymi ślepiami, macała na oślep, zatrzymując się na niewidocznej barierze, gdy napotykała rzędy hieroglifów otaczających ołtarz. W końcu natrafiła na jeden ze strumieni krwi spływających z ołtarza i podążyła wzdłuż niego. Zza mgły wyłoniły się dalsze kończyny. Pożeraniu

ofiary towarzyszyły ohydne dźwięki.

Pieśń Hathor–Ka zmieniła ton i macki cofnęły się, nie zostawiając śladu po ofierze. Zza kurtyny mgły dobiegł głęboki, rytmiczny dźwięk, łączący się z inkantacją czarodziejki i akolitów. Powoli stwór wycofał się w otchłań, która go zrodziła. Wrota zamknęły się i znikły.

Hathor–Ka opuściła ramiona, zachwiała się i nieomal upadła, ale podtrzymały ją silne ramiona Sen–Muta.

— Musisz odpocząć, pani. Nawet najsilniejszy z magów byłby wyczerpany.

— Odpocznę, Sen–Mucie — wyszeptała, wyczerpana jak nigdy w życiu. — Oczyszćcie

świątynię oraz schowajcie w bezpiecznym miejscu księgi i papirusy. Podwójcie strażę, teraz istnieje wielkie niebezpieczeństwo ujawnienia moich planów.

— Jak każesz, pani.

Hathor–Ka udała się do swoich komnat, by wykapać się i odpocząć.

Z głębokiego snu wyrwało ją delikatne potrząsanie za ramię. Otworzyła oczy i zobaczyła stojącego obok łoża Moulaya.

— Pani, musisz wstać. Twój dom został obrabowany.

— Co?! — Odrzuciła jedwabną narzutę i podniosła się z łoża stojącego na podeście rzeźbionym w podobizny zwiniętych węzów. Zeszła po szerokich stopniach i podeszła do małego stołu. — Mów natychmiast, co się stało! — Podniosła dzban, który zawierał napar ziołowy. Była to mikstura, mająca pomóc w zwalczeniu osłabienia.

— Ktoś wdarł się do krypty pod świątynią, w której trzymałaś swe czarnoksiężskie księgi i instrumenty. Jeden z moich wartowników, przechodząc obok wejścia, poczuł zapach krwi.

Pobiegł po mnie, bowiem jemu nie wolno wchodzić do świątyni. Zajrzałem do krypty i zobaczyłem trupy. Nawet ja nie śmiałem tam wejść, poszedłem więc zbudzić ciebie.

Jego pani pośpiesznie wybiegła z komnaty. Zeszła do krypty za akolita, który niósł latarnię.

Za nimi podążał Moulay z wyciągniętym mieczem.

— Gdzie jest Sen–Mut? — zapytała.

— Był w krypcie, pani — odparł akolita, którego ręka trzymająca latarnię drżała lekko. —

On i trzech innych pełnili drugą wartę. Sen–Mut z niezwykłą gorliwością przystąpił do pilnowania twej własności.

— Jak to? — zapytała Hathor–Ka marszcząc brwi.

— Przypasał miecz, a nie robił tego nigdy wcześniej. Akolita ostrożnie wszedł do krypty.

Latarnia oświetliła upiorną scenę. Zobaczyli trzy ciała, krew zalewała posadzkę. Jedna blada ręka wskazywała na sprośną statuetkę stojącą w niszy.

Moulay nogą odwrócił dwa trupy.

— Poderżnięte gardła. Szybka robota. Zostali zupełnie zaskoczeni. Założę się, że zabójca wraził ostrze w gardło trzeciego, nim pierwszy zdążył osunąć się na ziemię.

Żadne z ciał nie należało do Sen–Muta. Hathor–Ka minęła trupa wskazującego ręką na niszę. Spojrzała na akolitę.

— Zostaw latarnię i odejdz. Nie mów nic innym, dopóki nie wrócę.

Kiedy akolita wyszedł, czarodziejka pewnym ruchem przekręciła wynaturzoną narośl na rzeźbie. Fragment ściany odsunął się, odsłaniając mroczny tunel.

— Tędy uciekł. Ta krypta była grobem wielkiego kapłana, nim moja rodzina wybudowała nad nią świątynię i pałac. Ten tunel wykopali przed wiekami złodzieje okradający groby.

Wychodzi on na pola niedaleko rzeki, pod małą kaplicą. Jeden z moich przodków zamaskował oba wejścia i zachował tunel jako drogę ucieczki na wypadek niebezpieczeństwa.

— Skąd wiedział o nim Sen–Mut?

— Ten sekret nigdy nie opuścił mojej rodziny. Widocznie zdradził mu go Thoth–Amon.

Dzięki swej magii odkrył przejście i przekupił jednego z kapłanów... — Hathor–Ka była blada i trzęsła się z furii. Moulay nigdy wcześniej nie widział swej pani w stanie takiego rozdrażnienia. — Jak długo? Od jak dawna Thoth–Amon posiadał dostęp do mego domu?

— Dlaczego sam nie przyszedł?

— Wystawiłam warty, których ani on, ani jego słudzy nie zdołaliby minąć. Ale żaden z nich nie powstrzymałby mojego sługi od swobodnego odejścia z ukradzionymi dobrami.

— Co zabrał?

— Musisz pytać? Fragment Skelos, oczywiście. Może zabrał i inne rzeczy, ale ta jest najważniejsza. Muszę ją odzyskać.

— Czy naprawdę warto zadawać sobie aż tyle trudu?

— Tak. Ten fragment nie jest szkolną lekcją, którą można zapamiętać i powtórzyć na żądanie. Posiadanie takiej rzeczy zwielokrotnia siłę czarnoksiężnika. Dlatego też wielkie księgi czarów są tak cenne, podczas gdy późniejsze kopie z tym samym tekstem daleko mniej

— przesunęła narośl na rzeźbie i zamknęła korytarz. — Rano każę niewolnikom zasypać tunel kamieniami. A ty zbierz swoich najlepszych ludzi pustyni. Nocą złożymy wizytę Thoth-

Amonowi.

Przez resztę nocy i przedpołudnie Hathor-Ka odpoczywała. Potem zaczęła przygotowania.

Za pomocą tajemnych mikstur i czarów wzmocniła się, gromadząc siły i zwiększając swą wytrzymałość przed nocną wyprawą. Miała za to drogo zapłacić w najbliższej przyszłości, ale stawka była tak wysoka, że czekający ją ból i wyczerpanie teraz nie miały znaczenia.

Przygotowała czarodziejski kryształ i kości, przestudiowała tajemne zaklęcia, których samo czytanie mroziło powietrze. Gdy słońce zniżyło się, wyszła na dziedziniec, gdzie czekali ludzie pustyni.

Moulay wybrał dwunastu wojowników, pochodzących z jego szczepu i fanatycznie

oddanych Hathor-Ka. Każdy miał na głowie kaptur i chustę, znad której widać było jedynie złowrogie oczy. Ubrani byli w dopasowane spodnie, luźne tuniki i obszerne płaszcze, zafarbowane na kolor szary i brązowy, doskonale zlewający się z pustynią. Pod tunikami mieli kolczugi naszyte na jedwabne kaftany, zapobiegające szczekaniu ogniwek. Na ich uzbrojenie składały się miecze, sztylety i krótkie łuki. W czarnych oczach połyskiwał zapał.

Ludzie Moulaya byli urodzonymi jeźdźcami i mieli dość nudnego pilnowania świątyni.

— Wszystko przygotowane, pani — oznajmił Moulay. Chłopcy stajenni przywiedli

wierzchowce, które dla zachowania ciszy miały kopyta owinięte surową skórą i uździenice ze sznura.

Hathor-Ka kazała wsiadać na koń.

— Pojedziemy przez wschodnią skarpe — oznajmiła. — Nim księżyc wzniesie się nad rzeką, powinniśmy przybyć do sfinksa króla Rahotepa. Tam zostawimy konie i dalej ruszymy pieszo. Kiedy dotrzemy do domu Thoth-Amona, musicie nade wszystko pamiętać o dwóch rzeczach. Po pierwsze: nikt nie może zrobić krzywdy Thoth-Amonowi, po drugie: chcę dostać żywcem tego zdrajcę Sen-Muta!

Minęli cwałem bramę i ruszyli w kierunku wysokiej skarpy, która oddzielała dolinę Styksu od położonej wyżej pustyni. Wieśniacy z motykami na ramionach, ociążalym krokiem wracający do chałup, spoglądali ciekawie na przemyskających w mroku jeźdźców. W Stygii rzadko używano koni, najczęściej podróżowano na pieszo lub łodziami.

Stroma droga, przed wiekami wycięta w skale, umożliwiała szybkie przerzucanie żołnierzy nad rzeki do nadgranicznych fortów. Obecnie, od tej strony, Stygii nie groziło żadne niebezpieczeństwo, ale obowiązkiem Hathor–Ka, jako właścicielki włości przylegających do granicy, było utrzymywanie drogi w dobrym stanie.

Pustynia w tej części była niezamieszкана, jednakże gdzieś tam zachowały się ruiny starożytnych warowni, świątyń wzniesionych dawno zapomnianym bogom, chat nieżyjących od dawna pustelników oraz zagadkowe rzeźby i monumenty, które stały w każdym zakątku Stygii. Mimo iż ludność skupiona była w wąskim pasie wzdłuż brzegów wielkiej rzeki, kapłani i królowie uznawali za konieczne stawianie swoich znaków wszędzie tam, dokąd sięgała ich władza.

Moulay jechał na czele małej grupy, bezbłędnie znajdując drogę, podczas gdy Hathor–Ka rozglądała się w poszukiwaniu latających sług swego rywala. Gdyby dostrzegła jakiegoś stwora ze skrzydłami nietoperza, miała w pogotowiu czar, który albo uczyniłby ich niewidzialnymi, albo ściągnął straszdyło w dół i roztrzaskał je o kamienie pustyni. Spożyte przez Hathor–Ka mikstury sprawiały, że jej wzrok sięgał dalej niż oczy zwykłego śmiertelnika, a wszystko, na co patrzyła, skąpane było w migoczącym, srebrnym świetle.

Po pewnym czasie na tle rozgwieżdżonego nieba zarysowała się ogromna sylwetka sfinksa króla Rahotepa. Jeźdźcy zostawili konie w najgłębszym mroku między potężnymi łapami.

Nikt nie wiedział, w jakim celu kolos ów został wykuty z jednej bryły piaskowca. Był tak stary, że obecnie pamiętano jedynie imię Rahotepa i tylko gdzieś tam napotymano wzmianki, że parał się on czarną magią w jej najbardziej odrażających postaciach. Dumna twarz króla–czarnoksiężnika, wznosząca się nad cielskiem lwa ze smoczymi skrzydłami, tak jak przed wiekami wpatrywała się w pustynię.

— Nie widziałam w czasie jazdy żadnych obserwatorów — rzekła Hathor–Ka.

— Na pustyni nie było nikogo — dodał Moulay.

Hathor–Ka zdjęła suknię i schowała ją do sakwy przy siodle. Pod spodem miała strój podobny do tego, jaki mieli na sobie mężczyźni, tylko że jej uszyty był ze świętego, czarnego jedwabiu. Nie miała kolczugi i nie nosiła broni, ale z jej ramienia zwieszał się worek z czarnoksiężskimi talizmanami o wielkiej mocy.

Nim wyruszyli, Moulay nakazał dwóm ludziom osłaniać boki, a trzeciemu podążać o sto kroków z przodu. Potem ruszyli. Mężczyźni żuli płatki i liście błękitnego lotosu, by zwiększyć swą siłę i wytrzymałość. Niezmordowanie pokonując milę za milą dotarli do szczytu wzniesienia górującego nad małą oazą. Nad ciemnym stawem stał zwalisty dom otoczony wysokim murem.

— Straże? — zapytała szeptem Hathor–Ka.

— Widzę trzech na murze — odparł Moulay.

Jeden z jego ludzi zbliżył się i wskazał ruch na północ od domu.

— Patrol — zameldował. — Przejadą niedaleko stąd.

— Zatem możemy się z nimi rozprawić — stwierdził Moulay — i niepostrzeżenie dostać na mury. Znasz drogę do domu, pani?

— Mam tam szpiega od lat, a teraz dowiem się, czy nie przysyłał mi fałszywych wiadomości.

— Wydaj nam rozkazy, pani, a wykonamy je z radością.

— Najpierw wybijcie patrol. Potem podsadźcie mnie na mur. Jedno spojrzenie powinno mi powiedzieć, czy moja wiedza jest prawdziwa. Wtedy wydam ci dalsze rozkazy.

Moulay i kilku innych, trzymając się cieni rzucanych przez skały i krzaki, niezauważalnie podczołgali się w pobliże szlaku, którym podążali strażnicy Thoth–Amona. Rozległo się ciche poskrzypywanie uprzęży. Ludzie Moulaya przygotowali sztylety i łuki.

Człapanie koni po chwili ucichło. Dowódca straży niespokojnie pokręcił głową, nie całkiem ludzką, sądząc z kształtu hełmu. Wydał głośny syk, lecz w chwilę później wokół jego szyi owinęła się cienka linka. Pozostałych strażników spotkał ten sam los — jeden człowiek Moulaya dławił jeźdźca cięciwą, a drugi wypruwał mu flaki zakrzywionym sztyletem.

Odgłosy szamotaniny były ciche i trwały krótko.

Gdy mężczyźni ocierali broń, Hathor–Ka podeszła bliżej, by przyrzeć się zabitym.

— Ludzie–jaszczury z wysp leżących na wschód od starożytnej Lemurii. Thoth–Amon szeroko rozciągnął swoją władzę.

Cicho, z niesamowitą szybkością, zbliżyli się do muru domostwa. Strażnicy na jego szczycie nie zdawali sobie sprawy z niedawnej rzezi i rozmawiali. Jeden z ludzi Moulaya opadł na ręce i kolana tuż przy murze, drugi stanął mu na plecach, tyłem do ściany, i splótł

dłonie. Trzeci stanął na splecionych dłoniach, a wtedy drugi wybił go w górę. W ten sposób sześciu ludzi, bezszelestnie i niezauważalnie, znalazło się na szczycie. W chwilę później jeden z nich skinął na czekających na dole. Gdy ci wspięli się na mur, zobaczyli martwych strażników. Tym razem ludzi.

Hathor–Ka zmrużyła oczy i rozejrzała się po dziedzińcu. W zasięgu wzroku nie było innych wartowników, ale to wcale nie musiało oznaczać, że dom nie jest strzeżony. Dzięki wzmocnionej sile widzenia dostrzegła wyrysowany na ziemi krąg hieroglifów, otaczających cały dom i żarzących się zielonkawym światłem.

— Trzymajcie się tuż za mną — rozkazała. Wojownicy zeszli z muru i podążyli posłusznie za Hathor–Ka. Na jej znak zatrzymali się obok magicznej bariery.

— Nie wolno wam przerwać magicznego kręgu.

Moulay skinął głową, chociaż nie widział tego, co wskazywała jego pani.

Hathor–Ka ustawiła mężczyzn w zwartej grupie i z sakwy wyjęła krótką różdżkę. Nakreśliła krąg podobnych znaków otaczający swoich ludzi i łączący się z wielkim kręgiem wokół

domu. Kiedy drugi krąg został zakończony, wymazała runy z części pierwszego kręgu i wprowadziła wojowników za magiczną barierę. Obejrzała się. Krąg, choć nierówny, uwypuklony przez dodatkową pętlę, nadal jarzył się zielonkawą poświatą.

Wielkie drzwi frontowe stały otworem. Thoth–Amon najwidoczniej zawierzył swoim ludzkim, nieludzkim i czarnoksięskim obrońcom. W domu panowała cisza, jedynie mała fontanna szemrała w westybulu. Ani jedna świeca, ani lampa nie rozjaśniała mroku i Hathor–

Ka wymruczała stosowne zaklęcie. Ona widziała w ciemności, ale jej ludzie potrzebowali światła. Nad jej głową pojawił się świetlisty punkt, który rozrósł się w żarzącą łagodnie kulę.

Gdy ta wzniosła się pod sufit, magiczny blask ujawnił dziwaczne freski przedstawiające obce światy i zamieszkujące je istoty.

Otwarte drzwi przed nimi tworzyły prostokąt czerni. Hathor–Ka minęła fontannę i weszła do pomieszczenia. Dała znak pozostałym, by się zatrzymali. Pod przeciwległą ścianą, na tronie stojącym na niskim podeście, siedział Thoth–Amon. Dumnego maga spowijała czarna szata, spod której wyłaniała się jedynie ascetyczna, wygolona głowa i pomarszczone dłonie.

— Tego szukasz, Hathor–Ka? — zapytał czarnoksiężnik, podnosząc ogromny, wystrzępiony arkusz pergaminu.

— Wiesz dobrze, że tak. Oddaj mi go, a będzie tak, jakby nic nie zaszło między nami.

— Nie przerzucajmy się słowami, Hathor–Ka. Czy nakłaniałbym twego kapłana do zdrady i ujawniał swą wiedzę o tajnym tunelu, gdybym zamierzał oddać ci to, co zabrałem?

— Nie. Ale nie mówiłbyś w taki sposób, gdybyś nie miał zamiaru się potargować. Wymień swoją cenę.

— To prawda. Pamiętaj jednak, iż dostałaś się do mego domu tak łatwo tylko dlatego, że ci na to pozwoliłem. Nie podam ci jednak ceny, a zaproponuję przymierze.

— Przymierze? — powtórzyła podejrzliwie. — Dlaczego miałabym chcieć się z tobą sprzymierzać?

— Bowiem inaczej nie będziesz miała najmniejszych szans, by stać się największym magiem. — Thoth–Amon raz jeszcze podniósł pergamin. — Jest bezużyteczny bez pełnego tekstu Wielkiego Wezwania Mocy.

— Przecież władam tym czarem! — zawołała Hathor–Ka.

— Nie. Tylko dwaj czarnoksiężnicy posiadają pełną wiedzę o tym największym z zaklęć. Ja jestem jednym. Drugim jest Vendhianin, Jaganath. Dziewięciu innych posiada niekompletne wersje, a ty dowiedziałaś się o jednej z nich od Khepteh–Sebeka, którego uwiodłaś, a następnie zamordowałaś.

Hathor–Ka spojrzała nań z wściekłością, ale nie próbowała odeprzeć oskarżenia.

— Twoje wysiłki poszły na marne — kontynuował Thoth–Amon. — W tej wersji brakuje sześciu linijek, wraz z pięcioma ważnymi gestami. Wypróbowanie tego czaru w wielką koniunkcję zaowocowałyby jedynie śmiercią w niezrównanych męczarniach. Na Ojca Seta, przysięgam, że to prawda.

— Co zatem proponujesz?

— Powiem ci, jak powinien przebiegać właściwy rytuał Wielkiego Wezwania. Kiedy dzięki czarowi wezwania przybędziesz na Ben Morgh, zabierzesz z sobą mego ducha. Gdy

ceremonia zostanie zakończona, oboje staniemy się równie potężni i będziemy władać razem.

— Nie ufaj mu, pani — syknął Moulay. — Skoro on zna ten czar i treść brakującego fragmentu, dlaczego sam nie chce go dopełnić i stać się jedynym władcą?

— Ponieważ w żaden sposób nie zdoła dotrzeć na Ben Morgh przed zrównaniem — odparła Hathor–Ka. — Gdyby jako pierwszy znalazł ten fragment Skelos, nie targowałby się teraz ze mną.

— Przyjmujesz warunki? — zapytał Thoth–Amon.

Czarodziejka rozważyła wszelkie możliwości. Bez prawdziwego Wezwania czekała ją okrutna śmierć. A jeżeli Thoth–Amon nauczy ją fałszywego czaru? To by mu nic nie dało, oznaczałoby jedynie, że największym magiem zostanie Jaganath. Poza tym, było jeszcze dość czasu, by zdradzić Thoth–Amona.

— Przyjmuję. Ale chcę tego zdrajcę, Sen–Muta.

— Zgoda. Już go nie potrzebuję. Mógłby zdradzić mnie równie łatwo, jak ciebie. — Thoth–

Amon skinął ręką i do komnaty weszli dwaj słudzy, prowadzący między sobą Sen–Muta.

Hathor–Ka wlepiła w akolitę gadzi wzrok, a on skurczył się pod wpływem jej pełnego nienawiści spojrzenia.

— Trzeba dopełnić pewnej ceremonii, która wymaga ofiary. Doskonale się nadasz, Sen–Mucie.

Kapłan zaczął wrzeszczeć jak obłąkany, a jego oczy nieomal wyskoczyły mu z orbit, gdy zrozumiał, o co chodzi. Słudzy ujęli go krzepko i wywlekli z komnaty.

XII

W JASKINI DEMONÓW

— Musi tu być jakaś dziura — mruczał Chulainn.

Słońce stało już dość wysoko na niebie, gdy zaczęli przeczesywać dziwną jamę w poszukiwaniu wejścia do podziemnego legowiska widzianych wcześniej diabelskich istot.

Conan na próżno ostukiwał skałę głowicą tasaka. Cha oglądał dziwne i groteskowe rzeźby rozrzucone na dnie jamy. Niektóre wykuto z naturalnej skały, inne uformowane były ze stopionych kamieni. Jeszcze inne różniły się od skał występujących w okolicy i wyglądały tak, jakby wyrosły na dnie jamy.

— Khitajczyku! — zawołał Conan. — Pomóż nam znaleźć wejście. Dzieła sztuki możesz sobie podziwiać później.

— Jesteś zbyt niecierpliwy. Przyjrzyj się! To wielce interesujące. Może już nigdy nie będziesz miał okazji zobaczyć czegoś takiego. — Kopnął lekko jeden z tworów

przypominających gąbczastą skałę. — Ten nie pochodzi z tego świata, a z pustych przestrzeni rozciągających się między naszymi planetami.

Conan, który nie bardzo wiedział, co to jest planeta, nie okazał należytego podziwu.

— Nie ma czasu. Musimy wejść w te tunele, odszukać uwięzionych i wyjść przed zachodem słońca, nim te dziwolągi znów wyleżą na ziemię.

Khitajczyk obszedł jamę, przypatrując się jej ścianom i uważnie oglądając dno.

— Nie tędy droga — oznajmił w końcu. — Chyba wiem, jak to robią, ale my nie możemy skorzystać z ich sposobu. Chodźmy wyżej, do jaskini Croma, tam znajdziemy wejście.

Chulainn potrząsnął głową.

— Do jaskini Croma mogą wchodzić tylko najwięksi wodzowie i tylko w czasie największych świąt. Nie chcemy narazić się na gniew boga.

Conan popatrzył na bruzdy wyłobione w żwirze i ziemi, przed jaskinią Croma.

— Ostatnio miał on tylu gości — zapewnił Cha — że z pewnością nie zauważy dwóch niedomytych barbarzyńców i jednego niepozornego Khitajczyka.

Poprowadził ich ku jaskini boga. We wnętrzu panował straszliwy smród i wszędzie piętrzyły się stosy odpadków, jak w obozowisku zbójckiej bandy. Cymmerianom ściągnęły się twarze na widok

takiej profanacji, ale nie rzekli ani słowa. Conan rozrucił stos nadpalonego drewna i odkrył kilka ogryzionych do czysta ludzkich kości.

Weszli głębiej, tam, gdzie ledwo docierało światło słońca. Przed nimi otworzyła się ogromna komora, której strop niknął w mroku. Na środku spoczywał niewyobrażalnie wielki blok skalny. Dostrzegli, że dolna część jest wyrzeźbiona na podobieństwo ogromnych stóp.

Gdy ich oczy przyzwyczyły się do mroku, zobaczyli, że stopy przechodzą w golenie, golenie w uda, a uda w tułów kolosa siedzącego na tronie. Sięgali wzrokiem jedynie do jego piersi, głowa ginęła w ciemności.

— To Crom — rzekł z nabożną czcią Conan. — Nigdzie indziej nie zobaczysz jego podobizny. Nie wiadomo, kto go wyrzeźbił, bowiem mój lud nie para się tą sztuką.

— Kiedyś było inaczej — wyszeptał Cha. — Twój lud jest bardziej starożytny, niż sobie wyobrażasz, Conanie. Nie zawsze byliście dzikusami żyjącymi w surowych górach.

Chulainn gapił się w górę pełen podziwu i lęku, przytłoczony posępnym majestatem swego boga. Potem zniżył wzrok i zobaczył wielką szczelinę otwierającą się w skale tuż przed ogromnymi stopami posągu. Wskazał na nią i zawołał:

— A to co? Naczelnicy nigdy nie wspominali o jaskini u stóp Cromu.

— Bo żadnej nie było — rzekł Conan, podchodząc bliżej. — Na Mitrę! Wycięli schody do swego podziemnego leża!

Cha przyjrzał się opadającym w ciemność stopniom.

— Nie, wycięli je od swych legowisk. Popatrz na ślady narzędzi.

Cymmerianie nie znali się na ciosaniu kamieni, więc na wiarę przyjęli słowa Cha.

— Zbierz trochę drewna i krzaków — nakazał Conan Chulainnowi. — Będziemy potrzebowali pochodni.

Pozbierali odpadki i powiązawszy je witkami sklecieli łuczywa.

— Musieli zabrać jeńców na dół — rzekł Conan, wyjmując krzemień z sakwy.

— Ja zapalę — powstrzymał go Cha.

Cymmerianie spodziewali się, że mag wyrecytuje zaklęcie, lecz Cha wyciągnął z fałd łachmanów dziwne urządzenie ze stali i kamienia, z małą czarką, w której znajdowała się nasączona oliwą hubka. Napiął sprężynę i pstryknął kilka razy, krzesząc iskry, póki hubka nie zajęła się płomieniem.

— Musimy być ostrożni z używaniem magii — wyjaśnił. — Być może te stwory wyczują naszą obecność, jeżeli zakłócimy eter czarami.

Conan wszedł na schody i ciepły, smrodliwy podmuch z wnętrza ziemi zachwiał

plomieniem jego łuczywa. Z głębi ziemi dobiegał niski pomruk, przypominający sapanie jakiegoś kolosalnego zwierza. Cymmerianie nie zdejmowali dłoni z rękojeści mieczy. Cha bezszelestnie podążał za barbarzyńcami. Stopnie były nie tylko szerokie, ale i wysokie, jakby wykuto je dla istot większych od ludzi.

W miarę obniżania w jaskini stawało się coraz cieplej. U stóp stromych schodów znaleźli długi tunel o gładkich ścianach, który nadal opadał w dół, ale pod łagodniejszym kątem. Cha zawołał, by zatrzymali się na chwilę, i uważnie przyjrzał się ścianom. Okrywały je cienkie jak włos porosty. Potrząsnął głową.

— To przejście jest bardzo, bardzo stare. Nie jak te schody wiodące na górę.

Ruszyli dalej. Po pewnym czasie zaczęli napotykać mniejsze boczne tunele.

— Trzymajmy się wielkiego — poradził Conan. — W ten sposób się nie zgubimy.

— A jeżeli nasi są w jednym z nich? — Chulainn wskazał na boczny tunel.

— Zrobimy wszystko, co możliwe, aby ich znaleźć, ale na razie nie możemy ryzykować zabłądzenia.

Tunel zaczął się rozszerzać, a podłoże stało się mniej gładkie i bardziej zaczęło przypominać dno naturalnej jaskini. Robiło się coraz goręcej. W niższych miejscach gromadziła się woda. Kępy mchów na ścianach osiągnęły kolosalne rozmiary, gdzieś wyrastały ogromne grzyby o grubych nogach i śluzowatych kapeluszach, porosty o łodygach zwiniętych niczym baranie rogi oraz wiele innych, nie dających się opisać roślin. Widać było, że w oddali, poza zasięgiem światła łuczyw, porosty jarzą się własnym, niezdrowym blaskiem.

— Co to za obrzydliwe miejsce? — zapytał Chulainn. Nikt mu nie odpowiedział. Po chwili usłyszeli dobiegające z przodu chaotyczne dźwięki. Przygasili łuczywa i zostawili wraz z zapasowymi pod szczególnie wielkim grzybem, żeby móc łatwo je odnaleźć.

Szerokie łukowate wejście otwierało się na olbrzymią komorę. Podkradli się bliżej. Upiorne błyski migotały na stropie tunelu, jakby gdzieś poniżej wejścia płonęły wielkie ogniska. ,

— Są tam warty? — zapytał szeptem Chulainn.

— A przed czym mieliby się strzec? — odparł Cha, jednakże Cymmerianie na wszelki wypadek wyciągnęli broń. Posuwali się szybko, pochyleni, czujni jak drapieźniki na polowaniu. Poruszali się bezszelestnie. To skradanie się pod ziemią budziło w nich wstręt, ale byli przygotowani na wszystko, nawet na śmierć w tym cuchnącym zgnilizną mroku.

Jedynym czego pragnęli było uratowanie pobratymców.

Z komory dobiegł straszliwy hałas, dudnienie, rechotanie i wrzaski bólu. Tunel wychodził

na wielką grootę, większą nawet od sali tronowej Croma. Mężczyźni opadli na brzuchy i jak węże popęzli do wylotu korytarza. Zatrzymali się na skraju i wyjrzeli ostrożnie na roztaczającą się poniżej scenę jakby żywcem wyjętą z koszmarnego snu czarnoksiężnika.

Tym razem ani dym, ani mgła nie zasłaniały okropnych straszyleł. Wszystkie pochłonięte były szaleńczą, niezrozumiałą działalnością. Poganiały więźniów czubkami dziwacznie wyglądających halabard, odprawiały niezrozumiałe obrzędy przed ohydnyimi kaplicami, bezmyślnie torturowały nie tylko porwanych ludzi, ale i siebie wzajemnie.

Wiele z tych istot należało do gadziego gatunku, jaki Conan i Chulainn napotkali na Polu Śmierci, ale poza nimi były i inne. Jedne przypominały ludzi, ale miały segmentowane tułowia jak owady, inne pełzały jak gigantyczne ślimaki, zostawiając za sobą szlak cuchnącego śluzu. Do ścian przywarły ogromne, kosmate pająki. Jakieś małpoksztaltne stworzenia bezmyślnie waliły w bębny, a najwyraźniej ślepe straszyleła o nietoperzych skrzydłach bezładnie roily się po jaskini. Te stwory przynajmniej można było opisać. Inne były tak potwornie zniekształcone, że rozsądny i zrównoważony umysł nie był w stanie określić ich wyglądu. Trudno było pogodzić się z ich istnieniem, po prostu nie należały do świata zrozumiałego dla ludzi.

Więźniowie, głównie dzieci i młode kobiety, poddawani byli najohydniejszym upodleniom.

Wielu z nich siedziało pogrążonych w apatii, niektórzy najwyraźniej oszaleli z przerażenia, a nieliczni buntowali się i próbowali walczyć. Ci ostatni nosili ślady okrutnych uderzeń biczem i jeszcze gorszych tortur. Oprócz Cymmerianów byli tu Aesirowie, Vanirowie,

Hiperborejczycy i ludzie ze szczepów nie znanych Conanowi, choć podróżował on więcej niż inni.

W mrocznym kącie ogromnej komory, za murem ze spiętrzonych kamieni, siedziała grupa młodzieży, w większości z Cymmerii. Chulainn zaczął się podnosić, ale powstrzymała go ręka Conana.

— Bronwith?

— To ona — odparł drżąco Chulainn. — W rogu, w niebieskiej opończy.

Conan zobaczył ją natychmiast. Była ładną, silną dziewczyną w wieku odpowiednim do zamążpójścia. Miała gęste czarne włosy i olbrzymie brązowe oczy. Rozdarta na ramieniu niebieska opończa była jej jedynym przyodziewkiem. Inni byli w nie lepszym stanie. Ubrania mieli pocięte biczem do tego stopnia, że zamieniły się one w skrwawione łachmany.

Na twarzy dziewczyny nie było śladu strachu, jej oczy poruszały się bez przerwy, nie w panice, lecz w nieustającym poszukiwaniu drogi ucieczki. Jej spojrzenie zatrzymało się na głowach trzech mężczyzn, lecz po chwili podjęło dalszą wędrówkę.

Conan dał znak towarzyszom i razem wycofali się w głąb tunelu.

— Uczyniłeś dobry wybór, chłopcze. Ta dziewczyna to czystej krwi Cymmerianka.

Zobaczyła nas, ale nie dała tego po sobie poznać. Ci, którzy przebywają z nią, są mniej przerażeni od reszty więźniów. Założę się, że trzyma ich twardą ręką.

— Tak — zgodził się Chulainn, a w jego głosie strach walczył o lepsze z dumą. — Musimy ją uwolnić. Wszyscy w tej zagrodzie są młodszy od Bronwith, zatem nie będzie to łatwe zadanie.

— Prawdę mówisz — przyznał Conan. — A ona nie zostawi ich na łasce losu. Sądząc z wyglądu, większość z nich to Murroghowie, prawdopodobnie jej krewniacy, pojmani w tym samym napadzie.

— Skąd wiesz, do jakiego klanu należą? Wszak te dzieci są prawie nagie — mruknął Cha.

Khitajczyk stał się dziwnie posepny.

— W żadnym innym klanie nie ma tak wielu brązowookich dzieciaków.

— Dla mnie wszystkie wyglądają jednakowo. — Cha wzruszył ramionami.

— Jak możemy ich uwolnić? — upierał się Chulainn. — Tutaj nie ma nocy. Te stwory mogą nigdy nie spać i jest ich zbyt wiele. Conan zwrócił się do Cha:

— Rób, co do ciebie należy, Khitajczyku. Jeżeli naprawdę jesteś takim wielkim magiem, jak mówisz, wymyśl, jak uratować naszych ludzi. Resztą zajmiemy się sami.

Khitajczyk po raz pierwszy wydał się podniecony, a nawet zły.

— Chcesz, żebym zdradził swoją obecność tylko po to, byś mógł wydostać kilku swoich pobratymców? — Machnął ręką w stronę piekielnej komory. — Widziałeś, jak tam jest?

Myślisz, że tak wygląda siedziba zła? Nie mylisz się! Tylko zważ, iż na razie miejsce to nie jest zbyt wielkie, a jeżeli ja zawiodę, cały świat będzie tak wyglądał!

— Jedna sprawa na raz, magiku — rzekł Conan z niewzruszonym spokojem. — Najpierw wydostaniemy stąd naszych ludzi i przeprowadzimy ich w bezpieczne miejsce, a potem pomyślimy o twoim zadaniu. Poza tym ja muszę jeszcze wykonać swoją misję. Nie jestem krzywoprzysięcą.

— Barbarzyńcy! — stęknął Cha. — Gdy uczepią się jednej myśli, nie ma w ich głowach miejsca na nic poza nią.

Chulainn spojrział na niego ze zdumieniem.

— Cenimy naszych krewnych i dane słowo. Czy to źle?

— Niech i tak będzie — rzekł Cha, a w jego głosie złość mieszała się z podziwem. — Dam wam szansę, ale musicie sprawić się szybko.

— To wszystko, czego nam potrzeba — zapewnił Conan. — I na pewno nie będziemy się guzdrać.

— Nie użyję żadnej czarnoksięskiej broni, muszę zachować to na później. Skorzystam z prostej sztuczki, by rozproszyć ich uwagę. Będziecie mieć tylko chwilę na uwolnienie swoich i wydostanie się z groty. Potem musicie pędzić szybciej od wszystkich demonów piekieł. Ja już nie będę mógł wam pomóc.

— Zrób to i powiedz, kiedy mamy ruszać — uciał Conan.

Bronwith siedziała na kamieniu, obejmując kolana rękami. Czekwała. Nie ośmieliła się powiedzieć innym o tym, co zobaczyła. Któreś z młodszych dzieci mogłoby dać upust nadziei i niechcący zdradzić prześladowcom, że zostali wysledzeni. Otuliła się szczelniej podartą opończę, chociaż w jaskini było gorąco.

Nad krawędzią skały dostrzegła oczy trzech ludzi. Dwie głowy były czarne i rozczochrane, trzecia prawie łysa. Czy jedna z nich należała do Chulainna? A jeśli tak, to kim był drugi Cymmerianin? I kim mógł być ten trzeci? Oczywiście, równie dobrze mogli to być jej krewniacy. To wydawało się bardziej prawdopodobne. Chulainn mógłby przyjść sam, aby ją uratować i dotrzymać danego słowa, ale któż inny z jego klanu nadstawiałby kark dla kobiety Murroghów?

Będzie dość czasu, by odpowiedzieć na te pytania później. Teraz trwała w gotowości.

Czekwała na pierwszą okazję, by uwolnić siebie i młodych krewniaków. Była najstarsza i czuła się za nich odpowiedzialna.

Długa niewola osłabiła ją nieco, ale Bronwith zachowała jeszcze dużo sił. Inni też byli zaskakująco zdrowi. Cymmerianom nieobcy był niedostatek. Ale nie niewola. Buntowali się przeciwko losowi i wszyscy nosili ślady po uderzeniach kolczastymi biczami strażników.

Najliczniejsze pręgi znaczyły skórę Bronwith, która starała się własnym ciałem ochraniać młodszych i drogo za to płaciła.

Oczekiwanie skracala nuceniem jednej ze smutnych pieśni swego szczepu. Twarz kryjąca się pod kapturem opończy była piękna, inteligentna i co najważniejsze, przytomna. A niełatwo było zachować rozsądek przez ostatnie tygodnie czy może miesiące? Trudno było liczyć dni tu, pod ziemią. Czasami zabierano ich na powierzchnię do pracy przy drażeniu służącej nie wiadomo do czego jamy, ale Bronwith nie mogła się zorientować, czy przepracowane noce następowały kolejno po sobie, czy też dzieliły je dłuższe przerwy. Jej odwaga powstrzymywała innych przed wpadnięciem w obłęd i nie pozwalała pograżyć się w skrajnej rozpacz.

A nie było to łatwe. Zostali porwani ze swych rodzinnych siedzib przez demony z piekła rodem. Niektórzy widzieli, jak zabijano i pożerano ich starszych krewnych. Ci, którzy wiedzieli, czym żywią się potwory, wzbraniali się przed jedzeniem rzucanych im ochłapów.

Najgorsza ze wszystkiego była niewiedza. Dlaczego ich porwano? Jaki los ich czekał?

Bronwith przez całe życie uważała, że najgorszą niedolą, jaka może spotkać Cymmerianina, jest popadnięcie w niewolę. Śmierć nie była dla niej niczym strasznym, a mogła okazać się

wybawieniem. Jak wszyscy Cymmerianie na tyle dorosli, by samodzielnie decydować o swym losie, wolałyby umrzeć, niż służyć cudzoziemcom w jakimś zamorskim kraju. Teraz jednak nie myślała o zadaniu sobie śmierci. Niewola była czymś nie do zniesienia, ale bliskość domu niosła w sobie nadzieję na ratunek. Zastanawiała się, kiedy przyjdzie pomoc.

Bronwith niemal przysnęła, gdy obudziło ją nagłe zmniejszenie hałasu w jaskini. Cisza była tak szokująca, jak poprzednio sam hałas. Te straszdyła, które miały szyje, obracały je i wyciągały, by spojrzeć w górę, gdzie działo się coś niezwykłego.

Nad ich głowami materializowała się jakaś olbrzymia, jasnoniebieska postać. Miała ludzkie kształty, majestatyczną i spokojną twarz, a ciało i kończyny doskonale proporcjonalne.

Zdawało się, że ma tuziny ramion, a wszystkie były w ruchu. Tańczyła jakiś osobliwy taniec w takt niesłyszalnej muzyki.

Po chwili demony zaczęły okazywać niepokój w formie ogłuszającego rechotu, gwizdów i skrzeków. Bronwith nie skojarzyła zjawiska z widzianymi niedawno ludźmi, ale była gotowa je wykorzystać.

— Przygotujcie się — nakazała szeptem krewnym. — To może być nasza szansa.

Pozostali po cichu rozprostowali ścierpnięte nogi i spięli się przed szybkim biegiem do wolności.

Bronwith usłyszała niski gwizd. Odwróciła się i zobaczyła dwóch mężczyzn przyczajonych na szczycie kamiennej zagrody. Na widok Chulainna jej serce, mimo żelaznego opanowania, skoczyło jak górski jelen. Drugiego nie знаła, jedynie z ostrych rysów typowych dla klanu Canach domyśliła się, iż musi być on krewniakiem jej narzeczonego. Chulainn skinął, a Bronwith zawiadomiła innych. Jeńcy ruszyli ku dwóm wojownikom, którzy pomogli im przedostać się przez mur. Ogłupiali wartownicy dalej wpatrywali się w tańczącą nad nimi postać. Na szczęście żaden z nich nie był nadmiernie obciążony mózgiem.

Mężczyźni, przemykając pod ścianami olbrzymiej komory, przeprowadzili uciekinierów na wąską skalną półkę, na której Bronwith zauważyła wojowników po raz pierwszy. Czekala ich wspinaczka po prawie pionowej ścianie, ale nawet najmłodsze dzieci były zwinne jak kozice i bez trudu dostały się na niebezpieczny występ. Wyglądało na to, że jeszcze nie zostali zauważeni. Nad ich głowami trwał hipnotyczny taniec.

— Chulainnie... — wyszeptała Bronwith, gdy wszyscy znaleźli się w tunelu.

— Nie ma czasu — przerwał jej szorstko starszy wojownik. — Żywo! Tam dalej

znajdziecie zapalone łuczywa i kilka zapasowych. Zabierzcie je i w nogi! Znajdziecie się w grocie Croma. Po wyjściu idźcie w dół, na Pole Śmierci. Jeżeli będziecie pędzić dostatecznie szybko, uda wam się znaleźć na zewnątrz, nim te straszdyła oprzytomnieją.

— To mój kuzyn, Conan — wtrącił Chulainn.

— Conan — powtórzyła Bronwith. Już wcześniej słyszała to imię.

— Dlaczego Murrogh miałby zaufać psu Canacha? — odezwał się rozczochrany, może dwunastoletni chłopak.

Conan wyszczerzył zęby, odwrócił go i lekkim kopniakiem przynaglił do ucieczki.

— Rozesłano Krwawe Włócznie, mały. Kiedy indziej będzie czas na walkę między nami.

— Wybacz mu. To mój brat, zawzięty jak wszyscy mężczyźni z mego klanu —

usprawiedliwiła chłopca Bronwith. — A co wy zrobicie?

— Będziemy osłaniać wasz odwrót — wyjaśnił Conan. — Ten vendhiański tancerz jest kuglarską sztuczką i demony mogą się szybko spostrzec, więc uciekajcie.

Bronwith pocałowała Chulainna i pobiegła. Inni podążyli za nią, poza chłopakiem, który przeciwstawił się Conanowi.

— Czy Murrogh ma wziąć nogi za pas i pozwolić, by bronili go ludzie Canacha? Zostanę z wojownikami. — Chłopiec wyprężył chudą pierś i potrząsnął ostrym kamieniem, który przed chwilą podniósł.

— Jesteśmy tylną strażą, wojownika Murrogha — rzekł Conan poważnie, bez śladu szyderstwa. — Kto wie, co czeka ich w tunelach? Nie zostawiaj ich bez opieki.

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę.

— Tak, masz rację. Powodzenia, wojownika Canacha. — Jeszcze raz gniewnie potrząsnął kamieniem i pognął w kierunku mrugającego światła łuczyw.

— Wżenisz się w dobrą rodzinę, krewniaku. — Conan błysnął zębami w szerokim uśmiechu. — Tych dwoje przyniosłoby zaszczyt każdemu klanowi.

Chulainn uśmiechnął się posepnie.

— Przyszedłem po nią, jak przysięgałem. Teraz mogę umrzeć i bez wstydu stanąć przed obliczem Croma.

Hałas dobiegający z groty uległ zmianie.

— Stało się — rzekł Chulainn. — Przejrzeli sztuczkę cudzoziemca.

— Idziemy.

Pokłusowali za byłymi jeńcami, lecz niebawem doгнаły ich dźwięki pościgu. Umykający mieli jedną przewagę. Straszdyła nie widziały ucieczki i nie mogły wiedzieć, w którym z licznych tuneli

odchodzących od głównej groty zniknęli zbiegowie. Musiały się rozdzielić, by przeskakać je wszystkie, więc Conan i Chulainn nie byli zmuszeni stawić czoła całej potędze demonów.

Ciemność i nieznajome otoczenie utrudniały im ucieczkę. Cymmerianie w biegu dobyli mieczy. Ścigający byli coraz bliżej, jednakże wróg wyłonił się nie z tyłu, a z przodu. Z

jednego z małych bocznych tuneli wyskoczyły dwa przypominające owady straszydła. Były wyższe od ludzi, wydłużone i połyskujące metalicznie. Posiadały wiele par błyszczących kończyn, a w każdej z nich trzymały jakąś dziwnie wyglądającą broń.

Conan zrobił unik przed zębatym mieczem i ciął atakującego stwora przez pierś, odrąbując kawał zrogowaciałej chityny. Kreatura syknęła i uchwyciła go wolną łapą. Na lewym ramieniu Conana ze straszliwą siłą zacisnęły się rogowe kleszcze. Conan zdał sobie sprawę, że straci rękę, jeżeli natychmiast nie utłucze poczwary. Rozpaczliwie wbił czubek ostrza w miejsce, z którego odrąbał płat naturalnego pancerza i pchnął z całej siły. Człowiek-owad zaskrzeczał okropnie, puścił go i rzucił się w tył. Conan złapał rękojeść obiema rękoma i wyszarpnął miecz. Z rany bluznął żółty, cuchnący płyn. Potwór upadł, a jego skorupa grzechotała na kamieniach, gdy dygotał w przedśmiertnych konwulsjach.

Conan zatoczył mieczem wielkie koło, by oczyścić ostrze ze śmierdzącej posoki i odwrócił

się, by sprawdzić, jak radzi sobie Chulainn. Młodszy Cymmerianin przyparł do ściany swego przeciwnika, niezdarnie wymachującego kolczastą maczugą. Ogarnięty żądzą zemsty Chulainn, najpierw odrąbał mu rękę przy łokciu, potem ciął przez kolana, a na koniec chlasnął

po szyi. Conan patrzył z zainteresowaniem, jak niekształtny łeb przeleciał kilka kroków w stronę wielkiej groty i wylądował z głuchym dudnieniem.

— Gorszi od jaszczurów — skomentował Chulainn.

— I dobrze znają te jaskinie. Dobrze by było nie spotkać ich więcej.

Dotarli do długich schodów i ruszyli w górę. Coraz wyraźniej słyszeli odgłosy pościgu, między innymi głośnie gwizdy jaszczurów. Przyśpieszyli. Niełatwo było pokonywać wysokie stopnie, ale Cymmerianie byli góralami i gdy dotarli na szczyt, jedynie lekka zadyszka świadczyła o ich zmęczeniu.

Grota Croma skąpana była w świetle słońca. Hałas czyniony przez demony ucichł.

Cymmerianie zatrzymali się, by złapać oddech.

— Czy słońce ich powstrzyma? — zapytał Chulainn.

— Nie na długo. Przecież gdy napadają na osady, wychodzą na światło dzienne. Lepiej uciekajmy, zanim utworzą jedną z tych czarnych chmur i wyleżą pod jej osłoną.

Ruszyli w kierunku wyjścia. Chulainn wskazał na płonące jeszcze resztki łuczyw, porzucone przez

umykających więźniów.

— Bronwith i inni muszą już być w połowie stoku. Zatrzymali się u wejścia do jaskini.

— Dołączmy do nich. Nie czuję... — Spostrzegł, co na nich czeka. — Na Croma! — zaklął

i wyrwał miecz z pochwy.

— Dwa ptaszki więcej w naszej sieci! — zawołał Starkad. — Ale założę się, że tych nie weźmiemy żywcem.

WILKI Z VANAHEIMU

Conan zorientował się w sytuacji, jeszcze zanim zdążył wyciągnąć miecz. Przed wylotem jaskini stało wielkie półkole uzbrojonych Vanirów. Po prawej stronie stał mężczyzna w bogato zdobionej zbroi, prawdopodobnie dowódca. Obok niego znajdowali się dwaj dziwnie wyglądający cudzoziemcy. Na ziemi stygł jeden martwy Vanir, z głową rozwaloną ostrym odłamkiem skały. Na jego piersiach leżał brat Bronwith, krew zlepiła jego czarne, splątane loki. Bronwith wraz z innymi stała między Vanirami a jaskinią.

— Vanirowie na Ben Morgh! — wrzasnął Chulainn z obłędem w oczach. Dla

Cymmerianów obecność Vanirów na świętej górze była takim samym świętokradztwem jak obecność nieziemskich demonów.

— Rób to co ja — mruknął Conan.

Już wcześniej bywał w tego typu sytuacjach. Vanirowie rozciągnęli się w wielkie półkole i w żadnym miejscu ich szereg nie był głębszy nad dwóch ludzi. Atakowanie wszystkich byłoby samobójstwem, ale wycięcie luki w ich szyku nie było rzeczą niemożliwą. Linia była najcieńsza po obu stronach przywódcy, ale Conan wybrał miejsce w pobliżu ponownie uwięzionych byłych jeńców.

— Zabić te psy — rozkazał Starkad.

Mężczyźni, złowrogo szczerząc zęby, ruszyli w kierunku Cymmerianów. Nie zrobili jeszcze pełnego kroku, gdy Conan, z cymmeriańskim okrzykiem wojennym na ustach, zaszarżował. Z

szeregu wysunął się jeden Vanir. Wzniósł topór i zasłonił się tarczą. Conan wziął potężny zamach i ciał mieczem w dolny skraj osłony. Błękitne ostrze nawet nie zwolniło rozłupując tarczę i ukośnie wgryzło się w bok mężczyzny. Na stojących najbliżej Vanirów posypały się zakrwawione żelazne łuski.

Conan postawił stopę na piersiach powalonego i wyszarpnął miecz, który mlasnął

nieprzyjemnie. Zawirował i jednym płynnym ruchem ciał Vanira po prawej. Uderzenie nie było wymierzone z całej siły, ale i tak rozłupało rogaty hełm wroga i przerąbało drzewce jego topora.

Dwóch Vanirów próbowało zająć Chulainna z dwóch stron, ale ten zrobił unik i padł na ziemię, zaskakując ich obu. Tocząc się między nimi wsunął miecz pod tarczę jednego i rozplatał mu udo do kości. Vanir upadł z wyciem, gdy Chulainn zerwał się na nogi i ciał w kark drugiego, tuż pod hełmem. Głowa potoczyła się po kamieniach, a Chulainn, nim ciało zdążyło osunąć się na ziemię, z wyciem rzucał się na innych. Nim reszta Vanirów się spostrzegła, Cymmerianom udało się wyciąć szeroką na kilka kroków lukę. Conan odwrócił

się do więźniów i szczechnął:

— Uciekajcie!

Bronwith schyliła się, zarzuciła sobie brata na ramię tak, jakby chłopak nie ważył więcej niż sakwa z jedzeniem, i poprowadziła innych ku wyciętej przez wojowników wyrwie w szeregu wrogów. Jeden z Vanirów chciał ją zatrzymać, lecz Chulainn odwrócił się od człowieka, z którym walczył, i nim tamten zdołał dotknąć dziewczyny, odciął mu rękę. Tę chwilę wykorzystał jego przeciwnik, który ciął Cymmerianina czubkiem miecza w pierś. Chulainn odpowiedział ciosem na odlew, rozłupując czaszkę Vanira.

Gdy więźniowie uciekli, Conan naparł na cały szereg Vanirów, spychając ich do tyłu.

Przeciwnicy byli odważni, ale oszołomił ich wir okrucieństwa i dzikości, który rozszał się wokół Cymmerianina. Conan rozłupywał tarcze, odrąbywał rogi z hełmów. Uczyniwszy straszliwe zamieszanie, nagle zawirował i znalazł się za plecami wrogów.

— Zwiewaj! — wrzasnął do Chulainna.

Młodszy mężczyzna wyrwał się z otaczającego go kręgu równie szybko jak Conan i obaj rzucili się do ucieczki. Vanirowie dopiero po chwili zrozumieli, co się stało, i ruszyli w pościg. Było to beznadziejne przedsięwzięcie. Cymmerianie nie byli obciążeni, dźwigali jedynie broń i byli chyży jak kozice. Vanirowie w ciężkich zbrojach, nieprzyzwyczajeni do gór i rozrzedzonego powietrza, pokuśtykali za nimi niemrawo. Kilku potknęło się i zjechało po piargu na tyłkach. Starkad prychnął z pogardą, patrząc, jak jego ludzie zatrzymują się i zawracają. Czarnowłosi już znikali z pola widzenia.

— Ostatni raz postawiłem nogę w Cymmerii z taką zgrają nieopierzonych głupców. Jeżeli kiedyś ruszę na tych czarnowłosych, to tylko z zaprawionymi w boju wojownikami!

Jaganath, słysząc wyrażenie „ostatni raz”, uśmiechnął się cierpko. Starkad niczego nie zauważył.

— Jeżeli ci dwaj to rodowici Cymmerianie — rzekł Vendhianin — nie dziwota, że wolisz napadać na samotne siedziby, głęboką nocą i z dużą przewagą sił.

— Zostaliśmy zaskoczeni — warknął Starkad — a moi ludzie to głupcy. Zapomnieli, że zajętego walką wroga łatwo można zająć od tyłu i zabić go bez ryzyka. Natomiast ci szaleńcy rzucili się na nas we dwójkę, jakby stał tu jakiś bard gotów uwiecznić ich w poemacie. —

Policzył martwych i umierających ludzi. — Ależ rzeź uczynili, nie mając na sobie ani hełmów, ani kolczug!

Starkad zatrzymał się przy trupie pierwszego zabitego przez Conana. Rozłupana tarcza nadal wisiała na ramieniu nieboszczyka. Olbrzymia szczelina w kolczudze odsłaniała ciało rozcięte do kręgosłupa i wnętrzości parujące w chłodnym powietrzu.

Wódz Vanirów wyprostował się.

— Ten wyższy, starszy, musi być wielkim mistrzem. Nigdy bym nie uwierzył, że człowiek potrafi zadać taki cios. Młodszy walczył chytrze: gdy tylko mógł, uderzał w nieuzbrojone kończyny. Jednak starszy — Starkad z niedowierzaniem pokręcił głową — ciął, jakby tarcza i zbroja nie były niczym więcej, tylko dymem. — Odwrócił się i z wściekłością spojrzął na Jaganatha. — To czary? Nigdy nie widziałem miecza, jaki miał on. Czy to było zaklęte ostrze?

Jaganath potrząsnął głową.

— Niewiele znam się na mieczach, ale ten nie miał żadnej aury. Nie próbuj tłumaczyć swoich ludzi, przydając wrogowi nadnaturalnej mocy. Niejeden władca popełnił taki błąd.

Starkada użądliły te słowa, ale czuł się zbyt poniżony, by odpowiadać.

— Wejźmy do środka — rzekł Jaganath.

Razem z Gopalem minął łukowate wejście. Starkad podążył za nimi. Zatrzymali się u stóp kolosa i wódz Vanirów podniósł głowę, nieco przestraszony ogromem posągu.

— Więc to jest stary Crom z Góry. Każę ludziom rozpalić wielkie ognisko, żebyśmy mogli zobaczyć jego twarz.

W głosie Jaganatha po raz pierwszy dał się słyszeć ślad niepokoju:

— Nie sądzę, byś chciał spojrzeć w jego oblicze... — Patrzył w górę, jakby widział ginącą w mroku sklepienia twarz.

Starkad spojrzął na jamę ziejącą u stóp boga i widniejące w niej schody. Z dołu dobiegało ciche szuranie.

— Czarnoksiężniku, chyba nadszedł czas, byś mnie nieco oświecił. Skąd wzięli się tutaj ci Cymmerianie? Poza tymi dwoma, wszystko to były dzieci i młode kobiety. Uciekali stąd i wyglądali jak ludzie długo więzieni, w tej jaskini zaś jest coś, czego nie chciałbym zobaczyć.

Co ciebie tu sprowadziło?

Jaganath odpowiedział bez zwykłej wyniosłości.

— Nie musisz wiedzieć, jaka sprawa mnie tu przywiodła. I nie bój się tego, co jest tam, w dole. Ochronią cię moje moce. A co do Cymmerianów, są to sprawy ważne jedynie dla najpotężniejszych czarnoksiężników i ty nie możesz ich zrozumieć. Zapewniam cię, że wszystko przebiega zgodnie z moim planem — niedbałym ruchem ręki podkreślił, że Starkad nie ma czym się trapić. — Jutro odpoczniemy, a ja po — czynię przygotowania. Pojutrze jest dzień przesilenia, w którym odprawię swoje obrzędy. W godzinę po wschodzie słońca moje sprawy zostaną zakończone.

Starkad nie mógł się oprzeć podejrzeniu, że czarnoksiężnik nie jest nawet w połowie tak pewny siebie, jak stara się pokazać, i że tak jak wszyscy jest zaskoczony obecnością Cymmerianów.

— Zatem jeszcze dwa dni — zgodził się. — W godzinę po wschodzie słońca wyruszymy do domu. Nie ośmielimy się zostać dłużej. Kiedy ci czarnowłosi, których widzieliśmy, dotrą do swoich wiosek, każdy Cymmerianin zdolny unieść miecz wyruszy na szczyt tej góry.

Jaganath skinął głową i uśmiechnął się lekko.

— Tak będzie dobrze. Wtedy już nie będę was potrzebował.

Starkad odszedł, by dołączyć się do swoich, a gdy znalazł się poza zasięgiem głosu, Gopal zapytał:

— Naprawdę tego się spodziewałeś, wuju?

Jaganath zmarszczył brwi.

— To dzieło jakiegoś innego maga, bratanku. Potężnego maga najwyższej rangi. Jakiś głupiec otworzył drogę demonom spod ziemi oraz z innych wymiarów. Ale kto? Thoth—

Amon? Hathor—Ka? Ming—Tzu? Nie mam pojęcia, kto mógłby być na tyle potężny i na tyle głupi. — Rozejrzał się. — Ale to ja jestem tutaj i wszelkie ich machinacje spełzną na niczym, jeżeli nie będą obecni w dzień przesilenia. Wyczuwam jednak jakieś dziwne czary i nie wiem czyje. Wiem tylko, że nie są częścią tych poczynań... — Wskazał na jamę, a potem raz jeszcze spojrzął w górę na wznoszącą się nad nimi postać na kamiennym tronie. — I ten Crom. Nie jest taki, jak oczekiwałem...

Gopal był głęboko zaniepokojony. Nigdy nie słyszał, by wuj mówił inaczej niż z doskonałą, niepodważalną pewnością siebie. Fakt, że jakiś rywal mógł zachwiać tą postawą, sprawiał, iż ziemia usuwała się młodzieńcowi spod nóg.

— Ale ty zwyciężysz, wuju — rzekł drżącym głosem. — Na pewno!

Jaganath otrząsnął się ze złych przeczuc i uśmiechnął ze sztuczną bez troską.

— Nie ma obawy, Gopalu. W dzień zrównania stanę się najpotężniejszym magiem świata.

Po dotarciu do Pola Śmierci Conan, Chulainn i byli jeńcy zatrzymali się na odpoczynek. Po długiej niewoli wiele z młodszych dzieci było chorych. Chulainn wbiegł na szczyt kurhanu i obejrzał się na przebytą drogę.

— Ani śladu pościgu.

— Tak myślałem. — Conan przysiadł na kamieniu i zaczął starannie czyścić ostrze. — Czy jakkolwiek Vanir był kiedykolwiek coś wart w górach? — Zadowolony, że ostrze jest nie wyszczerbione, wsunął je do pochwy i stał.

Bronwith klęczała nad nieruchomym bratem. Niosła chłopaka przez całą drogę. Widząc zbliżającego się Conana, skromnie otuliła się resztkami opończy.

— Żyje — powiedziała.

Conan przykucnął i odgarnął ciemne, zlepione krwią włosy chłopca. Mały był ranny w głowę, ale Conan nie wyczuł ruchu kości.

— Wyzdrowieje. Murroghowie zawsze mieli twarde łby.

Zbliżył się Chulainn.

— Co się stało z twoim cudzoziemskim przyjacielem?

— Nie wiem. — Conan wzruszył ramionami. — Ma coś do zrobienia na Ben Morgh i nie wątpię, że tam został. On sam potrafi o siebie zadbać.

— Co teraz zrobimy? — zapytała Bronwith. — Niektóre z dzieci są za słabe, by iść dalej.

— Demony mogą wyjść z jaskini po zapadnięciu zmroku — rzekł Chulainn. — Niedawno natknęliśmy się tutaj na dwóch.

— Zostaniemy z wami — zapewnił ją Conan. — Nie zostawimy was na pastwę demonów czy Vanirów. Nikt nie tknie ani jednego cymmeriańskiego dziecka, póki mam dech w piersiach. Zaczekamy. Wkrótce powinny nadciągnąć zjednoczone klany.

— A jeżeli wrogowie napadną na nas wcześniej? — zapytała Bronwith.

Conan rozejrzał się po okolicznych kurhanach.

— Jeżeli tak, to są miejsca o wiele gorsze do umierania niż cmentarzysko wielkich wodzów naszego ludu.

Rozeszli się po dolinie w poszukiwaniu paliwa. Zebrali tyle, by starczyło im do świtu.

Conan stanął na warcie przy górnym wylocie doliny. Gdy niebo pociemniało, zobaczył, że wspina się ku niemu brat Bronwith. Chłopak głowę nadal miał zakrwawioną, ale oczy przytomne i krok niezachwiany.

— Witaj, wojowniku — rzekł Conan.

— Witaj — chłopiec usiadł obok. — Nazywam się Bodhrann. Żałuję, że nie widziałem, jak zabijałeś dziś Vanirów. Siostra mówi, że jak na Canacha, to całkiem dobrze się sprawiłeś.

— Wysoka to pochwała z ust Murrogha.

— Co Vanirowie robią na Ben Morgh?

— Sam dałbym wiele, by usłyszeć odpowiedź. Jednakże widziałem z nimi dwóch

cudzoziemców. Nie wątpię, że to oni przywiedli tu rudobrodych. Są ludźmi ze Wschodu i niewątpliwie parają się czarami.

Chłopak wzruszył ramionami.

— Nieważne, są obcy i zabijemy ich za zbezczeszczenie grobów naszych zmarłych. Czy prawdą jest to, co mówi moja siostra, że wkrótce przybędzie tu moc wojowników?

— Tak. Klany zostały wezwane do stawienia się pod Stojącym Kamieniem i wkrótce tu będą. Mam nadzieję, że jutro. Nie mają czasu do stracenia. Odbędzie się bitwa, jakiej żaden z nas dotąd nie widział.

Z obozu nadszedł Chulainn.

— Wszyscy już kładą się do snu. Są przemarznięci, głodni, poranieni i zmęczeni, ale szczęśliwi.

— A ty byś nie był? — rzekł Conan.

— Mam do ciebie sprawę — przerwał mu Bodhrann, zwracając się do Chulainna.

— Mów.

— Chcesz poślubić moją siostrę?

— I zrobię to — zapewnił go wojownik.

— Nie pozwalam! Między naszymi klanami panuje wojna! Możesz ją mieć tylko wtedy, gdy siłą zabierzesz ją jej mężczyznom! — Chłopiec spojrzał nań wojowniczo.

— Rozesłano Krwawe Włócznie. Wojny są zawieszono i nie wolno porywać kobiet.

— Aha. — Bodhrann był nieco zmieszany. — Ale kto to słyszał, by mężczyzna i kobieta z wojujących klanów stawiali razem pod Białą Tarczą?

— Może nigdy tego nie było, ale właśnie to zamierzamy zrobić, gdy tylko zbierzemy dość świadków.

— To nie wypada! — upierał się Bodhrann. Widać było, że jest wściekły, bo z powodu zawieszenia broni przeszła mu koło nosa porządna bijatyka.

— Cieszę się, że tak się stało. Mógłbym wszak zabić cię w czasie walki o twoją siostrę.

Chłopak parsknął.

— Możesz jeszcze spróbować! — odszedł, z godnością prostując chude plecy. Conan obserwował go z uśmiechem, ale nie roześmiał się.

— Co zrobimy, jeżeli wojownicy nie nadciągną do jutra? — spytał Chulainn.

— Ty wypełniłeś swą przysięgę. Przed zmrokiem możesz zabrać innych w dół. Wkrótce natkniesz się na czeredę. Ja muszę zostać, by dotrzymać danego słowa.

— Zostanę z tobą — rzekł spokojnie Chulainn. — Żaden Canach nie pójdzie na wroga sam, gdy jego krewniak jest w pobliżu.

Conan nie sprzeczał się z nim, wiedząc, że byłoby to bezcelowe.

Demony nie pojawiły się tej nocy, a pierwsze promienie wschodzącego słońca zajaśniały na grotach setek włóczy. Dzieci krzyczały z radości i machały rękami, gdy zbliżała się armia bez flag, proporców czy sztandarów. Każdy wojownik dźwigał broń, ale żaden nie nosił

hełmu ani zbroi. Jedynie nieliczni mieli tarcze. Taki zbytorny rynsztunek przeszkadzałby tylko w bezładnym ataku — ulubionym sposobie walki Cymmerian. Podczas bitwy niektórzy rzucali oszczepy, ale brakowało wśród nich łuczników, bowiem w Cymmerii nie było odpowiedniego drewna na łuki.

— Czy kiedykolwiek widział ktoś taki piękny widok? — rzekł z dumą Chulainn. — Czy kiedykolwiek widziałeś tylu wojowników w jednym miejscu? Twarz młodego człowieka płonęła z entuzjazmu.

— Widywałem więcej — mruknął Conan — ale nie lepszych.

Rzeczywiście, pod względem liczebności armia całej Cymmerii nie dorównywała

porządkiem pułkowi, jakie Conan widywał w cywilizowanych krajach. Jedynie kilka klanów mogło wystawić ponad setkę mężczyzn, a klanów w Cymmerii nie było wiele. Jednakże gdyby doszło do starcia z tą niezdyscyplinowaną czeredą, to Conan nie dałby żadnych szans cywilizowanej armii, nawet kilkakrotnie liczniejszej. Legendarna bitność Cymmerianów z nawiązką zastępowała ich małą liczbę.

Mężczyźni mieli wymalowane twarze, nosili tatuaże, warkocze i węzły charakterystyczne dla wszystkich klanów. Byli między nimi i chłopcy ledwie nieco starsi od Bodhranna, i siwobrodzi starcy o wychudłych ciałach, ale nadal zdolni posłużyć się mieczem. Na broń tej wpółdzikiej armii składały się tak świetne miecze, jak i toporne maczugi dzikich Galia.

Różniło ich wiele rzeczy, ale jednoczyła duma i niezależność, dzięki którym przez całą swą historię Cymmerianie byli wolnym ludem. Naczelnicy wyszli na spotkanie Conana i Chulainna.

— Tedy — zaczął Canach — żyjecie. I widzę, że znaleźliście naszych ludzi.

— Nie wszystkich. — Conan wskazał kciukiem przez ramię. — Jeszcze wielu tam zostało.

Canach zwrócił się do Bronwith, która stała obok Chulainna.

— Wojownicy dadzą ci jedzenie i koce dla dzieci. Musisz zabrać je na dół, gdy się tylko najedzą.

— Zostanę z wami! — zawołał wojowniczo Bodhrann, występując z gromady.

Naczelnicy zmarszczyli brwi, ale Conan powiedział:

— Ten chłopak zabił Vanira, tam na górze. Kamieniem.

Siwobrody Murrogh z zadowoleniem spojrzął na Bodhranna.

— Zatem dołącz do wojowników naszego klanu.

— Trzymaj! — Conan odpasął tasak i rzucił go chłopakowi. — Pewnie nie będzie dla ciebie zapasowej broni. To ci wystarczy, póki nie zdobędziesz sobie miecza w walce.

— Powinien otrzymać pierwszą męską broń z ręki swego krewniaka — sprzeciwił się Murrogh, przesywając Conana gniewnym spojrzeniem.

Conan uśmiechnął się szeroko do starego naczelnika.

— Prawie jesteśmy klanem. Mój kuzyn ma zamiar poślubić jego siostrę.

Starzec poczerwieniał, słysząc taką herezję.

— Vanirowie na Ben Morgh — rzekł Canach — to niezwykajne.

— W porównaniu z tym, co mam do powiedzenia, ta rzecz nie jest najdziwniejsza — odparł

Conan. — Ale na razie czeka nas robota. Vanirowie zniszczyli wiele kurhanów. Zaraz po rozbiciu obozu powinniśmy zająć się ich naprawą.

— Drogo za to zapłacą — warknął przez zaciśnięte zęby wojenny wódz Galia, którzy nie mieli dziedzicznego naczelnika. — Nasi przodkowie uradują się smakiem ich krwi.

Przed zapadnięciem nocy, Cymmerianie poukładali poprzewracane kamienie grobowców, co pogłębiło i tak już wielką nienawiść do Vanirów. Tej nocy, przy torfowych ogniskach, z ust Bronwith, Canacha i Chulainna naczelnicy wysłuchali niesamowitej opowieści.

Na koniec Conan powiedział, czego dowiedział się o sposobie walki demonów i ich słabych stronach.

— Pamiętajcie, wyglądają przerażająco, ale umierają jak ludzie. Te łuskowate mają skórę twardą jak zbroje Vanirów i by ją przeciąć, trzeba nie lada siły. Mają też silne ogony i zręcznie używają ich do walki. Stwory podobne do robaków łatwiej zabić, wystarczy rozplatać im brzuchy. Jak zabijać Vanirów, nie muszę wam mówić. Są też i inne poczwary, z którymi nie walczyliśmy, ale niewątpliwe, że są tak samo śmiertelne jak reszta. Tam w dole widzieliśmy nadto stwora wielkiego jak smok, ale tak niezemskiego, że nie potrafię go opisać. Wątpię, czy możemy zrobić mu krzywdę. Najlepiej będzie, jak zostawimy to dziwo khitajskiemu magowi.

— Widziałeś tam złoto? — zapytał Wulfhere.

— Nie widziałem. — Conan obojętnie wzruszył ramionami. — Po prawdzie, nie

rozglądałem się. Chyba tylko głupiec zapuszczałby się w te jaskinie po złoto! — Rozejrzał się i dokończył przemowę: — Najlepiej zaczekajmy, niech demony same wyleżą spod ziemi i walczą z nami na otwartym polu. Jutro jest dzień przesilenia, a ja będę musiał wypełnić swą misję. Myślę, że wtedy też nasilą się wszelkie czarnoksiężskie dziwa. Demony nie lubią światła dnia, więc jeżeli zechcą się z nami rozprawić, zaatakują dziś w nocy. Zgromadźcie drewno i torf i bądźcie gotowi podpalić stosy na pierwszy sygnał ataku. A teraz niech wszyscy odpoczną, lecz śpijcie z rękami na broni!

W KRÓLESTWIE BOGÓW

Hathor–Ka dzięki odpowiednim zaklęciom wyglądała młodo, ale w rzeczywistości miała ponad sto lat i od dziesięcioleci uważała się za jednego z najpotężniejszych magów świata.

Thoth–Amon uświadomił jej, że jest niedouczona jak początkujący adept i obecnie dumna czarodziejka znów czuła się jak akolita. Nie było to przyjemne.

Wielki mag zaproponował Hathor–Ka gościnę i zgodził się uzupełnić braki w jej

czarnoksięskiej edukacji. Hathor–Ka była zdumiona rozległością jego wiedzy. Dotychczas była przekonana, że wraz z kilkoma innymi magami dorównuje Thoth–Amonowi, lecz teraz zrozumiała, jak złudne były jej przypuszczenia.

Dziwne stworzenia z innych wymiarów, z którymi ona mogła uzyskiwać jedynie chwilowy kontakt, były stałymi sługami Thoth–Amona. Mag władał siłami, których istnienia ona nawet się nie domyślała. W ciągu kilku dni po nieudanym napadzie Hathor–Ka dowiedziała się więcej o czarnoksięskich sztukach niż przez wiele minionych lat.

Thoth–Amon dobrze strzegł sekretu swej potęgi. W ciągu wieków wiele razy zmieniał imię i powierzchowność, tym samym zyskując przewagę nad każdym rywalem. Wielu wrogów, błędnie uważających się za równych wielkiemu czarnoksiężnikowi, padło ofiarą tego podstępu.

— Czy ktoś posiada moc i wiedzę równe twojej! — zapytała go Hathor–Ka.

— Nie — zapewnił ją Thoth–Amon. — Jaganath myśli, że on jest mi równy, ale jego umiejętności nie są większe od tych, jakie miałaś ty przed przybyciem do mnie. Wiedzą może rywalizować ze mną bractwo z dalekiej Khitai, zwane Porządkiem Srebrnego Pawia, ale żaden z jego członków nie dorównuje mi mocą.

— Niewiele o nich wiem. Czy to możliwe, żeby połączyli się i ubiegli nas w wyścigu o władzę?

— Nie. Są nie tylko czarnoksiężnikami, ale również filozofami i chociaż ich wiedza jest rozległa, nie wykorzystują jej do zwiększenia sił magii i wzywania demonów. Uważają, że to byłoby złe czy też zbyt niebezpieczne dla ludzkości. Siedzą, kontemplują i śnią na jawie, ale nie chcą zapanować nad światem za pomocą swej sztuki. — Machnął ręką z lekceważeniem.

— Inni czarnoksiężnicy się nie liczą. Po dopełnieniu obrzędów staniemy się panami ich wszystkich.

Hathor–Ka wspomniała tę rozmowę, gdy szła do medytacyjnej komnaty Thoth–Amona po ostatnie instrukcje dotyczące odprawienia czaru Wielkiego Wezwania w dniu przesilenia.

Ościeżnicę pokrywały hieroglify o potężnej mocy. Przekroczenie progu bez właściwego zaklęcia oznaczałoby pewną śmierć. Czarodziejka wymruczała inkantację, jaką podał jej Thoth–Amon, i

drzwi otworzyły się bezgłośnie.

W komnacie nie było żadnych mebli. Ściany, sufit i podłoga były niewiarygodnie czarne.

Na podłodze siedział wielki czarnoksiężnik, a przed nim stała czara z surowej bryły obsydianu, zawierająca wodę Styksu. Nie po raz pierwszy Hathor–Ka była zdumiona prostotą magii Thoth–Amona. Jego kunszt był tak wyrafinowany i doskonały, że do czarnoksięskich praktyk nie potrzebował niemal niczego poza własnym umysłem. Czara z wodą była ledwie narzędziem pomagającym skupić moc. Nie podniósł głowy.

— Chodź, Hathor–Ka. Siądź i spójrz w wodę Ojca Styksu. Tej nocy udamy się w podróż tak daleką, że pojęcie odległości traci swój sens. Przekroczymy granice naszego świata. Tobie udało się utworzyć bramę łączącą wszechświaty i ofiarami zwabić kilku pomniejszych mieszkańców innego wymiaru. Stało się to możliwe dzięki przepowiedzianej przez Skelos koniunkcji ciał niebieskich. Teraz sami poszybujemy do obcego świata. Zobaczysz część właściwej mu potęgi i być może zrozumiesz, jak nierozsądne jest igranie z tymi siłami. Spójrz w wodę.

Hathor–Ka usiadła i wpatrzyła się w prawie niewidoczną wodę. Było to proste ćwiczenie.

Jedno z pierwszych zadawanych akolicie. Medytacja nad wodą była równie stara jak czarnoksięskie sztuki Stygii. Wydawałoby się, że nie ma w tym nic, co mogłoby zająć uwagę mistrza czarnej magii.

Po chwili woda i czara zniknęły. Hathor–Ka stwierdziła, że znajduje się wśród gwiazd.

Wokół niej rozciągała się czarna pustka rozjaśniona milionami maleńkich światełek.

Czarodziejka była tutaj niezliczoną ilość razy, ale zawsze sama. Tym razem towarzyszył jej Thoth–Amon, chociaż niewidzialny, tak jak ona sama.

— Jesteśmy w miejscu bardzo oddalonym od naszego świata, ale jednocześnie bliskim, biorąc pod uwagę cały ogrom przestrzeni. Gwiazdy, które widzisz, są znajome. Teraz udamy się dalej, w kierunku skraju Wszechświata. — Gwiazdy jakby się wydłużyły, potem przesunęły i zapłonęły głęboką czerwienią. Wkrótce Hathor–Ka widziała tylko smugi czerwieni. Trwało to przez wieki lub sekundy, nie wiadomo, bowiem tutaj czas nie miał

żadnego znaczenia. W końcu czerwone smugi stały się cieńsze i mniej liczne, a potem zaczęły się skracać i wreszcie przemieniły w błękitno–białe punkty. Było ich bardzo mało i wszystkie znajdowały się w kierunku, z którego przybyli.

— Każdy taki punkt światła — rzekł Thoth–Amon — nie jest gwiazdą, ale skupiskiem zawierającym miliardy gwiazd. Spójrz tam, a zobaczysz nieskończoność.

Spojrzała w drugą stronę i zobaczyła doskonałą czerń.

— Jesteśmy na skraju rzeczywistości — kontynuował czarnoksiężnik — a za chwilę wkroczymy w inny wszechświat.

Wokół nich nastąpił jakiś ruch. Czeń pozostała taka sama, ale Hathor–Ka widziała, że coś się zmieniło. Thoth–Amon odwrócił ich i teraz patrzyła na odległe światła. Nie były to gromady gwiazd znanego jej świata, ale dziwne kształty jarzące się nienaturalnymi kolorami.

Ruszyli w ich stronę i tym razem nie nastąpiła zmiana barw, chociaż Hathor–Ka czuła, że odległości i prędkości były porównywalne.

Przeplýwali obok jarzących się tworów. Tylko czarnoksięski trening i doświadczenie powstrzymały umysł Hathor–Ka przed zamknięciem się na to, co widziała. Niektóre z nich były żywymi stworzeniami o niewyobrażalnej wielkości, egzystującymi w zwichrowanej geometrii, którą zwyczajny umysł natychmiast by odrzucił. W mijanych światach dostrzegła gromady stworzeń zajętych robieniem rzeczy, które wstrząsnęły nawet jej zahartowanym umysłem.

Raz, na krótko, Thoth–Amon zabrał ją na powierzchnię czegoś, co mogło być planetą. W

porównaniu z innymi, ta zdawała się prawie normalna, tylko że miała kształt dysku o zmiennej grubości i rozmiarze przekraczającym tysiące razy wielkości jej świata. Mimo braku źródła światła wszystko było doskonale widoczne. Znaleźli się w mieście z czystego kryształu, na szczycie wysokiej na milę wieży; Thoth–Amon wdał się w dysputę z miejscowym czarnoksiężnikiem. Ten zbudowany był z wielobarwnych kryształów

wydzielających jakby namacalną muzykę i woń. Dziwoląg ów wykonywał rytuał, którego celem było zniszczenie jego świata, i najwyraźniej uważał swe poczynania za kombinację poezji i doskonałego żartu.

Ruszyli dalej w kierunku centrum tego Wszechświata. Światła i niepokojące twory stały się mniej liczne. Hathor–Ka zdała sobie sprawę, że przed nimi rozpościera się kolejny twór, tym razem tak czarny i kolosalny, że w początku go nie zauważyła. Był kwintesencją czerni, a jednak Hathor–Ka mogła rozróżnić jego kontury.

Najpierw przypomniał bezkształtne, wyposażone w macki straszycło, które zwabiła do swej świątyni za pomocą krwawych obrzędów. Ten kolos był nieco do niego podobny, ale niewyobrażalnie ogromny i nieskończenie bardziej przerażający. Hathor–Ka powoli zaczęła pojmować jego kształt i naturę, a wtedy poczuła się tak, jakby oślepla. Zło, jakie emanowało z potwora, było zbyt wielkie do zniesienia nawet dla niej i jej zmysł ostatecznie odmówił

przyjmowania dalszych informacji.

— Jeżeli chcesz stać się magiem najwyższej rangi, musisz nauczyć się obcować z czymś takim, Hathor–Ka. — Bezdźwięczny głos Thoth–Amona był niewzruszony. — To bóg tego wszechświata, jeden z mniejszych. Ja naradzałem się z największymi. I zważ, że znajdujemy się w jednym z najmniej obcych nam wszechświatów. Są inne, daleko bardziej przerażające.

Hathor–Ka po powrocie z tej niewyobrażalnej podróży miała wrażenie, że przebudziła się z głębokiego snu, lecz nie czuła się wypoczęta, a w jej pamięci pozostały nie płowiejące wspomnienia. Czy to przeżycie było prawdziwe? Czy rzeczywiście Thoth–Amon jest tak potężny? Może to

wszystko było jedynie iluzją, wszczepioną w jej umysł przez potężną hipnotyczną sugestią czarnoksiężnika?

Długo zastanawiała się nad tym problemem. Doświadczenie to, biorąc pod rozwagę jego nierzeczywistość, brak punktu odniesienia i zdolności widzenia bez światła, podobne było do snu. Jednakże wszystko to miało proste wyjaśnienie, o ile Thoth–Amon naprawdę potrafił przenosić się do innych wszechświatów.

Znalezienie odpowiedzi było ważne, ponieważ Hathor–Ka nie miała zamiaru dzielić się władzą z Thoth–Amonem. Jednak czy ośmieli się go zdradzić, jeżeli mag naprawdę jest tak potężny? Fragment Skelos nie wspominał o podziale władzy między dwóch magów. Jeśli sama dopełni rytuału, stanie się jedyną władczynią, a wszyscy inni czarnoksiężnicy jej poddanymi. Tym samym, bez względu na swoją potęgę, również Thoth–Amon będzie musiał

zostać jej sługą. Postanowiła postawić wszystko na jedną kartę. Rozumiała ryzyko, jakie podejmuje, ale wiedziała, że ten, kto nie podejmuje wielkiego ryzyka, nie ma po co sięgać po władzę.

Starkad martwił się, co nie zdarzało mu się często. Siedział przed wejściem do jaskini, do której nie wolno było zajrzeć żadnemu z jego ludzi. Żałował, że podjął się towarzyszenia cudzoziemcom. Uwielbiał złoto, ale ci cudzoziemcy nie mieli go dość, by zapłacić za ryzyko, na jakie zostali narażeni jego ludzie. Spodziewał się krótkiego wypadu na terytorium Cymmerii, może kilku potyczek z czarnowłosymi, oczywiście z przewagą liczebną Vanirów.

Taka zaprawa byłaby dobra dla młodych wojowników, a złoto mile widzianą nagrodą.

A teraz cała wyprawa obracała się w klęskę. Już stracili kilkunastu ludzi i w dodatku nie mieli się czym pochwalić.

Gromada jeńców wymknęła im się z rąk, a oni nie zabili w tej walce nawet jednego czarnowłosego, by podreperować dumę. Teraz za ich plecami znajdowała się jaskinia pełna magii i przerażających demonów, na które Starkad zdążył jedynie rzucić okiem. Daleko w dole widział ogniska obozu Cymmerianów. Z pewnością była to największa armia, jaka zebrała się od czasów Venarium. W tej sytuacji byłoby niezwykle, gdyby choć garść jego ludzi wróciła do Vanaheimu. Zamierzał być jednym z tych, którzy przeżyją, ale wielu wodzów zostało obalonych w następstwie klęsk wypraw mniej poronionych od tej.

Przywódca Vanirów utrzymywał swoje stanowisko za pomocą siły własnego ramienia, ale również musiał mieć szczęście. Wojownicy nie słuchali człowieka, za którym ciągnął pech.

Wszyscy wokół myśleli podobnie. Niektórzy mierzyli go wzrokiem, żując skórzane brzegi tarcz. Starkad wyrwał się z ponurych rozmyślań na widok dwóch ludzi, których wcześniej wysłał na zwiad. Przodem szedł Alfgar, jeden z jego najstarszych i najbardziej zaufanych towarzyszy. Drugim był Hilditon, młodzieniec wyróżniający się umiejętnością wspinaczki, której wyuczył się w rodzinnej, nadmorskiej wiosce, gdzie wszyscy mężczyźni wspinali się na strome klify w poszukiwaniu ptasiego puchu. Zwiadowcy przykucnęli obok wodza.

— Nic dobrego, Starkadzie — wyszeptał Alfgar, potrząsając posiwiałą głową. — Po obu stronach są strome urwiska. Jedyna droga w dół prowadzi przez dolinę, którą przyszliliśmy.

Starkad odwrócił się do Hilditona.

— Nie ma żadnej szansy?

— Ja mógłbym dokonać tego, w dzień i z dobrymi linami, ale reszta nie. To wymaga dużego doświadczenia.

Starkad wskazał ręką za siebie.

— A może przeprowić się na drugą stronę szczytu? Może tam znaleźlibyśmy zejście?

— Grań jest zbyt stroma i pokryta lodem — rzekł Hilditon. — I nie wiemy, na co natkniemy się po drugiej stronie góry. Na pewno stracilibyśmy wielu ludzi i wszystko mogłoby pójść na marne.

— Starkadzie — powiedział Alfgar — porozmawiajmy o tym, co trzeba zrobić przed wschodem słońca. Na dole czeka pod bronią cały cymmeriański lud. Jutro ruszą wyżej.

Lepiej, żeby nas tu wtedy nie było. Ten tłusty cudzoziemiec ma tu do załatwienia jakąś nieczystą sprawę. Niewiele wiem o czarach, ale założyłbym się o całe moje złoto, ziemię, bydło, żony i niewolników, że nie planuje dla nas niczego dobrego. Uciekajmy stąd i to szybko.

— Mądrze mówisz, stary przyjacielu. Gdyby zamiast czarnowłosych tam w dole był

ktokolwiek inny, ruszyłbym ku nim i wdał się w układy. Nawet Aesirowie zachowują się jak rozsądni ludzie, jeżeli poza bitwą nie mają nic do zyskania. Ale nienawiść Cymmerianów jest tak czarna jak ich włosy i serca. Oni wcale nie dbają o złoto, a niewiele o własne życie. Poza tym, zbezczęściliśmy ich święte miejsce i z pewnością pragną zemsty. Ostrzegałem ludzi, że tak będzie.

Alfgar wzruszył ramionami.

— Nie wiemy, czy ta cała armia wyprawiała się na nas. Ponadto jaki wojownik oprze się przyjemności skalania cmentarzyska swoich wrogów?

— Tak, i Cymmerianie nie potrzebują dodatkowego powodu, by łaknąć naszej krwi.

— Ci dwaj czarnowłosi wycięli sobie przez nas drogę — wtrącił Hilditon. — Czy my nie mogliśmy zrobić tego samego? Jeżeli to nam się uda, większość z nas zdoła uciec.

Czarnowłosi nie przyszli tutaj tylko po to, by rozprawić się z nami. Zabiliśmy posłańca z Krwawą Włócznią zaraz po wkroczeniu na terytorium Cymmerii. Już wtedy zgromadzenie było zaplanowane. Jeżeli przebijemy się i popędzimy do domu, może nawet nie będą nas ścigać. Zajmą się tym, co mają do zrobienia na tej górze.

— Mówisz mądrze jak na młodego człowieka. — Starkad z aprobatą pokiwał głową. — Ja również

tak myślałem. Jeżeli uda nam się przebić, w drodze powrotnej możemy zabrać wielu niewolników, skoro wojownicy nie strzegą wiosek. W tej sposób nie powrócimy z pustymi rękami.

— Cokolwiek postanowimy — rzekł Alfgar — musimy zrobić to przed świtem.

— Dobrze. — Starkadowi ulżyło, gdy już wiedział, co począć. — Niech ludzie się przygotowują. Zaatakujemy i rzucimy się do ucieczki.

Dwaj mężczyźni, młody i stary, obeszlili obozowisko i przyciszonymi głosami przekazali rozkazy ludziom siedzącym grupkami. Vanirowie przestali narzekać i ich ponure, gniewne spojrzenia ustąpiły uśmiechom oczekiwania. Bez względu na szansę, zawsze woleli walczyć niż czekać.

Wstali i po cichu przygotowywali się do nocnego marszu i bitwy. Wielu owinęło się płaszczami i kocami, by stłumić szczykanie metalowych łusek, broni i tarcz.

Starkad pomyślał, że powinni przyczernić metal sadzą z ognisk, ale odrzucił ten pomysł.

Mogli otulić się opończami dla zachowania ciszy, ale żaden Vanir udający się na coś, co mogło okazać się ostatnią bitwą, nie chciałby się źle prezentować.

Starkad mimo wszystko był zadowolony. Nawet jeśli ich szansę były niewielkie, to przynajmniej większe niż żadne. I dobrze było prowadzić ludzi do boju! Żałował jedynie tego, że mogą wszyscy zginąć i wtedy nikt nigdy nie będzie opiewał tej bitwy na dworach Vanaheimu. Pieśni i poematy unieśmiertelniały bohatera. Pogwizdując, sprawdził kciukiem ostrość topora.

Rozmyślenia przerwał mu Jaganath, który zaszedł go bezszelestnie od tyłu.

— Wybierasz się dokądś, Starkadzie?

— Tak. Postanowiliśmy odbyć spacer w dół zbocza i zabawić się nieco z czarnowłosymi.

Potem pójdziemy do domu. Możesz zatrzymać swoje złoto. Mam wrażenie, że gdybym na nie czekał, miałbym z niego niewielki pożytek.

— Żał mi rozstawać się z tobą, ale jeżeli takie jest twoje życzenie, nie stanę ci na drodze.

Co więcej, mam coś, co może wam się przydać.

Starkad zmrużył oczy.

— Co? — zapytał podejrzliwie. Ten cudzoziemiec zgodził się na jego dezercję dziwnie łatwo.

— Zrobiłem dla was wszystkich ochronne amulety. Zawierają święty proszek, który ochroni was przed wykryciem i bronią waszych wrogów. Gopalu, pomóż mi je rozdać.

— To bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony — rzekł Starkad, gdy czarnoksiężnik zawiesił mu na szyi maleńki woreczek na jedwabnym sznurku. Młodszy Vendhianin rozdał

amulety pozostałym wojownikom.

— To najmniej, co mogę zrobić — odparł z uśmiechem Jaganath.

Kiedy Vanirowie odeszli, Gopal zapytał:

— Wuju, czy ci ludzie Północy rzeczywiście są tacy głupi, na jakich wyglądają?

Jaganath uśmiechnął się i pokiwał głową tak, że zatrzęsły się jego liczne podbródki.

— Czyż ich prostota nie jest wzniosła, bratanku? Są tak mało subtelni, że człowiek doszukując się spisków, które nigdy by im nie przyszły na myśl, mógłby przechytrzyć samego siebie. Nie ma ofiar lepszych od dobrowolnych, a nigdy żadna owca nie szła na stół ofiarny chętniej niż ci głupcy. Wśród tego tłumu tam w dole jest Cymmerianin wynajęty przez Hathor–Ka. Jeżeli pościg i obłożone klątwą złoto zawiodło, trzeba się go pozbyć. Nie wolno ryzykować, gdy gra toczy się o tak wysoką stawkę. Jeszcze nie jestem pewien, kto i po co ściągnął tu te demony, ale wiem, co zrobić. Te talizmany poszczują je na ludzi obozujących w dolinie. W ten sposób Cymmerianie przestaną nam zagrażać i jednocześnie jaskinia będzie pusta. Zatem bez przeszkód wykonam najważniejsze obrzędy.

— Ty zawsze planujesz wszystko tak elegancko, wuju — rzekł Gopal z przypochlebnym podziwem.

Daleko w dole, we wnętrzu ziemi, koścista i odziana w łachmany postać siedziała ze skrzyżowanymi nogami w ciemnym, bocznym tunelu. Od czasu do czasu mruczała jakieś starożytne inkantacje i uśmiechała się do siebie.

BITWA WŚRÓD GROBÓW

Cymmeriański obóz rozciągał się w poprzek Pola Śmierci po ograniczające je zbocza doliny. Wojownicy ułożyli omszałe kamienie kurhanów i uprzątnęli świadectwa

zbezczeszczenia. Jednakże prawdziwe oczyszczenie jeszcze nie było możliwe. Można go było dokonać jedynie przez przelanie krwi świętokradców.

Conan powoli wędrował przez obozowisko, wdychając dym torfowych ognisk i słuchając przyciszonych rozmów. W innych armiach młodzi i niedoświadczeni ludzie rozprawialiby nerwowo o tym, co ich czeka. Ci z niewielkim doświadczeniem pyszniliby się minionymi zwycięstwami. Prawdziwi weterani zaś trzymaliby się osobno, doglądając rynsztunku i próbując złapać trochę snu. Cymmerianie pod tym względem, jak i pod wieloma innymi całkowicie różnili się od pozostałych nacji. Ze strzępków rozmów, jakie wychwytał mijając ogniska, Conan wywnioskował, że rozmawiają o codziennych sprawach: o swoich żonach i dzieciach, o bydło i kłopotach z sąsiednimi klanami. Było tak, jakby przybyli nie na bitwę, a na jarmark. Raz jeszcze Conan poczuł, że jest obcy we własnym kraju.

Tylko w obozie Aesirów znalazł ten rodzaj wspólnoty wojowników, której mu brakowało.

Żółtowołosi śmiali się, śpiewali i przekazywali z rąk do rąk olbrzymi bukłak z winem z Południa, podczas gdy kilku młodych Cymmerianów stało z boku i gapiło się na nich, jakby weselący się wojownicy byli jakimiś osobliwymi zwierzętami. Conan wszedł w krąg mężczyzn i przyjął bukłak. Wzniósł go, zadarł głowę i chlusnął sobie strumieniem w usta.

— Hej, Conanie, zostaw nieco dla reszty! — Wulphere miał włosy i brodę tak jasne, że prawie białe. Był nieco starszy od Conana.

On i jego ludzie wyraźnie kontrastowali z posępnymi Cymmerianami. Aesirowie, podobnie jak ich kuzyni Vanirowie, lubowali się w krzykliwych strojach. Ich zbroje wykonane były z wypolerowanego żelaza lub brązu, hełmy zwieńczone rogami lub skrzydłami fantastycznych zwierząt, często pokryte srebrem i złotem. Na rękach nosili liczne bransolety i naramienniki z misternie kutego złota, a wiele rękonośców błyszczało od szlachetnych kamieni. Używając zwierciadeł z polerowanego srebra, liczni wojownicy czesali i splatali brody lub junacko podkręcali wąsy. Przy ich ogniskach śpiewano naraz kilka pieśni. Aesirowie, jak Vanirowie, byli weseli w obozie, dzicy w bitwie i smutni w domu, w otoczeniu rodzin.

Conan wypił jeszcze łyk i przekazał skórzany bukłak następnemu.

— Dlaczego nie przynieśliście piwa, skoro wino jest takie cenne?

— Piwo zajmuje za dużo miejsca — wyjaśnił Wulphere. — I tak zameczyliśmy trzech niewolników, którzy dźwigali nam to wino. Lepiej, żeby to była dobra bitwa, Conanie. By tu przybyć, zrezygnowaliśmy z obiecującej wyprawy na Hyperborejczyków.

— Nie rozczarujesz się. Będą do zabijania Vanirowie i demony.

— To dobrze. Cokolwiek się stanie, wiele pieśni będzie się śpiewać w Asgardzie o tej walce.

Jednooki, szczerbaty mężczyzna podał bukłak z powrotem Conanowi.

— Udaj się z nami, gdy będzie po wszystkim. Minęło wiele lat, od kiedy wkroczyłeś na naszą wilczą ścieżkę. Ciekaw jestem, jakich nowych sztuczek wyuczyłeś się podczas włóczęgi.

— Może tak zrobię, Ulfie, jednakże niczego nie obiecuję. Jutro mogę być martwy albo ty możesz nie żyć. Przed bitwą lepiej nic nie planować.

— Teraz mówisz jak Cymmerianin — stęknął Wulthere.

Conan wyszczerzył zęby.

— Zbyt długo przebywałem między swymi...

Opuścił obozowisko Aesirów i udał się w górę doliny, gdzie wystawiono posterunki. Tutaj nie płonęły ogniska, żeby strażnicy nie stracili zdolności widzenia w ciemności. Stał tu Chulainn z drugim młodym człowiekiem, z czubem Galia na głowie.

— Spokój, kuzynie — oznajmił Chulainn.

— Nie potrwa długo — przepowiedział Conan. — Mamy nie więcej niż godzinę do świtu.

Jestem pewien, że uderzą przed wschodem słońca. — Stali przez chwilę w milczeniu, kierując uszy, nosy i oczy w górę, gdzie czaiło się niebezpieczeństwo.

Wojownik Galia pierwszy podniósł głowę, a jego nozdrza rozděły się.

— Idą.

Po chwili pozostali usłyszeli dźwięki ludzi schodzących w dół stoku, jeszcze dużo wyżej.

— Głupcy! — parsknął Chulainn. — Myślą, że uda się im prześliznąć obok Cymmerianów w ich własnych górach.

— Czy są z nimi demony? — zapytał Galia, podnosząc długą tarczę i groźnie potrząsając sękatą maczugą.

Conan potrząsnął głową.

— To Vanirowie. Próbują uciec, jak sądzę. Zatem rozgrzejemy się przed prawdziwą bitwą.

— Wy dwaj już kilku zabiliście — rzekł Galia. — Idźcie obudzić innych. Ja zostanę tutaj.

W jego oczach zapłonęła żądza mordy.

— Nie — sprzeciwił się Conan — wszyscy cofniemy się do ognisk. Walcząc w ciemności można pozabijać swoich.

Galia mruknął pod nosem, ale posłuchał. Gdy znaleźli się w świetle pierwszego ogniska, Conan oznajmił:

— Idą Vanirowie.

Spokojnie, bez zbędnego zamieszania, wojownicy przygotowali miecze i włócznie. Nieco cichsze rozmowy były jedynym znakiem, że są gotowi do walki.

Kiedy Vanirowie znaleźli się w odległości pięćdziesięciu kroków, zrzucili opończe i koce, wznieśli okrzyk wojenny i rzucili się na Cymmerianów. Ich jedyna szansa polegała na przedarciu się przez obóz w zbitej gromadzie, więc wdarli się klinem ze Starkadem na czele.

Cymmerianie z radością wybiegli im na spotkanie. Dotychczasowa powaga czarnowłosych zniknęła w szale śmiertelnej walki.

Dzięki sile rozpędu Vanirowie rzeczywiście wbili się klinem głęboko w obóz, ale napierające na nich fale czarnowłosych spowodowały, że zostali zatrzymani. Rozpoczęła się desperacka bitwa. Vanirowie ze wszystkich sił starali trzymać się razem, podczas gdy Cymmerianie, nie mając najmniejszego pojęcia o jakiegokolwiek taktyce, rzucili się na nich hurmem, wrzeszcząc jak opętani.

Conan z początku został odepchnięty przez impet rozpędzonego klina tak jak inni. Jedynie dzięki wielkiej sile i nadzwyczajnemu poczuciu równowagi zdołał utrzymać się na nogach, podczas gdy inni padali pod naporem pędzących Vanirów. Znalazł niską skałkę za plecami i skoczył na jej szczyt. Klin rozszczepił się i gdy stłoczeni wojownicy przebiegali poniżej, Conanowi udało się ściąć kilka głów. Gdy Vanirowie zamierzali się nań włóczniami, Conan wyskoczył w górę. Susem, który zawstydziłby zamorańskiego akrobatę, przeskoczył nad szykiem Vanirów i wylądował po drugiej stronie. Aesirowie, widząc ten wyczyn, wznieśli radosne okrzyki.

Conan wspiął się na szczyt kurhanu i rozejrzał po polu bitwy. Vanirowie desperacko trzymali się razem, ale ich pierwotny impet zniknął. Nie ponieśli jeszcze dużych strat i mogli bronić się skutecznie dopóty, dopóki trzymali się razem. Cymmerianie byli dużo liczniejsi, ale nie mogli wykorzystać tej przewagi w walce z grupą ludzi ukrytych za osłoną tarcz. Gdyby tylko udało się ich rozbić, walka zakończyłaby się w okamgnieniu. Conan spojrział w górę doliny, ale nie było widać nadciągających posiłków.

Zapalono ogniska, których blask rozjaśnił zażartą bitwę toczącą między kurhanami.

Mężczyźni przeklinali, śpiewali i rąbali. Cymmeriańskie miecze podzwaniały na

Vanaheimskich kolczugach i hełmach, topory Vanirów rozłupywały głowy i nie chronione zbrojami ciała Cymmerianów. W powietrzu unosił się słodkawy zapach krwi. Conan nieledwie słyszał zadowolony pomruk martwych cymmeriańskich naczelników, gdy krew ich wrogów wsiąkała w głąb ziemi.

Conan zbiegł z kurhanu i rzucił się na Vanirów. Rozrąbał tarczę i ukryte za nią ramię, po czym zadał drugi cios, uśmiercając rudobrodego. Inny próbował zająć miejsce zabitego, ale jakiś Galia roztrzaskał mu głowę maczugą.

Conan wdarł się w powstałą lukę, tnąc zapamiętałe mieczem, a każde jego cięcie posyłało wyjącego Vanira na ziemię. Wcinał się coraz głębiej w ich szeregi i poszerzał wyłom. Inni podążyli za nim i klin Vanirów zaczął się rozpadać. Szczęk zderzającej się broni i wrzaski ludzi były ogłuszające, a ziemia pod nogami stawała się coraz bardziej śliska. Vanirowie bronili się z zacieklą desperacją, ale atakujący wpadli dosłownie w obłęd. Conan zobaczył, jak jakiś Aesir odrzucił tarczę, zdarł z siebie kolczugę i rzucił się głową naprzód w sam środek Vanirów. W jednej chwili został pocięty na kawałki, ale umarł z zębami zaciśniętymi na gardle wroga. Vanirowie wyli, piana tryskała im z ust, gryźli skraje tarcz i tupali, a każde uderzenie ich stóp wznosiło bryzgi krwi z zalanego posoką gruntu.

Wreszcie napastnicy zostali rozbici na małe grupki, a potem na pary wojowników stojących do siebie plecami. W końcu walczyli samotnie, bez szansy na przeżycie. Ich jedyną myślą było zabranie z sobą jak najwięcej wrogów. Conan zobaczył wodza, którego widział przed jaskinią Croma i rzucił się ku niemu. Nikt nawet nie pomyślał, by oszczędzić pozostałych przy życiu Vanirów. Stulecia nienawiści i żądza zemsty zabraniały tego, a sami Vanirowie uznaliby propozycję poddania za odrazę. Na Północy, gdy ktoś stawał do bitwy, to trwał w niej do samego choćby i gorzkiego końca.

Starkad na widok Conana skrzywił się w ponurym uśmiechu. Zbroja Vanira nadal była nieuszkodzona, a kunsztowny hełm nosił ślady jedynie kilka płytkich nacięć. Topór i ręce Starkada pokrywała krew.

— Chodź, zabaw się ze mną, czarnowłoso! — zawołał do Conana. Potrząsnął ostrzem. —

Chodź, pocałuj dziewczkę, która utuliła tak wielu twoich krewniaków! Może się jej spodobaś!

— Jeżeli Starkad był zmęczony walką, to nie było tego po nim widać.

— Więcej krwi dla naszych ojców! — wrzasnął Conan, rzucając się na naczelnika.

Starkad uskoczył przed pierwszym ciosem i machnął toporem na odlew. Conan uratował się tylko dzięki temu, że runął jak długi na ziemię. Kolejne uderzenie topora przemknęło o grubość palca od jego pleców. Cymmerianin zerwał się na nogi i miecz zadźwignął na hełmie Starkada. Gdy wódz zatoczył się w tył, Conan ciął go w kolano. Nim Vanir upadł, trzeci cios rozplątał go od ramienia do pasa. Conan, stojąc nad powalonym, zatoczył mieczem wielkie koło, by strząsnąć z niego krew i łuski zbroi.

Bitwa została zakończona. Do Conana zbliżył się Canach.

— To była dobra robota, krewniaku. Prawdziwy wojownik przy pracy jest dobrym przykładem dla młodych.

— Jednakże ta bitwa była źle urządzona — rzekł Conan, patrząc ponuro na stosy ciał. —

Straciliśmy zbyt wielu ludzi, bijąc niecałą setkę Vanirów. Oni wycięli prawie tyle samo naszych. Można było wygrać tę bitwę bez tak wielkich strat.

Canach wzruszył ramionami.

— To nie nasz sposób walki, a Vaniorowie są dzielnymi wojownikami, nie tak jak zniewieściali ludzie Południa. Poza tym — naczelnik zdobył się na lekki uśmiech — ja nie widziałem, byś cofnął się i dumał nad najlepszym sposobem walki.

— Może masz rację, ostatecznie jestem Cymmerianinem. — Conan uśmiechnął się niewesoło. — Nie pozwól ludziom na odpoczynek. Myślę, że przed wschodem słońca czeka nas druga bitwa.

— To dobrze. W tłoku wielu nie miało okazji zwilżyć krwią swojej broni. Nie chciałbym, by wrócili do domu niezadowoleni.

Niebo na wschodzie zaczęło szarzeć, kiedy do Conana przyszedł stary Milach z

Chulainnem. Żaden z nich nie był ranny, ale ich poszczerbiona broń świadczyła, że byli w gąszczu bitwy.

— Wybacz, iż pomyślałem, że zabiłeś, Conanie — rzekł Milach. — Miałem na ciebie oko podczas bitwy. Jestem prawie tak samo szybki i silny jak dawniej.

— To pewnie dzięki owsiance. Ona sprawia, że człowiek przestaje bać się śmierci... —

Conan, mówiąc te słowa, uchwycił błysk na zboczu. Słońce było jeszcze schowane za horyzontem, ale najwcześniejsze promienie oświetlały już sam szczyt Ben Morgh. Niedługo światło miało ogarnąć niższe partie góry i zajrzeć do jaskini Croma. Conan wiedział, że musi się tam znaleźć, zanim to nastąpi. Podszedł do kurhanu i odszukał swój tobolek. Był to owinięty w płaszcz flakonik, który dała mu Hathor-Ka. W obozowisku znalazł dzban do przechowywania żaru i zabrał go ze sobą. Nie chciał tracić czasu na rozniecanie ognia, gdy znajdzie się na miejscu.

Conan ruszył w górę doliny, a inni podążyli za nim. Wszyscy chcieli przepędzić demony plugawiące dom Croma. Niebo bladło i niepotrzebne już były ogniska do oświetlania pola walki. Wkrótce miało zrobić się całkiem jasno. Conan spodziewał się, że straszdyła uderzą lada chwila i przypomniał sobie chmurę, którą widywano tam, gdzie akurat przebywał.

Rozległ się gniewny pomruk, gdy wojownicy zobaczyli jamę przed wejściem do jaskini.

Było to świętokradztwo równie wielkie, jak zbezczeszczenie grobowców przez horde Vanirów. I wtedy z jaskini wychynęło całe plugastwo Piekieł. W jednej chwili pole przed dołem było puste, w następnej Conan walczył desperacko z czymś, co wyglądało jak skrzyżowanie ćmy z małpą.

Stwór miał drugie, rude kudły, oklapnięte skrzydła i ogromne ślepia, lecz Conana bardziej niepokoił

tasak o szerokim ostrzu, którym wymachiwał przeciwnik. Demon walczył jednak bez znajomości sztuki walki. Conan ocenił odległość, cofnął się i rozłupał bestii łeb. Ona jednak dalej waliła na ślepo, Znieruchomiła dopiero, gdy Cymmerianin całkowicie odrąbał

jej głowę.

Wokół Conana trwała obłąkańcza walka między wrzeszczącymi ludźmi a upiorami z piekła rodem. Stworzenia podobne do owadów łatwo było zabić, ale te jaszczurowate były daleko trudniejszymi przeciwnikami. Conan poczuł, że przepelnia go poczucie dumy. Każda widziana przezeń cywilizowana armia pierzchłaby w popłochu przed tą nieziemską siłą.

Natomiast ta cymmeriańska horda wraz ze sprzymierzonymi Aesirami runęła w bój bez cienia wahania.

Na Conana rzuciło się drugie wyjące straszycło, wyposażone w macki i nietoperze skrzydła.

Conan przeciął ją w pół, aż ostrze z rozpędu zaryło się w ziemi. Wyszarpnął miecz i słońce błysnęło na błękitnym metalu. Conan spojrział w górę zbocza i zobaczył, że słońce prawie oświetla jaskinię.

Nie bał się o wynik bitwy. Demony były śmiertelne, a więc Cymmerianie wkrótce musieli wybić je do nogi. Ruszył w górę. Dwa razy został zaatakowany i dwa razy strząsnął krew z ostrza. Potem stanął u wejścia do jaskini.

Zdumiał się, bowiem cała grota dygotała. U jej końca, w pobliżu olbrzymich stóp Croma, Conan dostrzegł dwie maleńkie postacie płaszące przed jakimś ołtarzem. Tak jak się spodziewał, byli to ci dwaj cudzoziemcy, których po raz pierwszy zobaczył w towarzystwie Vanirów. Jeden z nich, mniejszy, zauważył Conana i jego oczy rozszerzyły się z gniewu.

Wyciągnął sztylet zza opasującej go szarfy i ruszył w stronę przybysza.

Conan rzucił przyniesione w tobołku narzędzie drewna i cisnął na stos węgle z dzbanka.

Suche drewno szybko stanęło w płomieniach.

— Ty brudny barbarzyńco! — wrzasnął młody człowiek, w którym Conan rozpoznał teraz Vendhianina. — Jak śmiesz przeszkadzać?

Mężczyzna rzucił się nań jak wyszkolony zabójca. Jego ruchy były tak szybkie, że widać było jedynie smugę stali sztyletu, wymierzonego w brzuch Cymmerianina. Conan prawie niedbałym ruchem miecza przerwał ten atak. Vendhianin zatoczył się. Przyciskając ręce do skrwawionej twarzy, zawył z bólu i ucichł.

Ogień palił się w najlepsze, gdy pierwsze promienie słońca wpłynęły mętym strumieniem do jaskini. Conan wyrwał zatyczkę z flakonika i wysypał w płomienie drobny jak proszek popiół.

— Hathor–Ka! Hathor–Ka! Hathor–Ka! — głos Conana przetoczył się przez jaskinię jak grzmot. Barbarzyńcy włos zjeżył się na karku, gdy zastanowił się, jakież to czarodziejskie moce wyzwolił.

Jego misja została wypełniona, a słowo dotrzymane, mógł wyjść z jaskini, jednakże coś go powstrzymało. Nad ogniskiem uniosła się chmura gęstego dymu. Stopniowo, jakby z oddali, zaczął dobiegać głos śpiewający w nieludzkim języku. Dym zaczął formować się w kształt postaci i przed oczami Conana ukazała się piękna i zła Stygijka. Stała w płomieniach, które lizały bosa stopy nie czyniąc jej krzywdy. Szaty Hathor–Ka powiewały na nie wyczuwalnym wietrze. Kobieta zignorowała Cymmerianina, a on z osłupieniem przyglądał się, jak ruszyła w głąb jaskini. Popchnięty przez siłę, której nie potrafił nazwać, podążył za nią.

Zatrzymała się na skraju jamy przed stopami Croma. Jaganath stał kilka kroków od niej, pot spływał mu po twarzy, gdy pośpiesznie mamrotał zaklęcia. Dwoje magów zachowywało się tak, jakby poza nimi w jaskini nie było nikogo innego. Z głębi góry wydobyło się głębokie dudnienie i światło w jaskini uległo zmianie. Conan stał w milczeniu, zaciskając miecz w garści, ale jakież pożytek mógł być z miecza przeciwko oszalałym czarnoksiężskim mocom?

Potem pojawiła się jeszcze jedna postać. Z cieni za kolosalną figurą Croma wyłoniła się majestatyczna postać odziana w długie, kunsztowne szaty, kryjąca ręce w szerokich rękawach. Na głowie miała wysoki, dziwny kapelusz. Chociaż Conan tego nie wiedział, nowo przybyły posiadał wszystkie atrybuty Khitajskiego Czarnoksiężnika Pierwszej Rangi, członka Porządku Srebrnego Pawia.

— Zmieniłeś się, Cha — rzekł Conan.

— A ty wyglądasz tak samo. Ale popatrz! To spektakl dwojga głupich, zarozumiałych magów, którym się wydaje, że mogą zostać bogami.

— A mogą?

— To możliwe. — Cha wysunął dłoń z rękawa i pogładził długą, śnieżnobiałą brodę oraz cienkie wąsy opadające aż na piersi. — Ale wszystko stanie się wedle woli bogów, którzy zapragnęli zabawić się tymi szaleńcami.

Grota dygotała. Inkantacje pary czarnoksiężników stały się tak wysokie, że prawie wykraczały poza zasięg ludzkiego słuchu. Z dziury prowadzącej do położonych niżej jaskiń zaczął wyłaniać się niewyobrażalny kształt. Conan widział go wcześniej w jamie przed jaskinią Croma. Znow ujrzał wijące się macki, oślizgłe łapy, ssawki i paszcze pełne groźnych, ociekających śluzem kłów. Potwór miał oczy błyszczące jak diamenty i tak nienaturalne, że Conan mógł znieść ich spojrzenie jedynie przez chwilę. Najbardziej przerażające było to, że lśniła w nich jakaś bezlitosna inteligencja.

— To oni wezwali go z innego wszechświata — objaśnił Cha tonem tak opanowanym, jak gdyby komentował jakąś wymyślną figurę nieznanego Conanowi tańca. — To rodzaj boga, który według nich spotęguje ich czary. Och, jak strasznie się mylą! Ten potwór nie ma zamiaru udzielić im żadnej pomocy. To z jego świata Hathor–Ka sprowadziła istoty, które ty nazwałeś demonami. Potrzebowała ich, by spędzili i uwięzili jeńców przeznaczonych na ofiarę. Ty i twoi Cymmerianie pokrzyżowaliście jej plany. Vendhianie przywiedli swoich najemników na żer dla demonów, ale Vanirowie oszukali ich i umarli godną śmiercią. Teraz żadne z nich nie ma przewagi.

Nagle głos Hathor–Ka załamał się, podczas gdy Jaganath bez chwili wytchnienia recytował zaklęcia. Oczy czarodziejki rozszerzyły się, jakby poznała jakąś straszliwą prawdę.

Monstrualne straszdyło wysunęło mackę i owinęło ją wokół jej talii, po czym podniosło ją powoli. Hathor–Ka rozpaczliwie wznowiła inkantacje. Jej szaleńczy bełkot przerodził się we wrzask, gdy potwór wżarł się w jej ciało pękiem zaopatrzonych w kły ssawek.

W głosie Jaganatha rozbrzmiał triumf, po czym w jaskini zapadła cisza. Wtedy Jaganath zaczął rosnać. Puchł i stawał się coraz większy i coraz bardziej majestatyczny, aż wzniósł się jak wieża nad dwoma ludźmi stojącymi na dnie jaskini.

— Spełniłem przepowiednię Skelos! — wykrzyknął w ekstazie. — Jestem panem wszystkich czarnoksiężników ziemi do czasu następnego upadku Strzały Indry!

— Żaden cudzoziemski pies nie będzie panował w Domu Croma! — ryknął Conan. Rzucił się w stronę ogromnej postaci, ujął miecz w obie ręce i z całej siły wraził stal w sterczący nad nim brzuch. Miecz wszedł lekko i utkwiał w tkankach. Conan puścił rękojeść i cofnął się.

Jaganath spojrzał na sterczącą ze swego brzucha broń i roześmiał się drwiąco.

— Myślisz, że broń wykonana rękoma śmiertelnika może mnie zranić? — Ujął rękojeść w olbrzymią dłoń i szarpnął, ale stal ani drgnęła.

Cha wzniósł ramiona.

— Patrzysz na miecz Króla Valuzji, wykuty cztery tysiące lat temu z fragmentu meteorytu, z jednej ze Strzał Indry!

Twarz Jaganatha wykrzywił gniew. Szaleńczo szarpał za miecz, powiększając dziurę w brzuchu. Krew, dym i płomień wytrysnęły z rany, a obłąkańcze wycie maga odbiło się echem w jaskini sprawiając, że kamienie posypały się ze stropu. Czarnoksiężnik–półbóg zaczął się kurczyć.

— To niemożliwe! — wył Jaganath, a jego głos cichł w miarę kurczenia się ciała. — Jestem bogiem! Jestem królem czarnoksiężników!

Conan zbliżył się doń i złapał za rękojeść miecza. Wyszarpnął go z tłustego cielska, czemu towarzyszyło głośne cmoknięcie. Jaganath padł, stając się na powrót jedynie grubym człowiekiem. Niedługo stał się grubym trupem.

Z tyłu dobiegł niesamowity dźwięk. Conan obejrzał się i zobaczył, że pełźnie ku nim potwór z jamy. Cha szarpnął go za ramię.

— Pora iść!

Majestat Cha zniknął, gdy Khitajczyk zebrał fałdy długiej szaty i pędem rzucił się do wyjścia, błyskając w biegu kościstymi kolanami. Conan bez namysłu pomknął za nim. W

jaskini znów zadudniło i zadygotał cały szczyt góry.

Byli przy samym wyjściu, gdy Conan zatrzymał się i zerknął przez ramię. Potwór nadal był

w grocie, ale sceneria uległa jakiejś zmianie. Za moment zrozumiał w czym rzecz. Tron Croma był pusty. Ledwie Conan zdążył uzmysłowić sobie ten fakt, gdy gigantyczna kamienna stopa opadła na wijące się paskudztwo wgniatając je bezlitośnie w podłoże jaskini.

Za chwilę ten sam los spotkał ciało Jaganatha.

XVI

POŻEGNANIE CYMMERII

Conan, otulony szczelnie płaszczem, siedział na gołym kamieniu. Padał śnieg. Zima przyszła na Ben Morgh, ale każdy mieszkaniec Północy wołał swojski mróz od nieziemskiego ciepła, jakie zastali na świętej górze. Przez cały dzień i całą noc wojownicy przeszukiwali jaskinie pod Ben Morgh, wyprowadzając pozostałych przy życiu więźniów. Większość z nich była Cymmerianami lub przedstawicielami innych północnych ludów, ale niektórzy należeli do narodów, których nikt nie potrafił zidentyfikować, nawet obieżyświat Conan czy uczony Cha.

Khitajczyk zbliżył się do Conana. Znow wyglądał jak obszarpany szarlatan.

— Już po wszystkim. Dolne jaskinie zapadają się, a lada chwila zawali się także ta jama.

Wasz Crom ich nie chce.

— Dlaczego Hathor–Ka się nie udało? — spytał Conan.

— Sprzymierzyła się z Thoth–Amonem. To wielki czarnoksiężnik, zły, ale bardzo mądry.

Wiedział, że nawet on nie może igrać z tymi mocami. Zdradził jej czar Wielkiego Wezwania poza najważniejszym wersem! Dawno temu mógł położyć kres całej sprawie, ale uznał, że jeżeli tego nie uczyni, to łatwym kosztem pozbędzie się rywali.

— Mam nadzieję, że kiedyś go spotkam...

Cha wyciągnął rękę.

— Oddasz mi amulet? — To jeden z moich najlepszych. Może mi się jeszcze przyda.

Conan ujął wisiołek w dłoń.

— Zapłaciłem za niego. Co dasz mi w zamian?

Cha uśmiechnął się szeroko.

— Przepowiedzieć ci fortunę?

— Jeżeli będzie lepsza niż ostatnim razem.

— Znakomicie! Jak ci się podoba coś takiego: pewnego dnia zostaniesz królem Aquilonii.

Nieźle, nieprawdaż?

— Cóż, przypuszczam, że taka wróżba warta jest amuletu. — Conan zdjął rzemień, nie wierząc w ani jedno słowo. Rzucił amulet Cha, który złapał go, zanosząc się chichotem.

— Zatem bywaj. Muszę złapać mojego smoka. Staruszek zniknął wśród skał, a Conan potrząsnął głową. Było mu żal, że widzi Khitajczyka po raz ostatni.

Na Polu Śmierci Conan zastał zgromadzonych wojowników. Nowy kopiec oznaczył

miejsce, w którym pochowano poległych. Cymmerianie zakończyli pogrzebowe obrzędy i byli gotowi do odejścia.

Conan odszukał Canacha.

— A co zrobimy z nimi? — zapytał, wskazując na grupę uwolnionych więźniów, którzy drżeli z zimna.

— Trzeba dać im zapasy i wyprawić w drogę — rzekł Canach, — Niektóre z kobiet nadadzą się na żony. Przyda się nam trochę świeżej krwi.

— Po tych jaskiniach — wtrącił Wulphere, radośnie szczerząc zęby — nawet Cymmeria wydaje się znośna.

Zeszli ze stoków Ben Morgh. Poszczególne klany odłączały się stopniowo, by wrócić do swoich siedzib. Dopóki wszyscy nie dotrą do domów, w Cymmerii będzie panował pokój, a potem na nowo rozgorzeją klanowe waśnie. Raz zatrzymali się i spojrzeli w górę. Znad chmur dobiegł dźwięk przypominający łopot wielkich skrzydeł.

Do ziem Canacha dotarli jedynie najbliżsi pobratymcy Conana i oddział Aesirów. W

pobliżu zimowej wioski zatrzymali się po raz ostatni. Chulainn, obejmując Bronwith, podszedł do Conana.

— Zostaniesz z nami przez zimę, Conanie?

— Nie, nie tu jest moje miejsce. Dobrze było wrócić i zobaczyć krewnych, ale dobrze będzie znów ruszyć w drogę. Pójdę z bandą Wulphere i przezimuję w Asgardzie.

— Tedy powodzenia, krewniaku — rzekła Bronwith. Conan odwrócił się, by odejść, ale coś go powstrzymało.

Przeszkadzał mu jakiś wielki miecz u pasa. To nie był już jego miecz. Odparał go i podał wraz z pochwą Chulainnowi.

— Dla twego syna — powiedział i wskoczył na jednego z małych aesirskich kuców.

— Nie jeźdź nagi, Conanie — poradził Wulphere, na jego znak jeden z Aesirów rzucił

Conanowi ostrze zdobyte w walce z Vanirami. Cymmerianin przypasał je z wdzięcznością.

— Conanie! — zawołał Chulainn.

Conan zawrócił kuca.

— Któremu synowi mam go podarować? Zamierzamy mieć wielu. Pierwszemu? Nadamy mu twoje imię.

— Najsilniejszemu — odparł Conan po krótkim namyśle. Zawrócił konia i odjechał z Aesirami.

CONAN NIEZNISZCZALNY L. SPRAGUE DE CAMP

Największym bohaterem obfitującego w czary Wieku Hyboryjskiego był barbarzyńca z Północy, Conan Cymmerianin. Jego wyczyny obrosły licznymi legendami. W głównej mierze legendy te oparte są na sprawdzonych faktach z życia Conana, jednakże niektóre opowieści są niezgodne z innymi, zatem w poniższej sadze pokusimy się o jak najlepsze pogodzenie tych sprzeczności.

W żyłach Conana płynęła krew mieszkańców Atlantydy, znakomitego miasta — państwa pochłoniętego przez morze na osiem tysięcy lat przed czasami, w których żył. Urodził się w klanie zamieszkującym północno — zachodni zakątek Cymmerii, graniczący z Vanaheimem i dziczą Piktów. Conan ujrzał światło dzienne na polu bitewnym, w czasie najazdu Vanirów.

Conan był zręcznym wojownikiem. Wychwalano go wokół ognisk starszyny, nim skończył piętnaście lat. W tym samym roku Cymmerianie, zwykle skaczący sobie do gardeł, połączyli siły, by odeprzeć Gunderlandczyków, którzy chcąc skolonizować południową Cymmerię, przekroczyli granicę z Aquilonią i założyli nadgraniczne miasto Vena — rium. Conan przyłączył się do żądnej krwi hordy, która spłynęła z północnych wyżyn, przedarła się jak burza przez palisady i zepchnęła Aquilończyków z powrotem za granicę.

W czasie plądrowania Venarium Conan mierzył sobie sześć stóp wzrostu i ważył sto osiemdziesiąt funtów, jednakże daleki był jeszcze od osiągniętych później wymiarów.

Posiadał czujność i zręczność urodzonego człowieka lasu, żelazną twardość górala i herkulesową siłę swego ojca, kowala. Po złupieniu aquilońskiego posterunku, powrócił do swego plemienia.

Targany przez niespokojne, młodzieńcze namiętności, kilka miesięcy spędził na włóczędze z Aesirami i brał udział w ich najazdach na Vanirów i Hyperborejczyków. Wkrótce dowiedział się, że niektóre hyperborejskie cytadele rządzone są przez kastę budzących powszechną groźbę magów. Młody barbarzyńca wziął udział w wyprawie na zamek Haloga, a wówczas usłyszał, że hyperborejscy łowcy niewolników uwięzili Rann, córkę Njala, wodza Aesirów.

Conanowi udało się dostać do zamku i uwolnić Rann, lecz w czasie ucieczki z Hyperborei oddział Njala został pokonany przez armię żywych trupów. Conan i niektórzy Aesirowie zostali wzięci do niewoli („Legions of the Dead”).

Conan niedługo pozostał jeńcem. Pracując po nocach, starł jedno ogniwo łańcucha na tyle, że zdołał

je rozerwać. W czasie burzy, wywijając łańcuchem, wywalczył sobie drogę z więzienia i zniknął pod osłoną ulewy.

Inna opowieść dotycząca młodych lat Conana, spisana na pokruszonych glinianych tabliczkach z Nippur, mówi co innego. Conan, jako dziesięcio– czy dwunastoletni chłopiec popadł w niewolę Vanirów, którzy zatrudnili go przy obracaniu żaren. Kiedy wyrósł na potężnie zbudowanego młodzieńca, wykupił go człowiek, który podróżował z grupą gladiatorów walczących ku uciesze Vanirów i Aesirów. W tym czasie Conan nauczył się władać bronią. Później uciekł i powędrował na południe do Zamory („Conan Barbarzyńca”).

Wydaje się, że dokumenty dotyczące uwięzienia szesnastoletniego Conana przez

Hyrkańczyków — spisane na papirusie, obecnie będącym w posiadaniu British Museum —

wydają się bardziej czytelne i logiczne, lecz być może kwestia losów młodego Cymmerianina nigdy nie zostanie jednoznacznie rozstrzygnięta.

Conan uciekł z niewoli, jednakże znajdował się na terenie wrogiego królestwa, daleko od domu. Kierując się instynktem, uciekł w góry na południu Hyperborei. Ścigany przez stado wilków, znalazł schronienie w jaskini. Natknął się tam na siedzącą mumię wojownika ze starożytnych czasów, z leżącym na kolanach ciężkim mieczem. Kiedy Conan ujął broń, postać wstała i zaatakowała go („Rzecz w Krypcie”).

Kontynuując podróż do Zamory, Conan znalazł się w Arenjun, słynnym Mieście Złodziei.

Samowolny z natury i poza elementarnym barbarzyńskim poczuciem honoru i rycerskości nie znający i nie respektujący żadnych praw cywilizacji, wyrobił sobie opinię zawodowego złodzieja.

Z początku był młody i niedoświadczony, bardziej śmiały niż pomysłowy. Jego postępy w nowym rzemiośle nie były najszybsze, dopóki nie sprzymierzył się z Taurusem z Nemedii.

Obaj złodzieje udali się na poszukiwanie słynnego szlachetnego kamienia zwanego „Sercem Słonia”. Klejnot ukryty był w warownej wieży sławnego maga Yary, który pochwycił

pozaziemską istotę Yag–Kosha („Wieża Słonia”).

Szukając lepszych sposobności udoskonalenia złodziejskiego fachu, Conan powędrował na zachód, do stolicy Zamory — Shadizar Przekłętego. Przez pewien czas żył nieźle z tego procederu, aczkolwiek ladacznice Shadizar szybko pomagały mu pozbyć się pieniędzy. W

czasie jednej z kradzieży został otoczony przez ludzi królowej Taramis. Królowa nie uwięziła go, a poruczyła mu wypełnienie misji.

Conan miał odzyskać magiczny róg, który umożliwił wskrzeszenie starożytnego, złego boga. Intryga Taramis doprowadziła do jej własnego unicestwienia („Conan Niszczyciel”).

W kolejny wyczyn barbarzyńcy wmieszana była złodziejka, dziewczyna imieniem Tamira.

Lady Jondra, arogancka arystokratka z Shadizar, posiadała bezcenne rubiny. Baskarańczyk Imalla, fanatyk religijny szerzący dziwny kult wśród kezankijskich górali, pragnął zdobyć władzę nad dyszącym ogniem smokiem, którego wyhodował z jaja. Conan i Tamira marzyli o rubinach. Tamira, chcąc je zdobyć, zatrudniła się na dworze Jondry.

Jondra, zapalona łowczyni, wyprawiła się z Tamira i swymi ludźmi, by zabić smoka wyhodowanego przez Imalla. Baskarańczyk porwał kobiety i miał zamiar rzucić je na przekąskę swemu ulubieńcowi, gdy w porę zainterweniował Conan („Conan the

Magnificent”).

Wkrótce Conan wplątał się w inną przygodę. Pewien nieznajomy wynajął go, by skradł dla niego szkatułkę z klejnotami wysłaną przez króla Zamory dla króla Turanu. Nieznajomy ów

— kapłan węzowego boga Seta, potrzebował klejnotów, aby dopełnić czaru przeciwko swego wrogowi, renegatowi Amanarowi.

Emisariusze Amanara, człekokształtne gady, ukradli szkatułkę. Conan jednak zdołał

odebrać im łup. Słudzy Amanara porwali również do warowni zdrajcy tancerkę, której Conan obiecał pomóc. Później spotkał rozbójniczkę, Karełę zwaną Czerwoną Sokolicą, która okazała się zdradziecką suką. Kiedy Conan uratował ją przed gwałtem, usiłowała go zabić („Conan Niezwyciężony”).

Niedługo potem pogłoski o skarbie pognały Conana do pobliskich ruin starożytnej Larshy.

Przybył tam tuż przed żołnierzami wysłanymi w celu pojmania go. Po tym, jak wszyscy poza dowódcą, kapitanem Nestorem, zginęli w zasadzce przygotowanej przez Conana, Nestor i Conan połączyli siły, by zdobyć skarb, jednakże pech pozbawił ich nagrody („The Hall of the Dead”).

Po tych przygodach Conan zapalał głębokim wstrętem do czarodziejów i magów Wschodu.

Uciekł na północny zachód i przez Corinthię dostał się do Nemedii, drugiego po Aquilonii najpotężniejszego królestwa hyboryjskiego. Tam powrócił do swego złodziejskiego fachu, a jego wyczyny przyciągnęły uwagę Aztriasa Pentaniusa, lekkomyślnego arystokraty. Młody firecyk, przyciśnięty przez karciane długi, wynajął Cymmerianina i zlecił mu kradzież zamorańskiego diamentowego pucharu, który stał w muzeum zamożnego kolekcjonera.

Przybycie Conana do muzeum zbiegło się z nagłym zgonem właściciela, co ściągnęło na młodego złodzieja niepożądaną uwagę Demetria, przełożonego miejskiej Rady

Inkwizycyjnej. To włamanie wzbogaciło również doświadczenie Cymmerianina w dziedzinie znajomości magii węzowego Seta i rozpoczęło wieloletnie zmagania Conana ze stygijskim czarnoksiężnikiem Thoth–Amonem („The God in the Bowl”).

Conan, uznawszy Nemedię za zbyt niebezpieczną, ruszył na południe do Corynthii, gdzie nadal parął się przywłaszczaniem sobie cudzych dóbr. Dzięki swej pracowitości wyrobił sobie reputację

jednego z najbezpieczniejszych złodziei. Z powodu niewłaściwej opinii na temat kobiet został zakuty w łańcuchy i dopiero zwrot w miejscowej polityce dał mu wolność oraz zapewnił dalszą karierę. Ambitny szlachcic Murilo uwolnił Conana podrywając gardło Czerwonemu Kapłanowi, Nabonidusowi, knującemu w celu obalenia miejscowego władcy.

Te knowania zakończyły się bagnem krwi i zdrady („Łotry w domu”).

Conan powędrował z powrotem do Arenjun i zaczął wieść na wpół uczciwe życie, kradnąc przedmioty, które ukradli inni i zwracając je prawowitym właścicielom. Podjął się odzyskania magicznego klejnotu, Oka Erlika, który skradł czarnoksiężnik Hissar Zulu i oddania go właścicielowi, khanowi Zambouli.

W tym punkcie życia Conana napotykały pewne niejasności. Niedawno odczytana

tabliczka z biblioteki Assurbanipala oznajmia, że Conan miał wówczas siedemnaście lat. To lokowałoby ten epizod zaraz po przygodzie opisanej w „Wieży Słonia”, co rzeczywiście uwieczniono pismem klinowym. Ale sądząc z wewnętrznej ewidencji, rzecz miała miejsce kilka lat później. Po pierwsze, Conan wydaje się zbyt bystry, dojrzały i wyrafinowany, po drugie, z zachowanego we fragmentach średniowiecznego manuskryptu arabskiego Kitab al-

Qunn wynika, że Conan miał wówczas dobrze ponad dwadzieścia lat.

Pierwszy tłumacz tabliczki Assurbanipala, prof. dr Andreas von Fuss z Munchner Staatsmuseum, odczytał wiek Conana jako „17”. W babilońskim piśmie klinowym liczba

„17” wyrażana jest przez dwa kółka, za którymi następują trzy pionowe kliny z trzecim poziomym, oznaczającym „minus” — stąd „dwadzieścia minus trzy”. Z drugiej strony, akademik Leonid Skram z Moskiewskiego Instytutu Archeologicznego utrzymuje, że poziomy klin jest po prostu wklęsnięciem uczynionym nieumyślnie przez niedbałego pisarza i liczbę należy odczytywać jako „23”.

W każdym razie, Conan dowiedział się o Oku Erlika podsłuchawszy rozmowę między Isparaną a jej sprzymierzeńcem. Wtargnął do dworu Hissar Zulu, jednak czarnoksiężnik schwytał go i pozbawił duszy. Dusza Conana została uwięziona w zwierciadle i miała w nim pozostać do czasu, dopóki koronowany władca go nie rozbije. Hissar Zulu zmusił Conana do podążenia za Isparaną i odzyskania talizmanu, jednakże kiedy Cymmerianin zwrócił mu Oko Erlika, niewdzięczny mag próbował go zabić („Conan i Czarownik”).

Conan, z duszą nadal zaklętą w zwierciadle, przyjął posadę przybocznego strażnika Khastris, kuzynki khaurańskiej królowej. Dama ta wyruszyła do Khauranu z nim, drugim strażnikiem, Shubalem, oraz kilkoma sługami. Kiedy inni słudzy zaplanowali obrabowanie i zamordowanie Khastris, Conan i Shubal uratowali ją. W Khauranie Conan spotkał owdowiałą królową Ialamis. O jej rękę ubiegał się młody szlachcic, który, jak się okazało, wcale nie był

tym, za kogo się podawał („Conan i Najemnik”). Conan odzyskał duszę i dowiedział się od Iranistańczyka, Khasseka, że khan Zambouli nadal pragnie odzyskać Oko Erlika. Turański gubernator, Akter, wynajął czarnoksiężnika Zafre, który zaczarował miecze tak, że mogły zabijać na rozkaz. W

drodze Conan spotkał Ispanę, z którą nawiązał romans oparty na pożądaniu i nienawiści. Nieświadom istnienia magicznych mieczy, podążył do Zarnbouli i oddał amulet, lecz podstępny Zafra przekonał khana, że Conan jest niebezpieczny i powinien zostać zabity („Conan i miecz Skelos”).

Conanowi spodobał się smak intryg Wieku Hyboryjskiego. Zrozumiał, iż jedyną różnicą między okazjami nadarzającymi się w pałacach a tymi w złodziejskiej dzielnicy jest to, że w tych pierwszych łupy są daleko lepsze. Poza tym był zmęczony nędznym życiem włóczęgi i złodzieja.

Z drugiej strony nie dorósł jeszcze do całkiem praworządnego życia. Kiedy stracił pracę, zajął się przemytem. Próba otrucia go sprawiła, że ruszył do Vendhii, kraju bogactwa i nędzy, filozofii i fanatyzmu, idealizmu i zdrady („Conan the Victorious”).

Wkrótce po tym znalazł się w turańskim porcie Aghrapur. Czarodziej Jhandar ustanowił tutaj nowy kult, podczas obrzędów ofiary były pozbawiane krwi i ożywiane jako jego sługi.

Były kamrat, złodziej Emilio, proponował Conanowi wzięcie udziału w napadzie na warownię Jhandara, by ukraść słynny rubinowy naszyjnik, ale Cymmerianin odmówił.

Turański sierżant, Akeba, nakłonił go do udziału w wyprawie przedsięwziętej w celu uratowania córki, która miała stać się ofiarą wyznawców Jhandara („Conan the Unconquered”).

Po zniszczeniu Jhandara, Akeba namówił Conana do wstąpienia na służbę w turańskiej armii. Cymmerianin był zbyt samowolny i gorąco krwisty, by bez zastrzeżeń podporządkować się dyscyplinie, dlatego z początku nie był zachwycony żołnierskim życiem. Co więcej, w tym czasie był miernym jeźdźcem i kiepskim łucznikiem, został więc przeniesiony do niskopłatnej jednostki nieregularnej.

Jednakże wkrótce nadarzyła mu się okazja udowodnienia swych umiejętności. Król Yildiz wysłał ekspedycję przeciwko zbuntowanemu satrapie. Ten za pomocą czarów starł z powierzchni ziemi wysłane przeciwko sobie wojsko. Przeżył jedynie młody Conan, który następnie dostał się do opętanego magią miasta satrapy, Yaraletu („The Hand of Negral”).

Po triumfalnym powrocie do stolicy Aghrapur, Conan został mianowany honorowym strażnikiem króla Yildiza. Z początku musiał znosić drwiny żołnierzy, naśmiewających się z jego słabej umiejętności jazdy konno i niezdarne strzelanie z łuku. Żarty się skończyły, gdy strażnicy poznali wielką i ciężką jak kowalski młot pięść Conana.

Conan, razem z kushyckim najemnikiem imieniem Jurna, został wybrany do eskortowania córki króla Yildiza, Zosary, na jej ślub z chanem Kujulą, wodzem nomadów Kuigar. U stóp gór Talakma orszak został zaatakowany przez dziwnych, przysadzistych, brązowoskórych jeźdźców odzianych w zbroje z laki. Przeżyli jedynie Conan, Jurna i księżniczka. Zabrano ich do miasta Shamballah, leżącego w subtropikalnej dolinie Meru, gdzie Conan i Jurna zostali przykuci do wioseł meruviańskiej galery, właśnie wyruszającej w rejs.

W powrotnej drodze do Shambalahu Conan i Jurna uciekli i ruszyli do miasta. Dotarli do świątyni Yamy w czasie ceremonii zaślubin szpetnego, zdeformowanego boga — króla Meru z Zosarą („The City of Skulls”).

Po tej przygodzie Conan awansował do stopnia kapitana. Rosnąca sława zabijaki sprawiła, że generałowie króla Yildiza wybrali barbarzyńcę do udziału w szczególnie niebezpiecznej misji. Rozkazali mu eskortować posła wysłanego do krwiożerczego plemienia

zamieszkującego wzgórze Khozgari, mając nadzieję, że dary i groźby wyperswadują im plądrowanie turańskich nizin. Khozga — rowie, szanując jedynie brutalną, przytłaczającą siłę, zaatakowali oddział, zabijając posła i wszystkich poza dwoma żołnierzami: Conanem i Jamalem.

By zapewnić sobie bezpieczny powrót do cywilizacji, Conan i Jamal porwali Shanyę, córkę wodza Khozgari. Ich trasa wiodła przez mglistą wyżynę. Jamal i konie zginęły, a Conan musiał walczyć z hordą bezwłosych małp i zdobyć warownię starożytnej, wymierającej rasy („The People of the Summit”).

Następnym razem Conan został wysłany w podróż na wschód, do oddalonej o tysiące mil legendarnej Khitai, by zanieść królowi Kusanu, Shu, list od króla Yildiza, zawierający propozycję traktatu dotyczącego przyjaźni i zasad wymiany handlowej. Mądry khitajski cesarz odesłał posłańców z listem wyrażającym zgodę. Jako przewodnika jednakże przydzielił

im fircykowatego drobnego szlachcica, księcia Fenga, który miał całkowicie odmienne cele („The Curse of the Monolith”, pierwotnie opublikowane jako „Conan and the Cenotaph”).

Conan jeszcze dwa lata spędził w służbie Turanu, odbywając dalekie podróże i ucząc się zasad zorganizowanej, cywilizowanej sztuki wojennej. Jak zwykle, jego nieodłącznym towarzyszem były kłopoty. W następstwie jednego z niesfornych wybryków, przyłapany z kochanką zwierzchnika, zdezerterował i ruszył do Zamory. W Shadizar usłyszał, że Świątynia Zatha, boga-pająka, w zamorskim mieście Yezud, rekrutuje żołnierzy. Śpiesząc do Yezud dowiedział się, że ubiegła go wolna kompania brythuńskich najemników. Został wtedy miejskim kowalem, ponieważ jako chłopiec wyuczył się tego fachu od ojca.

Conan dowiedział się od emisariusza króla Yildiza, lorda Parveza, że Wysoki Kapłan Feridun przetrzymuje ukochaną żonę króla, Jamilah, w niewoli. Parvez wynajął Conana do uwolnienia Jamilah. Conan postanowił przy okazji zdobyć osiem olbrzymich klejnotów, które tworzyły oczy ogromnego posągu boga-pająka. Gdy obluzowywał szlachetne kamienie, pojawili się kapłani, co zmusiło go do ucieczki do leżącej poniżej krypty. Tancerka świątynna Rudabeth, która była jego pierwszą prawdziwą miłością, przyszła, by ostrzec go przed czekającym nań w krypcie przeznaczeniem. Conan nie zdążył... („Conan i Bóg Pająk”).

Następnie Conan pojechał do Shadizar, zwabiony pogłoską o skarbie. Zdobył mapę, która wskazywała miejsce ukrycia wysadzanego rubinami złotego fetysza w górach

Kezankiańskich, ale została ona skradziona. Conan, ścigając złodziei, starł się z kezankiańskimi

góralami i musiał sprzymierzyć się ze ściganymi. Znalazł skarb, lecz stracił

go w dziwnych okolicznościach („The Bloodstained God”).

Mając dość magii, wrócił do Cymmerii. Proste, nie obfitujące w przygody życie w rodzinnej wiosce wkrótce go znużyło, przyłączył się więc do starych przyjaciół, Aesirów, i wziął udział

w wyprawie na Vanaheim. W ciężkiej walce na pokrytej śniegiem równinie oddziały obu stron zostały starte do szczętu, poza Conanem, który powędrował na dziwne spotkanie z legendarną Atali, córką mroźnego giganta Ymira („Córka Lodowego Olbrzyma”).

Prześladowany przez lodowe piękno Atali, skierował się z powrotem na południe, gdzie wbrew swej często głoszonej pogardzie dla cywilizacji, nęciły go złote iglice rojnych miast.

W górach Eigolfiańskich uratował młodą kobietę przed kanibalami, ale nadmierna pewność siebie sprawiła, że padła ona łupem straszliwego, nawiedzającego lodowce monstrum („Lair of the Ice Worm”).

Conan wrócił do krain hyboryjskich, do których zaliczały się Aquilonia, Argos, Brythunia, Corynthia, Koth, Nemedii, Ophir i Zingara. Nazwa tych terenów pochodziła od

Hyboryjczyków — barbarzyńskiego ludu, który trzy tysiące lat wcześniej podbił cesarstwo Acheron, zwane też Archeonem, i na jego ruinach wznosił cywilizowane królestwa.

W Belverus, stolicy Nemedii, ambitny, parający się magią lord Albanus uzurpował sobie prawa do tronu króla Gariana. Albanus podarował magiczny miecz lordowi Mliusowi, który gdy tylko ujął tę broń, zwariował i rzucił się na niewinnych przechodniów. Conan szukał w tym mieście zamożnego patrona, który umożliwiłby mu założenie własnej kompanii najemników. Spotkał Hordo, jednookiego złodzieja i przemytnika, którego znał wcześniej jako porucznika Kareli.

Conan sprzedał zaczarowany miecz, zorganizował kompanię i nauczył swych ludzi strzelać z łuku z końskiego grzbietu. Potem nakłonił króla Gariana, by ten go wynajął. Tymczasem Albanus wykonał człowieka z gliny i za pomocą czarów nadał mu powierzchowność króla.

Potem uwięził prawowitego władcę, zastępując go golemem, a Conana oskarżył o popełnienie morderstwa („Conan Obrońca”).

Conan powiódł swych ludzi do Ianthe, stolicy Ophiru. Tam lady Synelle, platynowowłosa czarodziejka, chciała ożywić demona Al’Kirra. Conan kupił posążek tej istoty i wkrótce odkrył, że próbują mu go wykraść różni ludzie. On i jego kompania służyli Synelle, nie znając jej planów. Wtedy pojawiła się rozbójniczka Karela i jak zwykle, próbowała zamordować Conana. Synelle wynajęła ją, by dziewczyna ukradła statuetkę, której potrzebowała do odprawienia swych czarów, a następnie miała zamiar złożyć Karele w ofierze („Conan the Triumphant”).

Uporawszy się z kłopotami Conan udał się do Argos, ale w tym królestwie panował pokój, nie było więc zajęcia dla najemników. Konflikt z prawem zmusił Conana do ucieczki na pokład kupieckiej galery „Argus”, płynącej do brzegów Kush.

W ten sposób zaczął się główny rozdział w życiu Conana. „Argus” padł łupem pirackiego okrętu „Tygrysica”. Dowodziła nim Belit, którą bezlitośni czarni korsarze uczynili panią przybrzeżnych wód Kush. Conan zdobył Belit i udział w jej krwawym rzemiośle („Królowa Czarnego Wybrzeża”, rozdział 1).

Lata wcześniej, Belit, córka shemickiego kupca, została wraz z bratem Jehananem porwana w niewolę przez stygijskich łowców niewolników. Teraz poprosiła swego kochanka Conana, by uratował młodzieńca. Barbarzyńca wśliznął się do Khemi, stygijskiego portu morskiego, został schwytany, ale uciekł we wschodni kraniec Stygii, do prowincji Tają, gdzie przygotowywano powstanie przeciwko stygijskim ciemnościom („Conan Buntownik”).

Conan i Belit podjęli swą piracką karierę, polując głównie na stygijskie statki. Potem zły los rzucił ich w górę rzeki Zakhreby do zaginionego miasta starożytnej skrzydlatej rasy („Królowa Czarnego Wybrzeża”, rozdziały 2–5).

Gdy płonący pogrzebowy okręt Belit odpływał w dal, przygnębiony Conan zwrócił się plecami do morza, na którym miał się pojawić dopiero po latach. Ruszył w głąb lądu i przyłączył się do rozmiłowanego w wojnie czarnego plemienia Bamulasów, którego siła szybko wzrosła pod komendą Cymmerianina.

Wódz sąsiedniego plemienia Bakalahsów planował podstępny atak na kolejnego sąsiada i zaprosił Conana oraz jego Bamulasów do udziału w grabieży i masakrze. Conan wyraził

zgode, ale, dowiedziawszy się, że w niewoli w Bakalah przebywa ophirańska dziewczyna, Livia, zdradził Bakalahsów. Livia uciekła w czasie rzezi i znalazła się w tajemniczej dolinie, gdzie tylko przybycie Conana uratowało ją przed złożeniem w ofierze pozaziemskiej istocie („The Vale of Lost Women”).

Zanim Conan zdołał zbudować swe czarne imperium, szyki pokrzyżował mu szereg klęsk żywiołowych oraz intrygi wrogów Bamulasów. Zmuszony do ucieczki, skierował się na północ. Wymykając się tropiącym go na płaskowyżu lwom, znalazł schronienie w

tajemniczych ruinach zamku przedludzkiego pochodzenia. Tam starł się ze stygijskimi łowcami niewolników i nadnaturalnym stworem („The Castle of Terror”).

Kontynuując wędrówkę, dotarł do na wpół ucywilizowanego królestwa Kush. Była to kraina, do której odnosiła się nazwa „Kush”, chociaż Conan, jak inni ludzie Północy, tym mianem określał wszystkie czarne kraje leżące na południe od Stygii. W mieście Meroa Conan uratował przed wrogim tłumem młodą królową Kush, arogancką, impulsywną, dziką, okrutną i zmysłową Tanandę.

Wkrótce wplątał się w skomplikowaną intrygę między Tanandą a ambitnym możnowładcą, który posiadał władzę nad podobnym do dzika demonem. Sytuację pogarszała obecność Diany, nemedyjskiej niewolnicy, do której Conan poczuł słabość mimo szalejącej z zazdrości Tanandy. Punktem kulminacyjnym wydarzeń stała się noc rzezi („The Snout in the Dark”).

Conan, niezadowolony ze swych osiągnięć w czarnych krajach, pociągnął ku pastwiskom Shem i został żołnierzem Akkharii, shemickiego państwa–miasta. Przyłączył się do ochotników, których celem było wyzwolenie sąsiedniego miasta — państwa, jednak z powodu zdrady Othbaala, kuzyna szalonego króla Akhiroma, wojska Akkharii zostały rozbite.

Conan przeżył, a następnie śledził spiskowców do Asgalunu, stolicy Pelishti. Tam wplątał się w wojnę między szalonym Akhiromem, zdraździeckim Othbaalem, stygijskim

czarnoksiężnikiem i kompanią czarnych najemników. W plątaniu magii, stali i krwi, porwał rudowłosą kochankę Othbaala, Rufie, i pogalopował na północ („Hawks Over Shem”).

Dalsze poczynania Conana są niezbyt dobrze ustalone. Jedna opowieść, czasami

przyporządkowywana temu okresowi, mówi, że Conan służył jako najemnik w Zingarze. Ze znajdującego się w British Museum ptolemejskiego papyrusu wiadomo, że w Kordavie, stolicy, doszło do pojedynku między kapitanem regularnej armii a Conanem. Conan zabił

przeciwnika i został skazany na śmierć przez powieszenie, inny skazaniec, Santidio, należał

do tajnego stowarzyszenia Biała Róża, które miało zamiar obalić króla Rimanendo. Gdy inni konspiratorzy uczynili zamieszanie w tłumie, który zebrał się, by obejrzeć egzekucję, Conan i Santidio uciekli.

Conan został zwerbowany przez Mordermiego, herszta wyjętej spod prawa bandy

sprzymierzonej z Białą Różą. Siedzibą spiskowców była Nora, czyli labirynt tuneli pod Kordawą. Kiedy król wysłał armię, by oczyszczono Norę, powstańców uratował Callidos, stygijski czarnoksiężnik. Król Rimanendo został zabity, a Mordermi obwołał się nowym władcą. Kiedy okazał się gorszym tyranem niż poprzednik, Conan wywołał kolejną rewoltę, a potem, rezygnując z zaoferowanej mu korony, odjechał. („Conan i Droga Królów”).

Ta opowieść zawiera wiele kwestii spornych. Jeżeli jest autentyczna, może dotyczyć wcześniejszego rozdziału życia Conana–najemnika i toczyć się w czasie akcji „Conana Obrońcy”. Inne źródła jednakże twierdzą, że Conan po raz pierwszy odwiedził Zingary jako trzydziestoparoletni mężczyzna („Conan the Buccaneer”). Co więcej, żaden ze wspomnianych w papyrusie władców Zingary nie pojawia się na liście królów Zingary w bizantyjskim manuskrypcie Hoi Anuktes tas Tzingaras. Wskutek tego badacze uważają, że albo papyrus został podrobiony, albo Conana pomyłono z jakimś innym bohaterem. Wszyscy inni znawcy przedmiotu wskazują, iż gdyby rzeczywiście Conanowi zaoferowano zingarańską koronę, to on złapałby ją obiema rękami.

Następnie dowiadujemy się, że Conan wstąpił na służbę u Amalrica z Nemedii, generała królowej–regentki Yasmeli, władczyni małego królestwa Khoraja. Podczas gdy brat Yasmeli, król Khossus, był więźniem w Ophirze, granice Khorai zostały najebrane przez siły zawaolowanego czarnoksiężnika Natohka, będącego w rzeczywistości nieżyjącym od trzech tysięcy lat Thung Khotanem ze zrujnowanego miasta Kuthchemes.

Yasmela, posłuszna wyroczni Mitry, najwyższego boga Hyborii, uczyniła Conana dowódcą armii Khorai. Cymmerianin wydał bitwę wojskom Natohka, wcześniej ratując królową —

regentkę przed magią czarnoksiężnika. Conan wygrał bitwę i... królową („Black Colossus”).

Mając prawie trzydzieści lat, osiadł w Khorai jako głównodowodzący tamtejszej armii. Miał nadzieję zostać kochankiem królowej, lecz ona, zbyt zajęta sprawami stanu, nie miała czasu na amory. Nawet zaproponował jej małżeństwo, ale królowa wyjaśniła, że taki związek nie zostałby usankcjonowany przez khorajańskie prawo i obyczaje. Jednakże stwierdziła, że gdyby Conan zdołał wyrwać jej brata z niewoli, to ona mogłaby nakłonić uwolnionego Khossusa do zmiany prawa.

Conan dotarł wraz z Rhazesem, astrologiem i Fronto, złodziejem znającym sekretne przejście, do lochu, w którym marniał Khossus. Uratowali króla, ale sami wpadli w pułapkę zastawioną przez kothyjskich żołnierzy, bowiem Strabonus z Koth miał własne powody, by chcieć uwięzić króla Khorai.

Conan pokonawszy te przeszkody odkrył, że Khossus, nadęty błazen, nawet nie chce słyszeć o małżeństwie cudzoziemskiego barbarzyńcy ze swoją siostrą. Zamiast tego chciał

ożenić Yasmelę z jakimś szlachetnie urodzonym, a Conanowi znaleźć żonę mieszczańkę.

Conan nic nie powiedział, ale w Argos, gdy statek odbijał od brzegu, zeskoczył na ląd. Zabrał

z sobą większość złota Khossusa i pomachał królowi w ironicznym pożegnaniu („Shadows in the Dark”).

Prawie trzydziestoletni Conan zapragnął znów odwiedzić rodzinną Cymmerię, a tam pomścić się na Hyperborejczykach. Jego rówieśnicy, tak Cymmerianie jak i Aesirowie, mieli żony i płodzili synów. Niektórzy chłopcy mieli prawie tyle samo lat i byli tak rośli jak Conan pod Venarium. Lata przelewu krwi i bitew wzburzyły jednak drapieżnego ducha Conana zbyt mocno, by chciał podążyć w ich ślady. Kiedy kupcy przynieśli wieści o nowych wojnach, pocwałował na południe.

Zbuntowany książę Koth usiłował obalić Strabonusa, skąpego władcę rozległego państwa, i Conan znalazł się wśród dawnych towarzyszy w szeregach księcia. Po pewnym czasie rebelianci i król podpisali pokój. Conan, znów bez pracy, utworzył bandę wyjętych spod prawa, Wolnych Towarzyszy. Podążył z nimi na stepy leżące na zachód od morza Vilayet, gdzie połączyli się ze zbójczą hordą znaną jako „kozacy”.

Conan wkrótce został przywódcą tej nie uznającej żadnych praw zgrai i pustoszył zachodnie rubieże Turanu, dopóki jego dawny pracodawca, król Yildiz, nie wysłał wojsk pod dowództwem szacha Amuratha, który zepchnął „kozaków” w głąb Turanu i wyciął ich w pień.

Conan po zabiciu Amuratha i zdobyciu turańskiego jeńca — księżniczki Olivii z Ophiru, w małej łodzi popłynął na morze. Znaleźli schronienie na wyspie, gdzie znajdowały się ruiny miasta z zielonego kamienia, a w nim dziwne żelazne posągi. Rzucane przez nie w świetle księżyca cienie okazały się równie niebezpieczne jak gigantyczna mięsożerna małpa, czy piraci, którzy wylądowali

na wyspie, by odpocząć („Shadows in the Moonlight”).

Wkrótce Conan został przywódcą piratów, którzy siali spustoszenie na morzu Vilayet. Jako wódz Czerwonego Bractwa, bardziej niż kiedykolwiek stał się solą w oku króla Yildiza. Ten łagodny monarcha, zamiast udusić swego brata Teyaspa w tradycyjny turański sposób, uwięził go w zamku w górach Colchiańskich. Yildiz wysłał generała Artabana, by zniszczył

piracką warownię w ujściu rzeki Zaporoska, ale Artaban miast myśliwym stał się zwierzyną.

Uciekając w głąb lądu natknął się na miejsce pobytu Teyaspa. W konflikcie, jaki się wywiązał, wzięli udział banici Conana, Turańczycy Artabana i plemię wampirów („The Road of the Eagles”).

Conan, opuszczony przez swoich korsarzy, ruszył z powrotem w step. Yezdigerd, siedzący teraz na tronie Turanu, okazał się daleko bardziej przebiegłym i energicznym władcą, planującym rozległe podboje i stworzenie ogromnego imperium.

Conan udał się do małego granicznego królestwa Khauranu, gdzie został dowódcą

królewskiej straży królowej Taramis. Taramis miała bliźniaczą siostrę, Salome, czarownicę popieraną przez żółtego czarnoksiężnika z Khitai. Salome sprzymierzyła się z awanturnikiem Constatusem z Koth i planowała uwięzienie królowej oraz przejęcie władzy. Conan, który przejrzał spisek, został pojmany i ukrzyżowany. Uwolniony przez wodza Zuagirów, Olgierda Władysława, ruszył do ich obozu na pustyni. Zaczekał, aż rany się zagoją, a potem dzięki swej śmiałości i bezwzględności pozbawił władzy Olgierda.

Kiedy Salome i Constantinus zaczęli swe okrutne rządy w Khauranie, Conan powiódł

Zuagirów na stolicę. Wkrótce Constantinus zawisł na krzyżu, a Cymmerianin odjechał z uśmiechem, by poprowadzić swych Zuagirów na Turan („Narodzi się czarownica”).

Conan miał wtedy około trzydziestu lat i był u szczytu siły i zrzeczności. Okoliczności opuszczenia Zuagirów zostały niedawno ujawnione za sprawą jedwabnego zwoju ze Starego Tybetu, wywiezionego przez pewnego uciekiniera. Ten dokument obecnie znajduje się w Instytucie Orientalnym w Chicago.

Energiczny król Yezdigerd rozkazał schwytać Conana i rozgromić jego bandę. Ponieważ w szeregach Conana znajdował się zamorański zdrajca, zasadzka nieomal się udała. Conan ruszył w pościg za Zamorańczykiem, a kiedy jego ludzie zdezerterowali, parł dalej samotnie.

Bliski śmierci, został uratowany przez Enosha, władcę samotnego pustynnego miasta Akhlata.

Akhlata cierpiał pod władzą demona w ciele kobiety, która żywiła się siłą wysysaną z żyjących. Conan, jak twierdził Enosha, był ich przepowiedzianym wybawicielem. Gdy było po wszystkim, Cymmerianina poproszono o osiedlenie się w Akhlacie, ale on wiedział, że nie potrafi przywyknąć do monotonnego życia i pojechał na południowy zachód do Zambouli z pieniędzmi Vardanesa Zamoryjczyka („Black Tears”).

Oddając się radosnemu szaleństwu przepuścił przywiezioną do Zambouli fortunę. W

Zambouli przebywał groźny i zły kapłan Hanumana, Torasmek, poszukujący słynnego klejnotu, Gwiazdy Khorai, za który królowa Ophiru dawała całą komnatę złota. W powstałym zamieszaniu Conan zdobył Gwiazdę Khorai i popędził na zachód („Cienie Zambouli”).

Dalszy ciąg przygód Conana znany jest ze spisane go przez mnichów średniowiecznego manuskryptu De sirede chorolae, uratowanego ze z bombardowanych ruin Monte Cassino.

Conan dotarł do stolicy Ophiru i dowiedział się, że zniewieśc iały Moranthes II, marionetka złowieszcze go hrabiego Rigello, trzyma pod kluczem królową Maralę. Cymmerianin wspiął

się na mury zamku Moranthesa i uwolnił Maralę. Rigello ścigał zbiegów prawie do aquilońskiej granicy, gdzie Gwiazda Khorai w nieoczekiwany sposób okazała swoją moc („The Star of Khoraja”).

Conana doszły słuchy, że „kozacy” odzyskali swoją siłę, wrócił więc i zajął się dalszym pustoszeniem Turanu. Mimo że słynny człowiek Północy przybył z pustymi rękoma,

„kozacy” i piraci z morza Vilayet uznali w nim swego dowódcę.

Yezdigerd wysłał Jehungira Agha, by ten na wyspie Xapur pochwycił barbarzyńcę w pułapkę. Conan odkrył, że starożytny pałac–forteca Smoka na wyspie został odbudowany przez czary, a w nim znalazł złego boga w postaci giganta z żelaza („Żelazny Demon”).

Po ucieczce z Xapur nadał najazdom „kozaków” i piratów taki rozmach, że król Yezdigerd przeznaczył na ich zniszczenie wszystkie swoje siły. Po druzgocącej klęsce Conan uciekł na południe, a tam przyjął służbę w lekkiej jeździe szacha Kobada, króla Iranistanu.

Conan popadł w niełaskę szacha i musiał uciekać w góry. Odkrył spisek knuty w

Yanaidarze, twierdzy Ukrytych. Synowie Yezma próbowali wskrzesić starożytny kult i zjednoczyć wyznawców Starych Bogów w celu przejęcia władzy nad światem. Przygoda zakończyła się rozgromieniem rywalizujących sił przez szare wampiry Yanaidara i Conan pojechał na wschód („Płonący nóż”).

Potem Conan pojawił się w górach Himeliańskich na północno–zachodniej granicy Vendhii jako wódz wojenny dzikiego szczepu Afghulów. W owym czasie ten trzydziestoparoletni barbarzyńca był już otoczony nimbem sławy i strachu w całym świecie Wieku

Hyboryjskiego.

Yezdigerd, nie będąc człowiekiem drobiazgowym, zatrudnił czarnoksiężnika Khemse, adepta budzącego grozę Czarnego Pierścienia, aby usunąć z drogi króla Vendhii. Yasmina, siostra zmarłego króla, wyruszyła szukać pomsty, ale została pojmana przez Conana. Razem ruszyli w pościg za czarnoksiężnikiem Khamsą, ale został on zabity przez magię proroków Yimshy, który również uprowadził Yasminę („The People of the Black Circle”).

Kiedy zawiodły plany zjednoczenia górskich plemion, Conan, dowiedziawszy się o wojnie na Zachodzie, pospieszył tam czym prędzej. Almuric, książę Koth, powstał przeciwko zniechęconemu Strabonusowi. Podczas gdy Conan przyłączył się do Almurica, na pomoc Strabonusowi ruszyli sprzymierzeni z nim królowie. Pstra czereda Almurica została zepchnięta na południe i wycięta w pień przez połączone wojska stygijskie i kushyckie.

Conan i jego towarzyszką Natała uciekli na pustynię i dotarli do Xuthalu, widmowego miasta żyjących trupów i ich mrocznego boga Thoga. Stygijska Thalís, władczyni Xuthal, okpiła Conana o jeden raz za dużo („The Slithering Shadow”).

Conan wrócił do krajów Hyborii. Szukając pracy, wstąpił do armii najemników, którą Zingarańczyk, książę Zapayo da Cova, wysłał do Argos. Planowano, że Koth napadnie na Stygię od północy i jednocześnie Argosańczyki od strony morza. Koth jednakże

niespodziewanie podpisał pokój ze Stygią, przez co armia najemników znalazła się w pułapce na stygijskiej pustyni.

Conan uciekł wraz z Amalrikiem, młodym aquilońskim żołnierzem. Wkrótce Cymmerianin został schwytany przez nomadów, podczas gdy Amalrikowi udało się wymknąć. Kiedy znów się spotkali, Amalric miał ze sobą dziewczynę, Lissę, którą uratował przed bogiem ludożercą w jej rodzinnym mieście. Conan tymczasem stał się dowódcą jazdy miasta Tombalku.

Tombalku władali dwaj królowie: Murzyn Sakumbe i mieszaniec Zehbeh. Kiedy Zehbeh i jego stronnicy zostali wypędzeni, Sakumbe uczynił Conana drugim władcą, lecz sam niedługo zginął, zabity urokiem czarnoksiężnika Askii. Conan, pomściwszy czarnego przyjaciela, uciekł z Amalrikiem i Lissą („Drums of Tombalku”).

Ruszył na wybrzeże, gdzie przyłączył się do barachańskich piratów. Miał w tym czasie trzydzieści pięć lat. Jako drugi mat „Jastrzębia”, wylądował na wyspie należącej do stygijskiego czarnoksiężnika Siptaha, posiadającego magiczny klejnot o cudownych właściwościach.

Siptah mieszkał w wieży bez drzwi i okien, wraz ze skrzydlatym demonem. Conan

wypędził dymem nieziemską istotę, ale został porwany w jej szponach na szczyt wieży.

Odkrył, że czarnoksiężnik od dawna nie żyje, zaś magiczny klejnot okazał się

niespodziewanie pomocny w walce z demonem („The Gem in the Tower”).

Według pliku glinianych tabliczek zapisanych przedsumeryjskim pismem klinowym, Conan prawie dwa lata spędził z Barachańczykami. Przyzwyczajony do zdyscyplinowanych armii hyboryjskich królestw, uznał organizację band barachańskich za zbyt anarchiczną i skorzystał

z nadarzających się okazji, by sięgnąć po władzę w Tortadze. Uciekając z opresji stanął przed niewielkim wyborem. Albo pozwolić, by poderżnięto mu gardło, albo wypłynąć na Ocean Zachodni w przeciekającej łupinie. Oczywiście wybrał to drugie. Po pewnym czasie w zasięgu wzroku pojawił się „Wastrel”, okręt korsarza Zaporavo, i Conan został wzięty na pokład.

Cymmerianin wkrótce zdobył szacunek załogi i wrogość kapitana, którego Zinogarańska kochanka, gibka Sancha, rzucała zbyt przyjazne spojrzenia na czarnogrzywego olbrzyma.

Zaporavo skierował okręt na zachód ku nie naniesionej na mapy wyspie, gdzie Conan zmusił go do pojedynku i zabił. Sancha w tym czasie została wciągnięta przez dziwne, czarne istoty do zamieszkiwanej przez nie sadzawki („The Pool of the Black Ones”).

W Kordawie Conan nakłonił urzędników, by przekazali mu korsarski patent Zaporavo i dzięki temu przez dwa lata wiódł żywot zalegalizowanego pirata. Jak zwykle, knuto spisek przeciwko zingarańskiemu monarsze. Król Ferdrugo był stary i poza córką Chabelą nie miał żadnego sukcesora.

Księżę Vilagro wciągnął w spisek stygijskiego maga nad magami, Thoth–Amona, Wysokiego Kapłana Seta i z jego pomocą zamierzał poślubić Chabelę. Podejrziwa księżniczka wyprawiała się królewskim żaglowcem w dół wybrzeża, aby naradzić się z wujem.

Sprzymierzony z Villagrem kapitan pirackiego okrętu przechwycił jacht i porwał dziewczynę.

Chabela zdołała uciec i spotkała Conana, który zdobył również poszukiwaną przez Thoth–Amona magiczną Koronę Kobry.

Sztorm rzucił okręt Conana na wybrzeże Kush, gdzie doszło do spotkania Cymmerianina z czarnymi wojownikami dowodzonymi przez jego starego towarzysza broni, Jumę. Podczas gdy naczelnik witał korsarzy, jeden z członków plemienia skradł Koronę Kobry. Conan ruszył

w pościg, a za nim podążyła księżniczka Chabela. Oboje zostali pojmani przez łowców niewolników i sprzedani czarnoskórej królowej Amazonek. Królowa uczyniła Chabelę swą niewolnicą, a Conana kochankiem. Potem, zazdrosna o Chabelę, wychłostała dziewczynę; uwięziła Conana i oboje skazała na pożarcie przez zjadające ludzi drzewo („Conan Bukanier”).

Conan uratował zingarańską księżniczkę, odrzucił propozycję małżeństwa i z powrotem zajął się korsarstwem. Pokonany przez Zingarańczyków u wybrzeży Shem, Conan uciekł w głąb lądu i przyłączył się do Wolnych Towarzyszy, kompanii najemników. Jednakże zamiast bogatych łupów czekała go nudna służba w strażnicy na czarnej granicy Stygii, gdzie wino było kwaśne, a kobiety mało urodziwe.

Nuda zakończyła się wraz z pojawieniem piratki Valerii z Czerwonego Bractwa. Kiedy dziewczyna opuściła obóz, Conan podążył za nią na południe. Oboje znaleźli schronienie w mieście zamieszkiwanym przez zwaśnione klany Xotalanc i Tecuhltli. Stając po stronie tych drugich, szybko napytali sobie kłopotów z przywódczynią klanu, czarownicą Tascelą („Czerwone Ćwieki”).

Romans Conana z Valerią, aczkolwiek gorący na początku, nie trwał długo. Valeria wróciła na

morze, a Conan raz jeszcze spróbował szczęścia w czarnych królestwach. Dowiedziawszy się o „Zębach Gwahlura”, szkatułce z bezcennymi klejnotami ukrytymi w Keshanie, sprzedał swoje usługi skoremu do gniewu królowi i zaczął szkolić keshzańską armię.

Thutmekri, stygijski emisariusz bliźniaczych królów Zembabwei, również planował zdobycie tych klejnotów. Cymrnerianin, prześcignięty w intrydze, skierował się do doliny, w której leżały ukryte ruiny Alkmeenonu. Z dzikiej przygody z boginią Yalaya, Corynthianką Murielą, czarnoskórymi kapłanami kierowanymi przez Gorulga i ponurymi szarymi sługami nie żyjącego od dawna Bit–Yakina, Conan wyniósł głowę., ale stracił łup („Klejnoty Gwahlura”).

Wracając z Murielą do Puntu, wplątał się w spisek, którego celem było uwolnienie wyznawców pewnej bogini z kości słoniowej od nadmiaru złota. Tymczasem Thutmekri znów ubiegł go i nastawił przeciwko niemu króla Lalibeha, przez co Conan wraz z towarzyszką musiał szukać azylu w świątyni bogini Mabethet.

Kiedy król, Thutmekri i Wysoki Kapłan Zaramba przybyli do świątyni, Cymmerianin odgrywał głupiego, podczas gdy Murielą mówiła głosem bogini. Rezultaty zaskoczyły wszystkich, łącznie z Conanem („Bogini z Kości Słoniowej”).

W Zembabwei, mieście rządzonym przez bliźniaczych królów, Conan przyłączył się do kupieckiej karawany, którą poprowadził na północ wzdłuż granic pustyni i przywiódł

bezpiecznie do Shem. Był wtedy człowiekiem prawie czterdziestoletnim, lecz nadal niespokojnym awanturnikiem. Usłyszał, że Aquilończycy weszli na pustkowia Piktów, więc szukając zajęcia dla swego miecza, udał się w tamte strony. Zaciągnął się jako zwiadowca w Forcie Tuscelan.

W lasach po drugiej stronie Czarnej Rzeki czarnoksiężnik Zogar Sag zebrał bagienne demony, by wesprzeć Piktów. Conanowi nie udało się zapobiec zniszczeniu Fortu Tuscelan, zdołał jednak ostrzec osadników mieszkających wokół Velitrium i zabić Zogara Saga („Za Czarną Rzeką”).

Conan awansował szybko w aquilońskiej służbie. Gdy został kapitanem, jego oddział został rozbity w wyniku machinacji zdradzieckiego zwierzchnika. Conan odkrył, że ów oficer, Viscount Lucian, ma zamiar oddać prowincję Piktom, zdemaskował go i zadał przeciwnikom druzgocącą klęskę („Krwawy Księżyc”).

Mianowany wodzem aquilońskiej armii, rozgromił Piktów w wielkiej bitwie pod Velitrium.

Później odwołano go do stolicy, Tarantii, i nagrodzono. Tam wzbudził podejrzania zdeprawowanego i głupiego króla Numedidesa i w efekcie został podstępnie uszpiony i osadzony w Żelaznej Wieży z wyrokiem śmierci.

Barbarzyńca posiadał jednak nie tylko wrogów, ale i przyjaciół. Wkrótce został puszczony wolno, z koniem i mieczem. Gdy przedzierał się przez mroczne lasy kraju Piktów w kierunku odległego morza, natknął się na jaskinię, w której leżał trup i strzeżony przez demona skarb pirata Trancosa. Na ten

sam skarb polował również zingarański hrabia oraz dwie pirackie bandy. Udział w grze wziął nadto stygijski czarnoksiężnik Thoth–Amon („Skarb Tranicosa”).

Conan, wyratowany z opresji przez aquilońską galereę, został przywódcą powstania przeciwko Numedidesowi, który knuł spisek mający na celu oddanie Piktom miasta Schohira.

Zwiadowcy, synowie Gaulta Hagara, postanowili zapobiec temu przez zabicie piktyjskiego czarnoksiężnika („Wolves Beyond the Border”).

Conan wziął szturmem stolicę i zabił Numedidesa na stopniach jego tronu, który natychmiast zagarnął dla siebie, stając się władcą największego hyboryjskiego państwa. Miał

wówczas prawie czterdzieści lat („Conan Wyzwoliciel”).

Królewskie życie nie było jednak wygodne na łożu hurysy. W ciągu roku skazany na wygnanie hrabia zebrał grupę spiskowców, by zrzucić barbarzyńcę z tronu. Conan mógł

stracić koronę wraz z głową, ale na szczęście na czas nastąpiła interwencja nieżyjącego od dawna mędrca Epemitreusa („The Phoenix of the Sword”).

Po przegranej bitwie z połączonymi wojskami Ophiru i Koth, Conan został wzięty do niewoli, a następnie uwięziony w wieży czarnoksiężnika Tsothalantiego w stolicy Koth.

Uciekł z pomocą współwięźnia, którym był czarnoksiężski rywal Tsothalantiego — Pelias.

Dzięki jego magii Conan lotem strzały pomknął do Tarantii i zdążył na czas, by zabić pretendenta do tronu i poprowadzić armię na sprzymierzonych z nim zdradzieckich królów („Szkarłatna Cytadela”).

Przez następne dwa lata Aquilonia kwitła pod zdecydowanymi, ale tolerancyjnymi rządami Conana. Samowolny awanturnik dzięki doświadczeniom minionych lat okazał się zdolnym i odpowiedzialnym mężem stanu. W sąsiedniej Nemedii jednakże rodził się kolejny spisek.

O wieku czterdziestopięcioletniego Conana świadczyła jedynie sieć blizn okrywająca jego potężne ciało oraz bardziej umiarkowane podejście do wina, kobiet i rozlewu krwi. Chociaż Cymmerianin posiadał harem zmysłowych nałożnic, nie miał jeszcze oficjalnej królowej, stąd też żaden z jego potomków nie mógł być prawowitym dziedzicem tronu. Jego wrogowie zamierzali wykorzystać tę sytuację.

Spiskowcy wskrzesili Xaltotuna, największego czarnoksiężnika starożytnego cesarstwa Acheronu (Acheronu), które upadło w wyniku najazdu barbarzyńskich Hyborian trzy tysiące lat wcześniej. Magia Xaltotuna przyczyniła się do śmierci króla Nemedii, po którym władzę przejął jego brat Tarascus. Czarnej magii uległa również armia Conana. Król Aquilonii został

uwięziony, a na tronie zasiadł uzurpator Valerius.

Conan uciekł z lochów dzięki pomocy niewolnicy Zenobii i wrócił do Aquilonii, by zebrać królewskie wojska przeciwko Valeriusowi. Od kapłanów Asura dowiedział się, że moc Xaltotuna

można złamać jedynie za pomocą dziwnego klejnotu zwanego „Sercem Arymana”.

W poszukiwaniu talizmanu Conan dotarł do piramidy na stygijskiej pustyni za czarnymi murami Khemi. Zdobył Serce Arymana i wrócił, by stawić czoło wrogom — „Conan the Conqueror”, pierwotnie opublikowane jako „Godzina Smoka”.

Po odzyskaniu władzy uczynił Zenobię królową, lecz podczas balu porwał ją demon nasłany przez khitajskiego czarnoksiężnika Yah Chienga. Poszukując oblubienicy Conan przemierzył cały znany świat, a podczas wędrówki spotykał starych przyjaciół i wrogów. W

Paikangu o purpurowych wieżach z pomocą magicznego pierścienia uwolnił Zenobię i uśmiercił maga („Conan Mściciel”, pierwotnie publikowane jako „The Return of Conan”).

Dalsze sprawy potoczyły się bardziej gładko. Zenobia dała mu dziedziców: syna imieniem Conan, powszechnie zwanego Connem, drugiego o imieniu Taurus i córkę Radegundę. Kiedy Conn miał dwanaście lat, ojciec zabrał go na wyprawę myśliwską do Gunderlandu („Conan z Aquilonii”). Conan miał wówczas prawie sześćdziesiąt lat. Jego ramię nie było już tak szybkie jak w czasach młodości, a w niegdyś czarnej czuprynie pojawiły się nitki srebra, lecz jego siła nadal przewyższała siłę dwóch zwyczajnych ludzi.

Czarownica z Hyperborei zwabiła Conana do swojej warowni i zastrzegła, że Conan musi przyjść sam. Była to Louhi, sprzymierzona z trzema innymi największymi czarnoksiężnikami świata: Thoth–Amonem ze Stygii, bogiem — królem z Kambodży i czarnym panem

Zembabwei. Ich spotkanie z Conanem zakończyło się masakrą, w czasie której Louhi i Kambodżańczyk zginęli, a Thoth–Amon i drugi czarnoksiężnik zniknęli dzięki swej magii („Wiedźma z Mgieł”).

Stary król Ferdrugo z Zingary zmarł i jego tron stał pusty, podczas gdy szlachetnie urodzeni walczyli o sukcesję. Książę Pantho z Guarralid z niejasnych powodów najechał Poitain, w południowej Aquilonii. Conan, podejrzewając czary, zmiażdżył najeźdźców. Dowiedziawszy się, że za szaleństwem Pantho stał Thoth–Amon, wyruszył na czele armii, by ostatecznie omówić z czarownikiem pewne sprawy. Ścigał swego wroga do jego warowni w Stygii („Czarny Sfinks z Nebthu”), do Zembabwei („Czerwony Księżyc Zembabwei”) i do

ostatniego królestwa węzowego ludu na dalekim południu („Cienie w czaszce”).

Przez kilka następnych lat król Conan władał w pokoju, lecz czas uczynił to, czego nie zdołali osiągnąć żadni wrogowie. Skóra Cymmerianina stała się pomarszczona, włosy siwe, a stare rany w czasie złej pogody sprawiały mu ból. Umiłowana małżonka zmarła, wydając na świat drugą córkę.

Potem dziwaczna katastrofa wyrwała Conana z nastroju rezygnacji i rozgoryczenia.

Nadnaturalne istoty, Czerwone Cienie, zaczęły porywać jego poddanych. Conan nie wiedział, co począć, póki nie odwiedził we śnie mędrca Epemitreusa. Mędrzec kazał mu zrzec się tronu na rzecz księcia Conna i ruszyć za Ocean Zachodni.

Conan odkrył, że Czerwone Cienie zostały nasłane przez kapłanów—czarnoksiężników Antilli, łańcucha wysp w zachodniej części oceanu, dokąd osiem tysięcy lat wcześniej uciekli ci, którzy przeżyli zatopienie Atlantydy. Tamtejsi kapłani składali swemu diabelskiemu bogu Xotli ofiary tak wielkie, że groziło to wyniszczeniem ich własnego ludu.

Statek Conana został zdobyty, ale on zdołał uciec do miasta Ptahuacan. Po starciu z gigantycznymi szczurami i smokami wyłonił się na szczycie ofiarnej piramidy, na której mieli zostać uśmierceni członkowie jego załogi. Wydarzenia zaowocowały nadnaturalną walką i katastrofalnym trzęsieniem ziemi. W końcu Conan pożegłował dalej, by zbadać kontynenty leżące na zachodzie („Conan z Wysp”).

Czy tam umarł, czy też prawdę mówi podanie, że wrócił z Zachodu, by stanąć u boku syna w ostatecznej bitwie z wrogami Aquilonii — odkryje tylko ten, kto spojrzy, jak kiedyś Kull z Valusii, w mistyczne zwierciadła Tuzun — Thune.

L. Sprague de Camp

Villanova, Pennsylvania

Maj 1984